

JACK HIGGINS

AUTOR **BESTSELLERÓW** ZABÓJCZA ZIEMIA I ORZEŁ WYLĄDOWAŁ

ODWET

 Fabryka
sensacji

JACK HIGGINS

ODWET

(Day of Reckoning)

Tłumaczył z angielskiego: Andrzej Szulc

TMN

Wydanie polskie:2011

Wydanie oryginalne: 2000

Kiedy niecnie zgrzeszyłeś, czeka na ciebie diabeł.

Przysłowie sycylijskie

HELLSMOUTH

1

Tym, co obudziło, a może nawet przywróciło do życia Blake'a Johnsona, był szczur. Dziwne, że w ogóle zasnął, siedząc na kamiennym stopniu, zanurzony po pas w wodzie. Kiedy poczuł, że coś siedzi mu na szyi, ocknął się i wyprostował.

W padającym przez kratę świetle zobaczył szczura, który ześlizgnął się z jego lewego ramienia, wpadł z pluskiem do wody, a potem wynurzył się i obrócił w jego stronę spiczasty pyszczek i nieruchome oczka.

Przypomniało to Blake'owi moment sprzed dwudziestu pięciu lat, gdy jako młody sierżant sił specjalnych pod koniec wojny w Wietnamie tkwił zanurzony po szyję w moczarach delty Mekongu, starając się uniknąć nagłej śmierci z rąk Vietcongu. Tam też roiło się od szczurów, zwabionych przez dużą liczbę trupów.

Tu jednak nie było trupów. Tylko zakratowane wejście, przez które sączyło się słabe światło, chropowate kamienne ściany tunelu, intensywny odór ścieków i zamontowana w odległości czterdziestu jardów z drugiej strony krata, która oznaczała, że nie ma jak się stąd wydostać. Stwierdził to zaraz po tym, gdy go tu umieścili.

Szczur dryfował na powierzchni wody, obserwując go, dziwnie przyjaźnie nastawiony.

– Bądź grzeczny – powiedział cicho Blake. – I zmykaj stąd.

Poruszył wodę i szczur uciekł. Przemarznięty do szpiku kości Blake

odchylił głowę do tyłu i próbował się skupić. Pamiętał, że ocknął się z letargu w range roverze, czując, jak ustępuje działanie narkotyku. Wjeżdżali właśnie w ulewnym deszczu na jakieś wzgórze, szalała burza i w świetle błyskawicy zobaczył wzburzone morze, klif, a nad nim zamek jakby żywcem przeniesiony z bajek braci Grimm.

Kiedy jęknął i próbował się wyprostować, Falcone, który siedział obok kierowcy, obrócił się i uśmiechnął.

– Proszę, proszę. Z powrotem w świecie żywych.

– Gdzie ja jestem? – wymamrotał Blake, starając się desperacko powrócić do rzeczywistości.

– Na końcu świata, przyjacielu – odparł Falcone, nie przestając się uśmiechać. – Od Ameryki dzieli nas tylko Atlantyk. Nazywają to miejsce Hellsmouth.

Zaczął się śmiać, a Blake zapadł z powrotem w letarg.

Czas jakby stanął w miejscu. Krzyżując ręce na piersi, żeby zachować resztki ciepła, poczuł ból w zabandażowanym prawym ramieniu. Mimo oszołomienia zmysły miał czujne i wyostrzone i gdy za jego plecami rozległ się szcęk metalu, od razu się wyprostował.

– Hej, żyje pan, *dottore* - zawołał Falcone, otwierając zakratowane wejście. – Jeszcze nas pan nie opuścił.

– Pierdol się – wykrztusił Blake.

– Znakomicie. Daje pan oznaki życia. To mi się podoba. Wychodzimy.

Złapał go za kołnierz koszuli i pociągnął za sobą. Blake potknął się na progu i wylądował na czworakach na korytarzu. Stał tam Russo. Jego brzydką twarz wykrzywiał uśmiech.

– Nie wygląda za dobrze.

– I w dodatku cholernie śmierdzi. Obmyj go.

Do mosiężnego kranu w ścianie podłączony był szlauch. Russo odkręcił kran i puścił na Blake'a strumień wody. Była lodowato zimna i Amerykaninowi natychmiast zaparło dech w piersi. Po kilku chwilach

Russo zakręcił kran i rzucił mu koc na ramiona.

– Szef chce się z tobą widzieć, więc zachowuj się grzecznie.

– Będzie grzeczny, bez dwóch zdań – stwierdził Falcone. – Dokładnie tak jak jego urocza żonka w Brooklynie.

Blake owinął się kocem i podniósł wzrok.

– Ty to zrobiłeś?

– Człowieku, to tylko praca.

– Zabiję cię za to.

– Nie bądź głupi. Tak się składa, że to ty żyjesz na kredyt. Chodźmy, nie każmy szefowi czekać.

Wspięli się po kamiennych schodach i w końcu stanęli przed okutymi żelazem, czarnymi dębowymi drzwiami. Russo otworzył je i Falcone wepchnął Blake'a do dużej komnaty. Po lewej stronie widać było schody, na kamiennym palenisku płonęły polana. Całe wnętrze miało w sobie coś nierealnego, jakby stanowiło dekorację do kiepskiego filmu.

– Gdzie się podział Dracula? – zapytał Blake.

Russo zmarszczył czoło.

– Dracula? O co ci chodzi?

– Nieważne.

Przy kominku siedziało dwóch mężczyzn, Rossi i Cameci. Blake oglądał wcześniej ich fotografie na ekranie komputera: kolejni żołnierze rodziny Solazzo.

Falcone pchnął go do przodu.

– Hej, pojąłem aluzję, człowieku. Najlepszy był Christopher Lee. Uwielbiałem te filmy Hammera.

Russo otworzył kolejne dębowe drzwi. Za nimi była kolejna komnata z wysoko sklepionym sufitem, płonącymi świecami i jeszcze jednym kominkiem z grubo ciosanych kamieni. Za wielkim biurkiem siedział skryty w cieniu mężczyzna.

– Wprowadźcie pana Johnsona do środka. Blisko kominka. Musi mu być zimno – powiedział.

Falcone zaprowadził Blake'a do kominka i podsunął mu krzesło.

– Siadaj.

– Chyba nie pogardzi pan brandy? – zapytał mężczyzna.

Blake usiadł, a Russo podszedł do stojącego z boku stolika, nalał brandy z karafki i przyniósł mu kieliszek. Alkohol palił w przetyku i Amerykanin zakaszał.

– Teraz daj mu papierosa, Aldo. Podobnie jak my wszyscy, pan Johnson próbuje rzucić palenie, ale życie jest krótkie, sztuka długa, a eksperymenty niebezpieczne. Chyba jest na to odpowiednie określenie po łacinie, ale nie mogę go sobie przypomnieć...

– Nie wbili tego panu do głowy na wydziale prawa w Harvardzie? – zapytał Blake.

Wziął papierosa, Falcone podał mu ogień.

– Tak się składa, że nie – odparł mężczyzna. – Ale bystry z pana człowiek. Z pewnością zna mnie pan dobrze.

– Po co ta cała zabawa? Oczywiście, że pana znam. Jack Fox, duma rodziny Solazzo. Może pan śmiało zapalić światło.

Po krótkiej chwili zapaliła się lampa i w jej świetle ukazał się Fox: trójkątna demoniczna twarz, ciemne włosy, drwiący uśmiech. Wziął papierosa ze srebrnej papierośnicy i zapalił go.

– Aja znam pana, panie Johnson. Wrócił pan z Wietnamu z piersią obwieszoną medalami, wstąpił do FBI i ocalił życie prezydentowi Jacke'owi Cazaletowi, kiedy był jeszcze senatorem. Zastrzelił pan dwóch łajdaków i sam oberwał kulką. Teraz rządzi pan w Piwnicy Białego Domu, dowodząc podlegającym wyłącznie prezydentowi oddziałem do specjalnych poruczeń. Niestety jednak – Fox przerwał i wypuścił z ust dym – nie sądzę, żeby Cazalet mógł teraz pana uratować.

Blake strzelił palcami na Falconego.

– Jeszcze jedną brandy... Jest takie stare sycylijskie przysłowie, które powinno trafić panu do przekonania. Pańska matka pochodzi przecież z Sycylii. „Kiedy niecnie zgrzeszyłeś, czeka na ciebie diabeł”.

Fox roześmiał się.

– Czy ten diabeł to ma być pan, czy Sean Dillon?

– Wedle życzenia. Ale niech Bóg ma pana w opiece, jeśli to będzie

Dillon.

Fox pochylił się do przodu.

– Pozwól, że coś ci powiem, Johnson. Mam nadzieję, że to będzie Dillon. Czekałem bardzo długo, żeby posłać mu kulkę w łeb. Tobie zresztą też.

– Zabiłeś moją żonę – stwierdził Blake.

– Twoją była żonę – uściślił Fox. – Osobiście nic do niej nie miałem. Wtykała po prostu nos w nie swoje sprawy. Szkoda, że nie potrafisz tego zrozumieć. Przysporzyłeś mi wielu zmartwień. Teraz będziesz musiał za to zapłacić. Mam nadzieję, że Dillon jest dość głupi, żeby tu przyjechać – dodał z uśmiechem. – Wtedy będę miał w garści was obu.

– Albo my będziemy mieli ciebie.

– Zabierzcie go z powrotem – polecił Fox.

Światło zgasło i Russo uderzył Blake'a w brzuch. Kiedy zgiął się w pół, złapali go pod ramiona i powlekli za sobą.

NOWY JORK

NA POCZĄTKU

2

Na Manhattanie był mokry mroźny wieczór. Gdy Lincoln podjechał pod Trump Tower, śnieg dawno już przestał padać, ale zastąpił go ulewny deszcz. Jack Fox siedział z tyłu, Russo za kierownicą, Falcone obok niego. Stanęli przy krawężniku i Falcone wysiadł, trzymając w ręku parasol.

– Macie dwie godziny wolnego – oznajmił Fox, po czym wyjął z kieszeni studolarowy banknot. – Idźcie coś zjeść. Wezwę was przez komórkę, kiedy będziecie potrzebni.

– Tak jest. – Falcone odprowadził go z parasolem do wejścia do budynku. – Proszę przekazać wyrazy szacunku Donowi.

Fox poklepał go ramieniu.

– Don Solazzo wie, że jesteś wobec niego lojalny, Aldo – powiedział i zniknął w środku.

Pokojówka, która wpuściła go do apartamentu na najwyższym piętrze, była typową Włoszką, ubraną w skromną czarną suknię. Nie mówiąc ani słowa, wprowadziła go do ogromnego salonu, z którego roztaczał się niewiarygodny widok na Manhattan. Jego wuj siedział przy kominku, czytając magazyn „Truth”. Don Marco Solazzo miał siedemdziesiąt pięć lat i wydatny brzuch, skryty pod luźno leżącym lnianym garniturem. W spokojnej twarzy tkwiły pozbawione wyrazu oczy. Obok, na podłodze, leżała laska z gałką z kości słoniowej.

– Cześć, Jack. Wejdz.

Jego siostrzeniec dał krok do przodu i pocałował go w oba policzki.

– Dobrze wyglądasz, wuju.

– Ty też. – Don podał mu magazyn. – Czytam właśnie artykuł o tobie. Ładnie się prezentujesz, Jack. Bardzo elegancko. Garnitury z Savile Row. Uśmiech od ucha do ucha. Piszą, jakim byłeś bohaterem, o odznaczeniach, które dostałeś za wojnę w Zatoce. Wszystko to bardzo mnie cieszy, ale potem będą chyba musieli wspomnieć o drugiej stronie medalu. O tym, że chociaż nazywasz się Fox, twoją matką była Maria Solazzo, siostra Don Marca Solazzo, niech spoczywa w pokoju razem z twoim ojcem. To nie jest dobre.

Fox machnął ręką.

– To zwykłe banały. W końcu wszyscy wiedzą, że jestem z tobą spokrewniony. Nie mieści im się tylko w głowie, że mógłbym nie przestrzegać prawa.

– Tak uważasz? Myślisz, że tej reporterce, tej Katherine Johnson, zależy na „zwykłych banałach”? Nie łudź się. Ona wie, kim jesteśmy, mimo że prowadzimy interesy na Wall Street. Angażujemy się w nieruchomości, finanse, produkcję przemysłową, ale jesteśmy w dalszym ciągu mafią, i to daje nam siłę. Ta strona naszej działalności nie jest przeznaczona dla ludzi takich jak ona. Tak, ona za czymś węszy, a ty... Dobry z ciebie chłopak, Jack, świetnie sobie radzisz, ale ja nie jestem głupcem. Wiem, że oprócz rodzinnych interesów masz tę gorzelnię w Brooklynie, gdzie pędzisz tanią whisky dla klubów.

– Ależ, wuju...

Don machnął ręką.

– Rozumiem, że młody człowiek chce sobie dorobić na boku, jednak czasem robisz się chciwy. Nie ma niczego, o czym bym nie wiedział. Na przykład o twoich konszachtach z IRA i tym podziemnym bunkrze, gdzie przechowują broń, której nie oddali władzom. Broń, którą im dostarczyłeś. O twoich podróżach do Londynu, do Colosseum...

– To nasze flagowe kasyno, wuju.

– Oczywiście, ale jeżdżąc tam, organizujesz włamania wspólnie z naszymi londyńskimi znajomymi. W zeszłym miesiącu zgarnąłeś ponad

milion funtów z opancerzonej furgonetki – stwierdził Don i uciszył siostrzeńca skinieniem dłoni. – Nie irytuj mnie, próbując zaprzeczać.

– Wuju...

– Po prostu pamiętaj, co jest naszym głównym celem. W Ameryce rynek narkotyków jest w zastoju. Trzeba rozwijać go w Rosji i krajach wschodniej Europy. Tam są prawdziwe pieniądze. Prostytycję zostaw Rosjanom i naszym chińskim przyjaciołom. Pobieraj tylko procent.

– Jak każesz, wuju.

– Inne rzeczy też są w porządku, Jack, ale w przyszłości nie rób nic za moimi plecami.

– Tak, wuju.

– A co się tyczy tej reporterki, tej Johnson... Poszedłeś z nią do łóżka? Chcę znać prawdę.

Fox zawahał się.

– To nie jest to, co myślisz.

– Więc co? Dlaczego tak jej zależy, żebyś dobrze wypadł? Ona czegoś chce, mówię ci, coś knuje. Ten artykuł nie jest taki zły, ale co będzie potem? – Don potrząsała głową. – Wzięła cię pod włos, Jack, a ty dałeś się nabrać. Dowiedz się lepiej, czego ta dziewczyna naprawdę chce.

– Co mi radzisz, wuju?

– Sprawdź jej mieszkanie. Zobacz, co tam znajdziesz. – Don Marco sięgnął po dzbanek. – Napij się martini, a potem coś zjemy.

Terry Mount nie rzucał się w oczy: drobny i chudy, mógł uchodzić za zwykłego dostawcę pizzy. W rzeczywistości był uzdolnionym włamywaczem i przechwalał się, że nie ma zanika, którego nie potrafiłby otworzyć. Siedział tylko raz, jako małolat. Jego nierzucająca się w oczy powierzchowność nieraz ratowała mu skórę.

Łatwy skok sprzed dwóch nocy przyniósł mu na czysto piętnaście tysięcy dolarów, które odebrał przed godziną od pasera, nic dziwnego zatem, że dopisywał mu humor. Popijał właśnie przyrządzoną przez barmana whisky z sokiem cytrynowym, gdy czyjaś ciężka dłoń oparła się o jego ramię.

Odwrócił się i żołądek podszedł mu do gardła.

– Świetnie wyglądasz, Terry – stwierdził z uśmiechem Falcone.

Obok o bar oparł się Russo. Terry wziął głęboki oddech.

– Chcesz czegoś, Aldo?

– Ja nie. To rodzina Solazzo chce, żebyś oddał im przysługę. Ale ty przecież nigdy nie odmówiłbyś Donowi, prawda, Terry?

– Oczywiście, że nie – wymamrotał Terry, po czym sięgnął po whisky i wypił ją jednym haustem.

– Tyle że w tym akurat przypadku oddasz przysługę Jackowi Foxowi.

Słyszając to, Terry o mało nie załatwił się w spodnie.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – odparł.

– To się rozumie samo przez się. – Falcone poklepał go po policzku.

– Daj mu jeszcze jedną szklaneczkę – powiedział do wyraźnie zaniepokojonego barmana. – Będzie mu potrzebna.

– Słuchajcie, nie chcę tutaj żadnych problemów. – zaczął barman.

Russo pochylał się nad barem. W jego głęboko osadzonych w brzydkiej twarzy oczach czaiła się groźba.

– Nalej mu pierdolonego drinka i zamknij się, jasne? – powiedział i mężczyzna szybko zrobił trzęsącymi się rękoma, co mu kazano.

Jack Fox siedział w salonie na drugim piętrze swojego domu przy Park Avenue, jedząc lekki lunch składający się z szampana i sandwiczów z wędzonym łososiem. Wbijał właśnie zęby w kolejną kanapkę, gdy Falcone wprowadził Terry'ego Mounta.

– Masz zatroskaną minę, Terry – stwierdził Fox. – Co się stało?

Falcone wyjął z kieszeni plik pieniędzy.

– A to co? Wygrałeś na loterii, Aldo? – zapytał Jack.

– Nie, *signore*, ale Terry chyba wygrał. Mam tutaj piętnaście kawałków.

Fox skinął głową, wskazując wiaderko z szampanem, i Falcone nalał mu kolejny kieliszek.

– Widzę, że znowu byłeś niegrzeczny, Terry.

– Próbuję po prostu związać koniec z końcem, panie Fox.

– To się świetnie składa – uśmiechnął się Fox. – Możesz zarobić dwa patole.

Terry przewrócił oczyma.

– I co mam za to zrobić?

– To, co najlepiej potrafisz. – Fox przesunął w jego stronę kartkę, która leżała na stole. – Katherine Johnson. Barrow Street dziesięć. Na samym końcu Greenwich Village. Wejdiesz tam dzisiaj po południu.

– Ale to nie zostawia mi czasu na przygotowania.

– Do czego chcesz się przygotowywać? – spytał chłodnym tonem Fox. – To mały domek. Właścicielki nie będzie. Chępiłeś się, że potrafisz się wszędzie włamać.

Terry oblizał wargi.

– Co mam zrobić?

– Facetka jest dziennikarką, więc znajdziesz tam prawdopodobnie komputer, magnetowid, tego rodzaju rzeczy. Przynies wszystkie dyskietki, jakie znajdziesz. I kasety wideo z jej półki w gabinecie.

– Ludzie mają na ogół dużo kaset wideo – zauważył Terry. – Czy mam zabrać wszystkie?

– Nie bądź głupi, Terry – odparł cierpliwie Fox. – Nie potrzebuję *Bрудnego Harry'ego* ani *RioBravo*. Po prostu rusz głową. Chłopcy zawiozą cię tam, zaczekają na ulicy i przywiozą cię z powrotem. O piątej chcę mieć tutaj wszystko, co znajdziesz. Jestem pewien, że się na tobie nie zawiodę.

Zanim Terry zdążył się rozejrzeć po salonie, Falcone wypchnął go na zewnątrz.

Na Barrow Street Terry pojawił się w lotniczej kurtce z napisem Smith Electronics na plecach. Po trzech dzwonekach nie zawracał sobie głowy frontowymi drzwiami, ale poszukał piwnicy. Drzwi na dole zaopatrzone były w dwie zasuwki, które nie sprawiły mu większych problemów.

Znalazł się w małej pralni i wbiegł z niej po schodach do holu

wejściowego. Można było stamtąd wejść do saloniku, jadalni i kuchni, jednak Terry wspiał się jeszcze wyżej, na pierwsze piętro. W ciszy słyhać było tylko tykanie ściennego zegara w holu. Pierwsze drzwi, które otworzył, prowadziły do gabinetu. Zobaczył zastawione książkami i kasetami wideo półki, komputer oraz dwukasetowy magnetofon. Włączył wszystkie urządzenia, wyciągnął z nich taśmy oraz dyskietki i wrzucił je do torby, którą miał na lewym ramieniu. Kiedy otworzył szuflady szafek, znalazł kolejne dyskietki i kasety, które również zabrał.

Potem zobaczył rzędy filmów nagranych na wideo i szkoleniowych taśm. Przejechał ręką po półkach i zrzucił je wszystkie na podłogę.

W porządku, pomyślał. Zrobił to, czego chciał od niego Fox. Czas się stąd zmywać. Na stoliku przy ścianie stało kilka butelek i kieliszki. Terry nalał sobie trochę bourbona i wypił, po czym wyszedł tą samą drogą, którą wszedł, zamknął za sobą drzwi piwnicy i wrócił do Falconego i Russa.

Fox czekał na niego z niecierpliwością. Wziął dyskietki i kasety, które dostarczył mu Terry, i posłał znaczące spojrzenie Russowi.

– Zaopiekuj się nim. Ale ty zostań – dodał, zwracając się do Falconego. – To może okazać się przykre.

– W takim razie będzie przykre dla nas obu, *signore*.

Fox zaczął sprawdzać dyskietki. Zawierały w większości robocze notatki, listy oraz rachunki, więc szybko dał sobie z nimi spokój. Ale przesłuchując taśmy, które Mount wyjął z magnetofonu, już przy drugiej trafił w dziesiątkę.

Z początku usłyszał niewinną rozmowę o rodzinnych interesach i innych sprawach. Kobieta miała przyjemny, zmysłowy głos, a mężczyzna...

– Jezus Maria, *signore* - mruknął Falcone. – Przecież to pan.

W tle słyhać było odgłosy restauracji i cichą muzykę.

– Nagrywała nas – powiedział Fox.

Nagle tło się zmieniło. Kobieta najwyraźniej nagrywała swoje spostrzeżenia.

– „Nie ma wątpliwości, że choć Jack Fox chce uchodzić za wojennego bohatera i szanowanego biznesmena z Wall Street, w rzeczywistości jest wschodzącą gwiazdą rodziny Solazzo i odnowionej mafii. Uśpię jego czujność pierwszym artykułem w »Truth«, a potem uderzę prosto między oczy. Być może nawet uda mi się nakręcić specjalny program dla Truth Channel. Muszę po prostu zachowywać się swobodnie i bez przerwy mu kadzić. Jego próżność powinna dokonać reszty”.

Fox wyłączył magnetofon.

– A to dziwka!

– Na to wygląda, *signore*. Co powinniśmy zrobić?

Fox wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie szklanekę szkockiej.

– Chyba wiesz, stary przyjacielu – powiedział, po czym podszedł do telefonu i wystukał numer. – Poproszę Katherine Johnson. Cześć, Kate. Tu Jack Fox. Czy mogę zaprosić cię dziś na kolację? Zastanawiałem się nad twoim artykułem i pomyślałem sobie, że są jeszcze inne rzeczy, które mogłyby cię zaciekawić. Jesteś zainteresowana? Wspaniale. W takim razie możesz nie wracać do domu. Poślę po ciebie samochód. Podjedziecie po mnie na Park Avenue. Kupiliśmy właśnie nową restaurację w Brooklynie i chciałbym ją sprawdzić. Pomożesz mi? Wspaniale! Wysyłam po ciebie Falconego.

Odkładając słuchawkę, ze zdziwieniem zorientował się, że ogarnia go autentyczny żal.

Tego samego deszczowego wieczoru, już po zmierzchu, Katherine usiadła na tylnym siedzeniu lincolna: była drobną, ładną kobietą koło czterdziestki, z ciemnymi włosami i inteligentną twarzą. Russo siedział przy kierownicy, Falcone z przodu obok niego. Podjechali pod dom przy Park Avenue i Falcone zadzwonił do Foxa z komórki.

– Jesteśmy na dole, *signore* - powiedział i odwrócił się do Katherine.

– Szef zaraz zejdzie.

Uśmiechnęła się i wyjęła z paczki marlboro. Falcone podał jej ogień.

– Dziękuję.

– Prego, signora.

Falcone zamknął dzielącą ich szybkę i po chwili pojawił się Fox, ubrany w czarny płaszcz. Wsunął się do samochodu i cmoknął kobietę w policzek.

– Ślicznie wyglądasz, Kate.

Lincoln ruszył z miejsca.

– Ty też nie najgorzej.

Fox uśmiechnął się szeroko.

– To będzie na pewno udany wieczór.

Dokładnie w tej samej chwili Terry Mount wlał w siebie kolejną whisky z sokiem cytrynowym w barze w śródmieściu, świadom przyjemnej wypukłości, jaką siedemnaście tysięcy dolarów tworzyło w prawej kieszeni na jego piersi. Wyszedł z baru, postawił kołnierz dla ochrony przed deszczem i nagle zorientował się, że ktoś za nim idzie. Chwilę później jego ubranie przebiła igła.

– Skręć w tę alejkę – odezwał się czyjś głos.

Mount wykonał polecenie i został przygwożdżony do muru, a potem go przeszukano.

– Siedemnaście kawałków! Nieźle ci poszło.

– Kim jesteś?

– Wielkim czarnym skurwysynem o imieniu Henry. Na pewno nie chciałbyś mnie spotkać pod prysznicem na Rikers Island.

– Zrobiłem tylko to, co mi kazano – wymamrotał przerażony Terry.

– To oznacza, że za dużo wiesz. Pozdrowienia od rodziny Solazzo.

Nóż przebił mostek i odnalazł serce. Terry Mount osunął się na ziemię.

Marcowy zmierzch zapada wcześniej i było już ciemno, kiedy Lincoln skręcił w prawo z Columbia Street i zatrzymał się przy nabrzeżu, przy którym przycumowanych było kilka statków. Russo zgasił silnik.

– Co się dzieje? – zapytała nagle zaniepokojona Katherine Johnson. – Gdzie jesteśmy, Jack?

– To już koniec zabawy, *signora*. Wzięłaś mnie chyba za dumia.

Katherine uśmiechnęła się.

– Daj spokój, Jack.

– To ty daj sobie spokój. Kazałem przeszukać twój dom. Znalazłem kasetę z nagraniem naszej rozmowy. Ja sam nie powiedziałem nic ciekawego, za to ty okazałaś się bardzo rozmowna. „Zachowywać się swobodnie i bez przerwy mu kadzić?” Nie powinnaś mi tego robić.

– Na litość boską, Jack, musisz mnie wysłuchać.

– Nie, dość już mam słuchania. I gadania.

Z tyłu podjechała limuzyna i Fox wysiadł.

– Zrób to porządnie, Aldo – powiedział do Falconego.

– Według rozkazu, *signore*.

Fox wszedł do drugiej limuzyny i odjechał.

Katherine próbowała otworzyć drzwi, lecz Russo powstrzymał ją, podnosząc w górę swoją wielką pięść.

– Zostaw ją! – zawołał Falcone. – Nie chcę żadnych sińców.

Złapał Katherine za kark i zmusił do ukłęknięcia na podłodze. Jej spódnica powędrowała do góry.

– Załatwimy to raz-dwa – powiedział, mocno trzymając wrywającą się dziennikarkę.

Russo wyciągnął z kieszeni pojemnik i wyjął z niego strzykawkę.

– Na pewno ci się spodoba, mała. Najlepsza heroina na rynku. – Wbił jej igłę w lewe udo, a potem jeszcze raz, w prawy pośladek. – Proszę bardzo.

Katherine krzyknęła i osunęła się na siedzenie.

Russo poklepał ją po pośladku.

– Całkiem niezła laska – stwierdził. – Może mógłbym z nią trochę pobaraszkować...

Zaczął rozpinąć rozporek, ale Falcone odepchnął go na bok.

– Ty głupi sukinsynu! Chcesz wszystko popsuć? Chodź, pomóż mi. Mamrocząc coś pod nosem, Russo złapał Katherine za stopy, Falcone wziął ją pod ramiona i razem ponieśli ciało na skraj pirsu.

– Trzy, cztery... – odliczył Falcone i Katherine wylądowała w wodzie.

– Chodźmy się czegoś napić – zaproponował.

Wrócili do lincolna i po chwili już ich nie było.

Żaden z nich nie zauważył torebki Katherine, która wypadła z samochodu i leżała teraz przy stojącej na nabrzeżu skrzyni.

Nazajutrz o szóstej rano w okna starego komisariatu przy East River siekł deszcz. Harry Parker, którego przed godziną wyrwano z ciepłego łóżka, pił kawę z automatu. Kiedy do gabinetu weszła sierżant detektyw Helen Abruzzi, podniósł wzrok znad filiżanki.

– Cienka lura – poinformował ją. – Przypomina mi, dlaczego przerzuciłem się na herbatę. Co tam mamy?

– Dziewczyna nazywa się Charlene Wilson. Pracowała w barze ze striptizem niedaleko stąd.

– I dorabiała na boku?

– Niestety.

– Co się stało?

– Niejaki Paul Moody zabrał ją do domu. Kiedy do nas trafiła, była zgwałcona przez usta i podduszona. Facet związał jej nadgarstki.

Parker zmarszczył czoło.

– To przypomina te dwa morderstwa w Battery Park.

– To samo przyszło mi na myśl, kapitanie, i dlatego po pana zadzwoniłam. Charlene ocalała, bo facet schlał się i zasnął, a jej udało się oswobodzić ręce.

Parker pokiwał głową.

– Daj mi znać, kiedy wszystko będzie gotowe do konfrontacji.

Helen wyszła, a Parker podszedł do zalanego deszczem okna i wyjął

paczkę marlboro. Dawno już przestał udawać, że próbuje zerwać z nałogiem. Zapalił papierosa i utkwiał posepny wzrok w rzece: wielki czarny mężczyzna, który wychował się w Harlemie, skończył wydział prawa na Harvardzie, a potem zdecydował się pracować w policji, zamiast w kancelarii prawniczej. Osobiście nie miał nic przeciwko siedemdziesięciogodzinnemu tygodniowi pracy, ale jego żonie wcale się to nie podobało i dlatego się z nim rozwiodła.

Od trzech lat był szefem specjalnego wydziału zabójstw mieszczącego się w podziemiach gmachu przy Police Plaza. Zajmowanie się morderstwami wprawiało go czasami w depresję. Kiedy człowiek zbliża się do pięćdziesiątki, zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem nie powinien zająć się czymś innym. Ciekawe, czy Blake Johnson mówił serio, wspominając, że być może znalazłoby się dla niego miejsce w tej jego komórce wywiadowczej w Waszyngtonie?

Drzwi otworzyły się.

– Kurtyna w górę! – zawołała Helen Abruzzi.

Dziewczyna siedząca w pokoju, w którym odbywała się konfrontacja, była w fatalnym stanie: miała zarzucony na ramiona koc, spuchniętą twarz, podbite oko i siniaki na szyi. Helen stanęła za nią i położyła jej rękę na ramieniu, kiedy Parker czytał akta. Skończywszy, skinął głową i nacisnął przycisk. W pokoju zabłysło jasne światło i po drugiej stronie szyby pojawiło się pięciu mężczyzn. Dziewczyna krzyknęła.

– Numer trzeci. To on – powiedziała i wybuchnęła płaczem.

Współczucie nie przychodzi łatwo o szóstej nad ranem, ale Parker przemógł się i objął ją ramieniem.

– Wiem, że jest ci ciężko, ale to jedno mogę ci obiecać: załatwię go na cacy. – Ścisnął jej ramię i dał znak Helen. – Zabierz ją i każ wprowadzić tego sukinsyna.

Przez chwilę stał przy oknie, patrząc na rzekę. W końcu drzwi się otworzyły i pojawiła się z powrotem Helen Abruzzi, a w ślad za nią

dwaj funkcjonariusze, którzy wprowadzili skutego kajdankami Paula Moody'ego.

– Kim pan jest, do diabła? – zapytał Moody.

– Kapitan Harry Parker. Sierżant Abruzzi postawiła ci całkiem długą listę zarzutów, Moody. Na początek gwałt dokonany ze szczególnym okrucieństwem.

– Dziwka sama tego chciała. To sadomasochistka, lubi takie rzeczy. Człowieku, sam byłem zszokowany.

– Nie wątpię, że byłeś. Aha, zapomniałem wspomnieć, że mamy tu do czynienia z gwałtem na osobie nieletniej.

Na chwilę zapadła cisza.

– Nieletniej? – zdziwił się Moody.

– Sierżant Abruzzi ci nie powiedziała? Ta dziewczyna, Charlene Wilson, dwa tygodnie temu skończyła piętnaście lat.

Moody pobladł.

– Człowieku, nic o tym nie wiedziałem.

– Teraz już wiesz – stwierdziła Helen.

– Jest jeszcze jedno... – powiedział Parker. – W ciągu trzech ostatnich miesięcy w Battery Park doszło do dwóch zabójstw, dokonanych w preferowany przez ciebie sposób, Moody. Młode dziewczęta były wiązane, gwałcone i bite.

– Nie uda się wam mnie w to wrobić.

– Wcale nie musimy. Pobraliśmy od Charlene Wilson całkiem niezłe próbki DNA. Mamy również DNA zabójcy z Battery Park. Założę się o moją emeryturę, że będą pasować – oświadczył Parker.

– Pierdolę cię, czarnuchu – warknął Moody i rzucił się na niego. Dwaj funkcjonariusze musieli go obezwładnić.

– Powinieneś oszczędzać siły, Paul – mruknął Parker. – Będziesz ich potrzebował, żeby przetrwać jakoś czterdzieści lat za kratkami. – Dał znak dwóm gliniarzom. – Zabierzcie stąd tę kupę gnoju.

Kiedy za Moodym zamknęły się drzwi, obrócił się ponownie do okna.

– To zły człowiek, kapitanie – stwierdziła Helen.

– Oni wszyscy są źli, pani sierżant. – Parker odwrócił się. – Muszę łyknąć świeżego powietrza. Przeszedłbym się trochę, gdyby znalazła mi pani jakiś parasol. Później wrócę, żeby podpisać papiery.

– W porządku, kapitanie.

Parker uśmiechnął się i jego rysy nagle złagodniały.

– Zauważyłem, że dobrze pani sobie tutaj radzi. Jeśli zależy pani na pracy przy Police Plaza, być może zwolni się tam wkrótce posada inspektora. Zasługuje pani na nią. Nie mogę niczego obiecać, ale może coś da się zrobić.

- Dziękuję, kapitanie.

– Doskonale. Zobaczymy się później. Na razie niech pani zadzwoni do dyżurnego i zorganizuje mi ten parasol.

Na nabrzeżu lało jak z cebra. Parker pożyczył policyjny płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem i trzymał w ręku parasol, który znalazła dla niego Abruzzi. Deszcz dobrze na niego działał, rozjaśniał mu w głowie. Zapalając kolejnego papierosa, zobaczył starszego mężczyznę, który biegł spanikowany w jego stronę.

– Co jest? O co chodzi? – zapytał, podnosząc rękę.

– Szukam policji!

– Już ją pan znalazł. Co się stało?

– Nazywam się Richardson. Jestem nocnym stróżem w starym magazynie Darmera. Skończyłem właśnie zmianę i podszedłem do skraju nabrzeża, żeby wyrzucić niedopałek i... tam w wodzie jest kobieta!

– W porządku, niech pan mi pokaże – powiedział Parker, popychając mężczyznę do przodu.

Katherine Johnson unosiła się na głębokości dwóch stóp pod powierzchnią ciemnozielonej wody. Jej ręce przylegały do boków, nogi były rozsunięte, a oczy spoglądały w wieczność. Na jej twarzy malowało się zdumienie.

Harry Parker wyjął komórkę i zadzwonił na komisariat.

– Tu kapitan Parker. Jakies trzysta jardów od was mam tu w wodzie zwłoki nieznaney kobiety. Przyślijcie ambulans i wsparcie. – Stał przez chwilę z komórką w ręku, po czym podał ją Richardsonowi i zdjął płaszcz. – Niech pan to potrzyima.

Zszedł na dół po kamiennych schodkach i, znalazłszy się po pas w wodze, sięgnął po ciało. Była to głupota, ponieważ wyłowieniem zwłok powinna zająć się ekipa dochodzeniowa, lecz czuł, że po prostu nie może tego tak zostawić. Ku własnemu zdziwieniu potraktował tę sprawę bardzo osobiście.

Kiedy woda sięgnęła mu do piersi, przyciągnął kobietę i podniósł ją w górę. Na górze zatrzymały się z piskiem opon samochodu ekipy dochodzeniowej.

Wrócił do domu, przebrał się, zjadł w kawiarni na rogu śniadanie składające się z jajek na bekonie i filiżanki herbaty, a potem pojechał do biura. Nie dawała mu jednak spokoju twarz wyłowionej kobiety, jej oczy. Zadzwoił do sierżant Abruzzi.

– Co się dzieje z ciałem kobiety, którą znalazłem w wodzie?

– Jest w kostnicy. Sprowadzili już głównego patologa. Z tego co wiem, jeszcze dziś rano przeprowadzi sekcję.

– Powiedz mu, że do niego wpadnę.

Kiedy Harry Parker przybył do biura głównego patologa, doktor George Romano jadł właśnie kanapkę i popijał kawę.

– Harry, mój drogi, co cię tu sprowadza?

– Chodzi mi o tę kobietę. To ja wyłowilem ją z rzeki.

– Masz osobisty stosunek do tej sprawy?

– Coś w tym rodzaju.

– Zaraz skończę sekcję. Zrobiłem sobie właśnie małą przerwę. Co chcesz wiedzieć? Czy sama wpadła, czy ktoś ją popchnął?

– Właśnie.

– Dobrze, Harry – odparł patolog. – Chodź ze mną, bo coś mi tu śmierdzi.

Dopił kawę i wyszli na korytarz.

W prosektorium czekało na nich dwóch odpowiednio ubranych laborantów. Romano podniósł ręce i jeden z nich pomógł mu założyć fartuch.

– Należy do ciebie, Harry – mruknął, myjąc ręce.

Katherine Johnson leżała naga na pochyłym stalowym stole, głowę miała opartą o drewniany blok. Z bladą skórą kontrastowało ostro nacięcie w kształcie litery Y na jej korpucie. Romano znowu podniósł ręce i drugi z laborantów naciągnął na nie rękawiczki. Obok stał wózek z instrumentami, na obrotowym ramieniu zamontowana była kamera.

– Wtorek, drugiego marca – powiedział Romano. – Przystępujemy do dalszego ciągu sekcji Katherine Johnson, zamieszkałej na Barrow Street w Greenwich Village.

– Co to ma znaczyć? – przerwał mu Parker.

– Nic nie wiedziałeś? – Romano zrobił zdziwioną minę. – Ten facet, który zobaczył ją w wodzie, Richardson, kręcił się jeszcze jakiś czas w pobliżu i odnalazł torebkę. Musiała ją upuścić, kiedy podchodziła do pirsu. W środku były dokumenty, więc mogliśmy ją zidentyfikować.

– W porządku. Ale dlaczego twierdzisz, że coś tu śmierdzi?

– To elegancka kobieta, dobrze odżywiona, w znakomitej kondycji fizycznej, mniej więcej czterdziestoletnia.

– I co z tego?

– Śmierć nastąpiła w wyniku potężnego przedawkowania heroiny. Wystarczyłoby, żeby ją zabić dwa razy. Coś tu nie pasuje. Ktoś taki jak ona, w tak dobrej formie? Poza tym na tym etapie ćpania musiałyby mieć pokłute całe ciało. A ona ma tylko dwa nakłucia, i to zupełnie niedawne. Jedno na lewym udzie, drugie na prawym pośladku. I co robiła w rzece?

– Niechcący przedawkowała i wpadła do wody?

– Może. Ale ja osobiście w to wątpię. Powiedziałem już, że nie wygląda mi na narkomankę. Jest coś jeszcze... W torebce miała ubezpieczenie medyczne, więc sprawdziłem je. Jest leworęczna.

– I co z tego?

– Harry, raczej nie wyobrażam sobie leworęcznej osoby, która robi sobie zastrzyk w prawy pośladek. To możliwe, ale mało prawdopodobne.

Sięgnął po piłę wibracyjną De Souttera.

– Więc twierdzisz, że ktoś ją załatwił? – zapytał Parker.

– Podobnie jak ty, Harry, od dawna pracuję w tej branży. Takie rzeczy się po prostu czuje. Owszem, uważam, że ktoś ją zabił.

– To znaczy, że mam na biurku sprawę o morderstwo.

– Zgadza się. Teraz mam zamiar rozciąć czaszkę, więc jeżeli nie bawią cię takie rzeczy, lepiej wyjdź.

– Świetna rada. Chyba z niej skorzystam – mruknął Harry Parker i opuścił prosekatorium.

Kiedy wszedł do gabinetu Helen Abruzzi, sierżant pracowała przy swoim biurku.

– Słyszałem, że ustaliliście tożsamość naszej NN – powiedział. – Mogę zerknąć?

– Interesująca kobieta. Była reporterką magazynu „Truth”, nazywała się Katherine Johnson. Zrobiłam wydruk wszystkich danych. Rozwiedziona, bezdzietna. Jej były mąż nazywa się Blake Johnson i pracuje w FBI.

Parkerowi zrobiło się sucho w ustach.

– Blake Johnson?

– Zgadza się. Zna go pan?

– Pracowaliśmy razem. Ale odszedł już z FBI. Pracuje teraz bezpośrednio dla prezydenta.

– Jezu! To będzie gorąca sprawa.

– Najgorętsza, jaką można sobie wyobrazić. Ani pary z gęby, pani sierżant.

– Oczywiście.

– Nie ma pani przypadkiem czegoś na wzmocnienie?

Abruzzi zawahała się, a potem wyjęła z szuflady biurka butelkę irlandzkiej whiskey.

– Do celów medycznych – wyjaśniła.

– Czasami rzeczywiście tego potrzebujemy. Od tej chwili pracuje pani dla mnie. Załatwię to z pani zwierzchnikiem. Przede wszystkim chcę, żeby pani zadzwoniła do Białego Domu i poprosiła do telefonu niejaką Alice Quarmby. Zanotowała pani? To asystentka Johnsona. Muszę z nią porozmawiać.

Odwrócił się do okna i pociągnął łyk z butelki. Abruzzi połączyła się z Białym Domem i po chwili oddała mu słuchawkę.

– Alice? Tu Harry Parker. Czy jest tam Blake?

– Jest w tej chwili u prezydenta.

– Niech to szlag...

– Czy to coś ważnego? – zapytała po krótkim wahaniu asystentka Johnsona i wtedy jej powiedział.

W Gabinetce Owalnym prezydent Jake Cazalet przeglądał wspólnie z Blakiem Johnsonem najświeższe raporty na temat sytuacji w Irlandii. Przy drzwiach stał ulubiony ochroniarz prezydenta, weteran wojny w Zatoce, Clancy Smith. Zadzwoił telefon i Cazalet podniósł słuchawkę.

– Mówi Alice Quarmby, panie prezydencie.

– Cześć, Alice. Chcesz mówić z Blakiem?

– Nie, panie prezydencie, chcę mówić z panem.

Cazalet wyprostował się, poznając po tonie jej głosu, że stało się coś złego.

– Mów, Alice.

Kiedy po minucie odłożył słuchawkę, na jego twarzy malował się autentyczny ból, ponieważ chodziło o człowieka, do którego żywił wyjątkowo ciepłe uczucia, człowieka, który uratował życie jemu i jego ukochanej córce.

Blake siedział przed nim w samej koszuli, pochylony nad dokumentami.

– Jakaś zła wiadomość, panie prezydencie? – zapytał. – Co takiego powiedziała Alice?

Cazalet wstał, podszedł do okna i przez chwilę patrzył na deszcz. W końcu zmobilizował się i odwrócił się z powrotem do Johnsona.

– Jesteś moim prawdziwym przyjacielem, Blake, i jednym z

najwspanialszych ludzi, jakich znam, a mimo to będę musiał ci teraz sprawić straszliwy ból. Tak czy owak, chwała Bogu, że usłyszysz to ode mnie, a nie od kogoś innego.

Na twarzy Blake'a odbiła się konsternacja.

– Co się stało, panie prezydencie? – zapytał.

Cazalet przekazał mu tragiczną wiadomość.

Blake wstał z krzesła.

– Whisky, Clancy. Dużą whisky – polecił prezydent swemu ochroniarzowi.

Clancy natychmiast ruszył do kredensu i po kilku sekundach wrócił z kryształową szklanką wypełnioną do połowy bourbonem. Blake wlepił w nią oczy, a potem wypił wszystko duszkiem i odstawił szklankę na biurko.

– Przepraszam, panie prezydencie. To dla mnie szok. Chociaż wzięliśmy rozwód, zawsze byliśmy ze sobą bardzo związani i teraz... Czy mogę oddzwonić do Alice?

– Oczywiście. Skorzystaj z telefonu w przedpokoju, a potem porozmawiamy.

– Dziękuję.

Clancy otworzył drzwi i Blake wyszedł z gabinetu.

– Muszę zapalić, Clancy – stwierdził Cazalet.

Ochroniarz wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wysunął z niej jednego i podał prezydentowi. Cazalet zapalił i mocno się zaciągnął.

– Wpadłem w nałóg w Wietnamie, podobnie jak Blake. A ty, Clancy? Zaczęłeś palić podczas wojny w Zatoce?

– Owszem. Były to długie dni nudy przerywanej momentami grozy. Człowiek ma wtedy czasem ochotę się sztachnąć.

Cazalet pokiwał głową.

– Wszyscy jesteśmy starymi żołnierzami. – Westchnął. – Blake nie zasłużył sobie na to. Jeśli jest coś, co możemy dla niego zrobić, będę ci wdzięczny, Clancy.

– To dla mnie zaszczyt, panie prezydencie.

Dwadzieścia minut później Johnson pojawił się z powrotem z

poszarzała twarzą i płonącymi oczyma.

– Czy mogę ci w jakiś sposób pomóc, Blake?

– Nie, panie prezydencie... z wyjątkiem udzielenia zgody na wyjazd do Nowego Jorku.

Cazalet spojrział na Clancy'ego Smitha.

– Zadzwoń, gdzie trzeba – polecił – i każ przygotować gulfstreama, który bezzwłocznie zabierze Blake'a do Nowego Jorku.

– Załatwione, panie prezydencie – oświadczył Clancy i wyszedł z gabinetu.

Cazalet odwrócił się do Blake'a.

– Czy wiesz, jak to się stało, przyjacielu?

– Nie, panie prezydencie – odparł Blake, zakładając marynarkę. – Ale zamierzam się tego dowiedzieć. Z pomocą Harry'ego Parkera na pewno mi się to uda. Dziękuję bardzo za okazane zrozumienie, panie prezydencie – dodał, podając mu rękę.

Cazalet uścisnął ją, a Johnson odwrócił się i wyszedł.

3

W gabinecie Parkera przy Police Plaza Blake wysłuchał całej historii. Kiedy kapitan skończył mówić, pokiwał głową.

– Chciałbym usłyszeć to, co powiedział Romano, z jego własnych ust, a potem zobaczyć, gdzie to się wydarzyło.

– Służę ci uprzejmie. – Parker podniósł słuchawkę. – Spotkamy się za pięć minut przy moim samochodzie obok głównego wejścia.

Stanęli obaj z parasolami przy skraju pirsu, wpatrując się w brudną, spienioną wodę. Nadal siał deszcz – była typowa marcowa pogoda.

– Unosiła się w wodzie tu, przy tych stopniach – poinformował Blake’a Parker. – Zobaczył ją nocny stróż. Akurat wtedy szedłem.

– I wyciągnąłeś ją.

– Nie mogłem tak jej zostawić.

Blake pokiwał głową.

– Jedźmy teraz do kostnicy – powiedział, po czym odwrócił się i ruszył w stronę samochodu.

Romano siedział w swoim gabinecie, popijając zupę minestrone z plastikowego kubeczka i zagryzając ją białym chlebem. Parker dokonał prezentacji.

– Naprawdę mi przykro – mruknął Romano.

– Niech mi pan po prostu powtórzy to, co pan powiedział Harry’emu.

Romano zrobił to.

– Więc została zamordowana?

– Według mnie tak.

– Ale dlaczego? – zapytał Parker. – I co taka sympatyczna babka z klasy średniej, z apartamentem w Greenwich Village, robiła w Brooklynie? – Przez chwilę siedzieli w milczeniu. – Nie miałeś z nią dzieci, prawda, Blake?

– Nie. – Johnson wzruszył ramionami. – Nie mogliśmy. Katherine była bezpłodna. Skoncentrowała się więc na swojej karierze, a ja na swojej. W końcu się od siebie trochę oddaliśmy, ale mimo rozvodu nadal utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Zawsze troszczyliśmy się o siebie. Chciałbym zobaczyć ciało – dodał, zwracając się do patologa.

– Nie powinien pan jej oglądać.

– Powinienem i zrobię to, do diabła – oświadczył Blake.

Parker położył dłoń na ramieniu patologa.

– George, powinniśmy spełnić jego życzenie.

– W porządku. Ale muszę zatelefonować na dół.

Katherine leżała na jednym ze stołów, oblana jaskrawym białym światłem. Na tułowiu i głowie, w miejscach, gdzie otworzył ją Romano, widniały wielkie zaszyte rany.

Blake czuł się od niej niewiarygodny oddalony. Ta pusta łupina była miłością jego życia, jego żoną, przyjaciółką, która wspierała go w wielu ciężkich chwilach. A teraz...

– Nigdy nie byłem zbyt religijny – wymamrotał – ale człowiek jest naprawdę czymś niezwykłym. Einstein, Fleming, Szekspir, Dickens. I tak właśnie się to kończy? Gdzie się podziała Kate? To nie jest ona.

– Nie potrafię panu udzielić na to odpowiedzi – odparł Romano. – Esencja życia, siła vitalna po prostu się ulatnia. To wszystko, co wiem.

Blake pokiwał powoli głową.

– Kate nie zasługiwała na taki los i ktoś powinien za to zapłacić – oświadczył. Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, gdy to mówił, był przerażający. – Dopilnuję, żeby tak się stało – dodał.

Kiedy wrócili do gabinetu kapitana, na automatycznej sekretarce nagrała się Helen Abruzzi. Parker wykręcił jej numer.

– Co nowego? – zapytał.

– Sprawdziliśmy dom Katherine Johnson, kapitanie. Ktoś się tam włamał.

– Niech to diabli! – zaklął Parker. – Dobrze, zaraz tam będziemy. Wyjaśnił Johnsonowi, co się stało. Kiedy przyjechali na Barrow Street, Helen Abruzzi już tam była.

– Nie ma śladu włamania, ale gabinet na piętrze został splądrowany. Trudno powiedzieć, co zabrano.

Poprowadziła ich na górę i otworzyła drzwi gabinetu. Wszędzie na podłodze leżały porozrzucone kasety wideo.

– Zostało coś z oprzyrządowania komputerowego? – zapytał Parker.

– Nic. Żadnych dyskietek, żadnych kaset, żadnych CD-ROM-ów.

– Ta sprawa robi się coraz bardziej śmierdząca.

– Ktoś tu czegoś szukał, Harry, to oczywiste – stwierdził Blake. – I prawdopodobnie znalazł. Pytanie brzmi, co to było? I dlaczego tego szukał? Czy ekipa dochodzeniowa już zebrała ślady? – zapytał Helen, która skinęła głową. – W takim razie czy mogłaby pani poprosić swoich ludzi, żeby przejrzyli te taśmy na podłodze? Może uda im się coś znaleźć.

– Zajmę się tym, proszę pana.

Blake zbiegł na dół po schodach.

– Dokąd teraz? – zapytał Parker.

– Do redakcji magazynu „Truth”. Chcę się spotkać z naczelnym Kate i dowiedzieć, nad czym ostatnio pracowała. Nie musisz ze mną jechać. Masz inne sprawy na głowie, Harry. Dam sobie radę.

– Jasne, poradzisz sobie jak wszyscy diabli – mruknął Parker. – Jedziemy razem.

Redaktor magazynu „Truth”, Rupert O’Dowd, należał do tych starych dziennikarskich wyjadaczy, którzy wszystko już widzieli, wszędzie byli i nie pokładali zbyt wielkiej wiary w dobrą naturę człowieka. Mimo to jednak, siedząc w samej koszuli w swoim gabinecie,

ze zgrozą zareagował na sugestię, że Katherine Johnson mogła zostać zamordowana.

– W jaki sposób mógłbym pomóc? – zapytał.

– Niech pan nam powie, nad czym pracowała – odparł Johnson. – Czy nie zajmowała się jakimś niebezpiecznym tematem?

O’Dowd zawahał się.

– W grę wchodzi kwestia etyki dziennikarskiej...

– W grę wchodzi również fakt, że moja żona została zamordowana w wyniku podania jej ogromnej dawki heroiny, panie O’Dowd. Więc niech pan nie bawi się ze mną w ciuciubabkę, bo pożałuje pan, że się w ogóle urodził.

O’Dowd podniósł rękę.

– Dobrze, dobrze, nie musi pan tak ostro zagrywać – odparł i wziął głęboki oddech. – Pracowała nad dużym artykułem demaskującym mafię.

Na chwilę zaległo milczenie.

– Czy to nie jest trochę zleżały temat? – zapytał Parker.

– Bynajmniej, chociaż oczywiście sami zainteresowani chcą, abyśmy tak myśleli. Pozwolicie panowie, że wyjaśnię. Zwierzchnią władzę w mafii pełni tak zwana Komisja, prawda? W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku Komisja wezwała do zakończenia krwawych porachunków w Nowym Jorku, ponieważ psuły ich publiczny wizerunek.

– Ico?

– Iw zeszłym roku znowu się zaczęło. Pięć trupów w Palermo w zeszłym miesiącu, trzy w Nowym Jorku, cztery w Londynie. Ale teraz wygląda to zupełnie inaczej: wszystko robi się po cichu, tak, żeby nie można było tych zabójstw z niczym powiązać. Poza tym legalizują swoją działalność. Nie przeczyta pan o nich w magazynie „Forbes”, tworzą jednak największą strukturę biznesu w Europie. Rynek narkotyków w Ameryce jest nasycony, przenieśli się więc do Europy Wschodniej i Rosji, ale teraz robią to za legalną fasadą.

– Co pan sugeruje? – zapytał Blake.

– Że dni mafiosów w złotych łańcuchach minęły. Dzisiaj noszą eleganckie garnitury i siedzą obok pana w restauracji Four Seasons lub w Piano Bar w londyńskim hotelu Dorchester. Inwestują w nieruchomości, rozrywkę, telewizję. We wszystko, co potrafi pan sobie wyobrazić.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Co to wszystko ma wspólnego z moją żoną? – spytał w końcu Blake.

– Jak już wspomniałem, zasadnicze znaczenie ma dla nich obecnie ten ich nowy wizerunek. Najbardziej wpływową rodziną jest w tej chwili rodzina Solazzo. Pierwsze skrzypce gra w niej Don Marco, ale ten stary diabeł ma siostrzeńca, niejakiego Jacka Foxa. Matka Foxa była siostrą Don Marca, Jack jest więc półkrwi Włochem, sprawia jednak wrażenie typowego Anglosasa. Podczas wojny w Zatoce służył w piechocie morskiej, dostał nawet medal za odwagę. Później skończył wydział prawa w Harvardzie i teraz to on reprezentuje na zewnątrz rodzinę Solazzo.

– Jaki to ma związek z Katherine? – powtórzył Blake.

– Udało jej się nawiązać znajomość z Foxem. Miała zamiar go zdemaskować. Nie tylko w serii artykułów na łamach magazynu, ale również w naszym kanale telewizyjnym... – O'Dowd na chwilę przerwał, po czym dodał: – Chciała zburzyć tę piękną fasadę i pokazać, co się za nią kryje.

– Czyli pokazać, kim jest rzeczywiście Fox – mruknął Parker.

– A on nie mógł na to pozwolić. – Blake pokręcił głową. – Więc teraz wszystko już wiemy. Proszę nie nadawać tej sprawie rozgłosu – powiedział do O'Dowda. – Niech pan mi zaufa i da trochę czasu. Gwarantuję, że dostanie pan ten materiał, który Kate chciała opublikować. Umowa stoi? – zapytał, podając mu rękę.

– Pewnie że stoi, do diabła!

Kiedy zeszli na dół, zadzwoniła komórka Parkera. Kapitan wysłuchał swojego rozmówcy i kiwnął głową.

– Zaraz tam będziemy – obiecał. – To Abruzzi – poinformował

Johnsona. – Uporządkowała kasety wideo. Pytała, czy nie zechciałbyś się im przyjrzeć.

– Czemu nie?

W gabinecie przy Barrow Street panował teraz o wiele większy porządek: kasety stały poustawiane elegancko na półkach.

– Na dwóch najwyższych półkach umieściłam filmy, a niżej kursy językowe i inne samouczki. Jest jedna kaseta związana z panem, panie Johnson – oznajmiła Helen Abruzzi. – Dlatego pomyślałam, że powinien pan ją zobaczyć.

– Co to znaczy „związana ze mną”?

– Na nalepce jest napis: „Rodzice Blake’a”.

– Moi rodzice umarli, kiedy byłem bardzo mały. W ogóle ich nie znałem – powiedział po chwili. – A moja żona wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny... Byłbym wdzięczny, gdyby puściła pani tę taśmę.

Usiadł na fotelu, Parker stanął za nim i na ekranie telewizora zamigotał obraz.

– „To tylko zabezpieczenie, Blake, kochanie, na wypadek gdyby coś poszło źle. Dla kogoś, kto był dumą FBI i zasłużył sobie na tę posadę w Białym Domu, znalezienie tej kasety to będzie bułka z masłem. – Kate uśmiechnęła się do kamery. – Ludzie, których staram się zdemaskować, rodzina Solazzo, to naprawdę wyjątkowi dranie. Don Marco jest niczym Marlon Brando z czwartej części *Ojca chrzestnego*: chłodny, spokojny i rzeczowy, mimo że wygląda jak poczciwy dziadunio”.

– Jezu! – mruknął Harry Parker.

– „Ale Don Marco to stara szkoła – ciągnęła Katherine. – Jack Fox jest inny. Prawdziwy amerykański bohater, złoty chłopak z Wall Street. Mógłbyś pomyśleć, że wywodzi się z bostońskiej arystokracji, w rzeczywistości jednak to zimny psychopata, najgorszy z nich wszystkich. Jeśli wejdiesz mu w drogę, jesteś martwy. Ale ja mam zamiar dobrać mu się do skóry. Uśpię jego czujność pierwszym artykułem, a potem łup! Nawet się nie obejrzy, jak go pograżę”.

Blake walnął zaciśniętą pięścią w blat stolika i Helen Abruzzi zatrzymała kasetę.

– Co pani robi, do diabła?

– Niech pan się uspokoi i weźmie głęboki oddech. Poza tym chcę panu dać coś do picia. Proszę mi zaufać.

Parker położył mu rękę na ramieniu.

– Ona ma rację, Blake.

Helen Abruzzi wróciła z kuchni ze szklanką w rękę.

– Udało mi się znaleźć tylko wódkę... Była w zamrażalniku.

– To właśnie lubiła, dobrze zmrożoną wódkę. – Blake wypił płyn jednym haustem. – Dobrze, niech pani puści dalej.

Ekran ponownie zamigotał.

– „Uśmiechnęło się do mnie szczęście. Znalazłam faceta o nazwisku Sammy Goff, który zajmował się u Jacka Foxa księgowością. Miły gość. Bardzo lubi mężczyzn i jest bardzo chory. Złapał AIDS i dlatego właśnie Jack Fox wyrzucił go z roboty. Któregoś dnia jadłam z Foxem obiad na Manhattanie. Fox wyszedł wcześniej i Goff przysiadł się do mojego stolika. »Wygląda pani na miłą kobietę – oznajmił – i dlatego niech pani uważa. To nie jest facet dla pani«”.

W tle zadzwonił telefon i Kate wstała, żeby go odebrać. Po chwili wróciła.

– „Ten Goff stał już jedną nogą w grobie i był zgorzkniały – mówiła dalej. – Okazałam mu trochę serca i po trzech martini rozwiązał mu się język. To, co opowiedział, było bardzo ciekawe. Oto w skrócie cała historia. Fox reprezentuje rodzinę na zewnątrz. Jest inteligentny i bardzo sprytny, ale nigdy nie zadowala się tym, co ma. Grał na giełdzie, używając pieniędzy rodziny, i dużo stracił, szczególnie podczas kryzysu azjatyckiego. Nie wiem, jak dalece Don Marco jest w tym zorientowany, Fox przetrzymał kryzys, ponieważ zarządza flagowym kasynem rodziny Solazzo, londyńskim Colosseum. Napływ żywej gotówki stamtąd jest dla niego bardzo ważny. Nie może czerpać profitów z opanowanego przez rodzinę rynku narkotyków w Rosji oraz w Europie Wschodniej, ale ma swoje własne źródła zasilania, które pomagają mu

utrzymać się na powierzchni. W Brooklynie jest duży skład o nazwie Hadley's Depository. Jediną rzeczą, którą tam przechowują, jest whisky. Tani sikacz. Alkohol jest rozwadniany, a potem z dużym zyskiem rozprowadzany do klubów”.

– Nie chce mi się wierzyć, że Don nic o tym nie wie – mruknął Parker, ale Blake machnął ręką, żeby się nie odzywał.

– „Kolejne źródło gotówki zapewniają mu kontakty, które utrzymuje w Londynie z braćmi Jago – ciągnęła Kate. – To spece od mokrej roboty, stwierdził Sammy Goff. Włamanie z bronią w rękę, tego rodzaju rzeczy. Zawsze można w ten sposób pokryć straty poniesione w wyniku chybionych inwestycji na Dalekim Wschodzie. Co gorsza, Fox zaangażował się w dostarczanie broni, przede wszystkim dla IRA. Pomógł niejakiemu Brendanowi Murphy'emu, który stara się zakłócić proces pokojowy w Wielkiej Brytanii i zamierza zbudować betonowy schron w hrabstwie Louth w Irlandii. Ma być tam wszystko: od moździerzy po ciężkie karabiny maszynowe, które mogą zestrzelić wojskowy helikopter. No i mnóstwo semteksu”.

– Mój Boże – szepnęła cicho Helen Abruzzi.

– „Goff powiedział mi, że za pośrednictwem Murphy'ego Fox prowadzi również jakieś brudne interesy w Bejrucie. Broń dla Saddama, tego rodzaju sprawy. Co jeszcze? Fox nie ma podobno domu w Londynie. Zatrzymuje się na ogół w hotelu Dorchester, ale ma również stary zamek i posiadłość w Kornwalii. Bardzo rustykalną i bardzo ustronną. Nazywa się Hellsmouth i leży gdzieś niedaleko Land's End”.

W tle znowu zadzwonił telefon. Kate zniknęła z ekranu, po czym szybko wróciła.

– „Zapowiada się niesamowity materiał, głównie dzięki Sammy'emu Goffowi. Bardzo chciałabym go opublikować, Blake, ale w życiu nie ma nic pewnego. Nie dalej jak wczoraj biedny, stojący jedną nogą w grobie Sammy zalał pałę i zginął w wypadku samochodowym. Kierowca zbiegł. Czy to był rzeczywiście wypadek? Nie sądzę. Sammy po prostu za dużo wiedział”.

Obraz na ekranie zamigotał i zanikł dźwięk, ale po chwili wszystko

wróciło do normy. Kate uśmiechnęła się promiennie.

– „A więc oglądasz mnie, Blake. Chciałabym wierzyć, że dobrzy ludzie zwyciężą, ale życie jest czasami takie podłe. Jeśli mnie oglądasz, to oznacza, że wygrali ci źli. – Uśmiech na chwilę zniknął z jej twarzy, a potem pojawił się ponownie, jednak tym razem trochę smutniejszy.

– Uważaj na siebie i pamiętaj, że mimo wszystko zawsze cię kochałam”.

Helen Abruzzi wyłączyła magnetowid. Blake siedział dłuższy czas bez ruchu, z pociemniałą twarzą.

– Byłbym wdzięczny, gdyby przewinęła pani tę taśmę z powrotem – mruknął.

– To dowód rzeczowy, proszę pana.

– Skopiuj mu po prostu tę taśmę – powiedział Parker.

Blake wstał i podszedł do okna. Po kilku chwilach odwrócił się.

– W porządku, Harry, załatw mi spotkanie z tym sukinsynem.

– Będę to musiał uzgodnić z prokuratorem okręgowym.

– Uzgodnij to nawet z papieżem, jeśli masz ochotę. Chcę spojrzeć w twarz Jackowi Foxowi.

– Może powinien pan trochę odpocząć – zasugerowała Abruzzi.

Blake wyjął z wewnętrznej kieszeni kartkę i pokazał jej.

– Zapewne nigdy pani czegoś takiego nie widziała. Harry miał już okazję. To specjalne pełnomocnictwa wydane przez prezydenta. Od tej chwili, podobnie jak Parker, nie podlega pani nowojorskiej policji, ale bezpośrednio mnie.

Nazajutrz rano Parker i Blake wsiedli do policyjnego buicka, który stał przed hotelem Plaza. Z tyłu siedziała elegancko ubrana, sympatyczna kobieta koło czterdziestki. Obok niej na podłodze stała teczka.

– Zastępca prokuratora okręgowego, pani Madge McGuire – przedstawił ją Parker.

McGuire podała dłoń siedzącemu z przodu Blake'owi i samochód

ruszył z miejsca.

– Rozumiem, że jest pan agentem FBI, panie Johnson.

– Byłem. – Blake odwrócił się do Parkera. – Powiedziałaś jej?

– Jak mógłbym?

Blake pokazał jej specjalne pełnomocnictwa wydane przez prezydenta. Kiedy je przeczytała, schował kartkę z powrotem do kieszeni.

– Co pani sądzi o tej sprawie?

– Tracimy tylko czas. Do diabła, panie Johnson, wszyscy znamy prawdę, ale nie możemy jej udowodnić. Przekona się pan: Fox będzie uprzedzająco grzeczny. Obieca, że udzieli nam wszelkiej możliwej pomocy, a jakże, ale wychodząc od niego, będziemy tak samo mądrzy jak przedtem. Będzie tam również jego adwokat, Carter Whelan. To istny wąż.

– Nie szkodzi.

– W porządku. Jestem zobowiązana udzielić panu wszelkiej możliwej pomocy, ale pozwoli pan, że będę robiła to, co do mnie należy.

– Proszę się nie krępować.

Kiedy weszli do gabinetu, Fox siedział za biurkiem w nieskazitelnym granatowym garniturze. Zobaczyli przystojną twarz i zaczesane do tyłu włosy. Siedzący obok niski łysiejący mężczyzna, Carter Whelan, ubrany był w czarny garnitur.

– Nazywam się Madge McGuire, jestem zastępcą prokuratora okręgowego. A to kapitan Harry Parker.

– Miło mi panią poznać, pani McGuire. Jestem pewien, że zna pani mojego adwokata, Cartera Whelana. I wie pani bez wątpienia, że sam też jestem prawnikiem. Czy mogę spytać, kim jest ten drugi dżentelmen?

– Nazywam się Blake Johnson i również jestem prawnikiem – poinformował go Blake.

– On nie ma prawa tutaj przebywać – oświadczył natychmiast Whelan.

– Nie mam nic przeciwko temu – przerwał mu Fox. – Ze smutkiem

dowiedziałem się o przedwczesnej śmierci Katherine Johnson. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dowody wskazują, że śmierć pani Johnson nie była wynikiem wypadku. Czy ma pan coś do powiedzenia na ten temat?

– Nie musisz odpowiadać na żadne tego rodzaju pytania – wtrącił Whelan.

– Dlaczego nie? – Fox wzruszył ramionami. – Nie mam nic do ukrycia. Znałem Katherine Johnson. Udzieliłem jej wywiadu i napisała o mnie artykuł do magazynu „Truth”. Zamieścili go w ostatnim numerze. Właściwie jest bardzo pochlebny.

– Z wyjątkiem informacji o rodzinie Solazzo.

– Niech pan nam powie, jak dobrze znał pan Katherine – zażądał Parker.

– Bardzo dobrze.

– Bardzo dobrze?

Fox najwyraźniej zmagał się sam ze sobą.

– Mieliśmy krótki romans – przyznał w końcu. – Trwał zaledwie kilka tygodni i nie chciałem o tym wspominać, żeby jej w jakiś sposób nie zaszkodzić. Na Boga, przecież ta kobieta nie żyje.

Bardzo przekonująco grał rolę dżentelmena.

– Czy widział pan kiedykolwiek, żeby brała heroinę? – zapytała Madge McGuire.

Fox ponownie się zawahał. Wstał, podszedł do okna, a potem odwrócił się.

– Tak, raz. Złapałem ją na tym w jej mieszkaniu. Byłem wstrząśnięty, próbowałem przemówić jej do rozsądku. Twierdziła, że dopiero zaczęła, i obiecała, że z tym zerwie, ale... domyślam się, że nie zerwała.

– Najwyraźniej nie była zbyt doświadczoną narkomanką – oświadczył Whelan. – Musiała niechcący wziąć za dużą dawkę. A może ta partia heroiny była wyjątkowo szkodliwa.

– Mimo to w tej sprawie występują pewne niejasności – powiedział Parker.

– Które z pewnością nie mają nic wspólnego z moim klientem –

oświadczył Whelan i odwrócił się do Madge McGuire. – Czy to już koniec?

– Tak – odparła prokurator i wstała z krzesła. – Na razie to wszystko. Dziękuję za współpracę.

– Czy pan Johnson nie ma nic do powiedzenia? – zapytał Fox.

Blake wstał. W jego pobladłej twarzy gorączkowym blaskiem płonęły ciemne oczy.

– Nie mam. Wszystko jest jasne – stwierdził, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Nie uda się wygrać tej sprawy, panowie – oświadczyła Madge w samochodzie. – Nie warto nawet zaczynać. Fox wyjaśnił nam właśnie, dlaczego Katherine nie miała żadnych nakłuc. Niedawno zaczęła ćpać i nie wiedziała, jak to się robi.

– Ale czy nie zostałyby jakieś ślady, gdyby wstrzyknęła sobie coś wcześniej?

– Niekoniecznie, jeśli zdarzyło się to tylko kilka razy. Whelan będzie się nam śmiał w twarz w sądzie, panie Johnson. Ta sprawa jest podejrzana i nie wiemy nawet połowy tego, co się za nią kryje, ale nie możemy nic zrobić.

– Im człowiek starszy, tym trudniej mu się z tym pogodzić. – Parker potrząsnął głową. – Jestem gliniarzem wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy coś śmierdzi, a w tym przypadku tak właśnie jest.

Blake zapalił papierosa i odchylił głowę do tyłu.

– Ale gdzie w tym wszystkim jest sprawiedliwość? – powiedział.

– O co panu chodzi? – zapytała Madge.

– Co się dzieje, jeśli sprawiedliwości nie staje się zadość, bo prawo nie działa tak, jak trzeba? Czy człowiek może ją sam wymierzyć?

– To, o czym mówisz, na pewno nie będzie zgodne z prawem – powiedział Parker.

– Chyba nie.

– Co teraz zrobisz, Blake?

– Wrócę do Waszyngtonu. Zobaczę się z prezydentem. Zajmę się pogrzebem. – Samochód zatrzymał się przy hotelu Plaza. Blake uściskał dłoń Parkera i odwrócił się do Madge. – Bardzo pani dziękuję, pani McGuire.

Wysiadł i wszedł po schodkach do hotelu.

– Czy myślisz to samo co ja, Harry? – zapytała Madge, kiedy samochód ruszył z miejsca.

– Tak, i jeśli się nie mylimy, niech Bóg ma w opiece Jacka Foga.

W gabinecie Fog czekał na zamówiony przez siebie komputerowy wydruk dossier Blake'a Johnsona. Kiedy zaczął go czytać, rozległo się pukanie i do środka wszedł Falcone.

– Chciałem tylko zapytać, *signore*, czy mnie pan nie potrzebuje?

Fog podał mu wydruk i Falcone szybko go przeczytał.

– Imponujące akta.

– Cholernie imponujące. Wojenny bohater, agent FBI, zasłonił własną piersią prezydenta, obrywając za niego kulą. Ale dalej jest blokada. Co robił ostatnio? Muszę zaangażować naszych najlepszych ludzi, żeby się tego dowiedzieć.

– Czy stanowi dla nas jakieś zagrożenie?

– Oczywiście. Ani na chwilę nie uwierzył w to, co mówiłem o jego żonie. Spoglądałem w oczy wroga w Iraku, Aldo, i wiem, co zobaczyłem w oczach Blake'a Johnsona. Nie było w nich nawet gniewu. Wyłącznie chęć odwetu. Będzie chciał się zemścić i musimy być na to przygotowani.

– W dzień i w nocy, *signore*.

Falcone wyszedł, a Fog podszedł do okna i patrzył przez chwilę na smagany deszczem i śniegiem Manhattan. To dziwne, ale wcale się nie bał. Był podekscytowany.

4

Gdy w grę wchodziło włamanie do cudzego komputera, Fox korzystał z usług niezawodnego eksperta: Żydówki Maud Jackson, która była emerytowaną profesorką informatyki na MIT, wdową, a także nieuleczalną hazardzistką. Licząca sobie siedemdziesiąt lat starsza pani mieszkała w Crown Heights i cierpiała na chroniczny brak gotówki, ponieważ nie wiodło się jej najlepiej przy zielonym stoliku.

Fox umówił się z nią w miejscowym barze. Popijając chablis i paląc papierosa, wysłuchiwała tego, co miał jej do powiedzenia o Blake'u Johnsonie.

– Rzecz w tym, że na faceta założyli blokadę.

– Podobnie jak w przypadku blokady drogowej, Jack, zawsze można znaleźć jakiś objazd.

– Owszem. Któż jest w tym lepszy niż ty?

– Pochlebstwem możesz osiągnąć wszystko, ale ten facet był agentem FBI i sprawa jest poważna.

Maud zapaliła kolejnego papierosa, Fox podał jej ogień. Farbowane rude włosy i przenikliwe oczy starszej pani budziły w nim odrazę, ale musiał przyznać, że jest genialna.

– Dobrze, Maud. Zapłacę ci dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Zapłacisz dwadzieścia pięć tysięcy, Jack, a ja z radością spełnię twoje życzenie.

Fox pokiwał głową.

– Zgoda. Jest tylko jeden mały problem. Potrzebuję tego na wczoraj.

– Nie ma sprawy. – Maud wypłała swoje chablis, wstała i wycelowała palec w Falconego. – Jeśli ten wielki małpiszon zawiezie mnie do domu, mogę od razu zabrać się do dzieła.

Falcone mile się do niej uśmiechnął.

– Z przyjemnością, *signora*.

Dotarcie do potrzebnych informacji zabrało jej zaledwie trzy godziny. Blake Johnson, były agent FBI, pełnił teraz funkcję szefa tak zwanej Piwnicy, tajnej prezydenckiej jednostki do zadań specjalnych. Odkryła również jego bardzo ciekawe powiązania z Londynem. Wyglądało na to, że Johnson utrzymywał bliskie stosunki z funkcjonującą przy biurze brytyjskiego premiera jednostką wywiadowczą, którą dowodził niejaki brygadier Charles Ferguson i która zatrudniała między innymi byłego bojownika IRA, Seana Dillona. Wszystko tam było: opisy akcji, adresy i telefony. Maud wystukała numer Foxa i poprosiła, żeby ją z nim połączono.

– Jack, tu Maud – odezwała się.

– Masz coś?

– Nie wiem, co jest grane, Jack, ale to, co znalazłam, to czysty dynamit, więc nie targuj się, tylko przyślij zaraz Falconego z trzydziestoma tysiącami w gotówce.

– Umówiliśmy się na dwadzieścia pięć tysięcy, Maud.

– Jack, to jest lepsze niż film, który puszczają po północy. Wierz mi, warto zapłacić ekstra pięć kawałków.

– W porządku. Falcone będzie u ciebie za godzinę.

– I bez żadnych numerów, Jack.

– Nie żartuj. Jesteś dla mnie zbyt ważna.

Falcone wrócił po półtorej godzinie z komputerowym wydrukiem. Fox nie wiedział oczywiście, że po drodze zatrzymał się i kazał go skopiować.

Przejrzał wydruk – życiorys Johnsona, jego londyńskie powiązania, parę słów na temat Fergusona oraz Dillona, fotografie – i potrząsnął głową.

– Mój Boże...

– Jakieś kłopoty, *signore*?

– Nie, raczej coś, czego w ogóle się nie spodziewałem. Stara dziwka spisała się na medal. Przeczytaj.

Falcone przeczytał wydruk już wcześniej, ale udał, że go nie zna. Pokiwał głową i oddał kartkę z kamienną twarzą.

– Ciekawe – mruknął.

Fox roześmiał się.

– Można tak powiedzieć. Choćby ten Dillon... – Potrząsnął głową. – Niezły przyjemniaczek. Tak czy owak, zawsze dobrze wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Oczywiście.

– Możesz odejść. Zabierzesz mnie o ósmej na kolację.

Falcone wyszedł i pół godziny później znalazł się w apartamencie Don Marca Solazzo w Trump Tower. Starszy pan zapoznał się z kopią wydruku i z zainteresowaniem przejrzał fotografie.

– Dobrze się spisałeś, Aldo.

– Dziękuję, Don Marco.

– Jeśli odkryjesz coś więcej, natychmiast daj mi znać.

Solazzo wyciągnął dłoń i Falcone pocałował ją.

– Jak zawsze, Don Marco.

Okna gabinetu Charlesa Fergusona na trzecim piętrze brytyjskiego Ministerstwa Obrony wychodziły na Horse Guard Avenue. Brygadier siedział przy swoim biurku, przerzucając z miejsca na miejsce papiery. Był to zwalisty mężczyzna w wygniecionym garniturze i krawacie gwardii.

Zadzwoił brzęczyk interkomu i Ferguson wcisnął przycisk.

– Czy jest już Dillon?

– Tak, brygadierze – odpowiedział kobiecy głos.

– Dobrze. Możecie wejść.

Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka weszła komisarz

Wydziału Specjalnego, Hannah Bernstein, którą przydzielono w charakterze asystentki Fergusonowi – mniej więcej trzydziestoletnia, ubrana w żółty kostium, z krótko uciętymi rudymi włosami i w okularach w rogowych oprawkach. Wielu ludzi lekceważyło ją z powodu niepozornej powierzchowności i gorzko potem tego żałowało. Z jej ręki zginęło czterech przestępców.

Stojący za nią mężczyzna, Sean Dillon, miał nie więcej niż cztery stopy i pięć cali wzrostu i jasne, prawie białe włosy. Ubrany był w starą skórzaną kurtkę i sztruksowe spodnie, na szyi miał biały szalik. Jego oczy pozbawione były barwy, a usta skrzywione w ironicznym uśmiechu, wskazującym, iż nie bierze życia zbyt poważnie. Niegdyś aktor, a później najbardziej nieubłagany poborca haraczy, jakiego kiedykolwiek miała IRA, od kilku lat służył w jednostce określanej mianem prywatnej armii brytyjskiego premiera.

– Czy komuś obito się coś o uszy? – zapytał Ferguson. – Stale docierają do nas pogłoski o tajnych składach broni należącej do IRA, lecz nadal nie wiemy nic konkretnego. Wiesz coś, Sean?

– Nic a nic – odparł Dillon.

– Co w takim razie mamy robić, brygadierze? – zapytała Hannah Bernstein.

Zanim Ferguson zdążył odpowiedzieć, na jego biurku zadzwonił telefon. Brygadier podniósł słuchawkę i po chwili na jego twarzy odbiło się zaskoczenie.

– Tak jest. Oczywiście... chciałby pan z nim mówić? Właśnie tu jest. Chwileczkę. – Zasłonił dłonią słuchawkę. – Dillon? Prezydent Cazalet chciałby zamienić z tobą dwa słowa.

Dillon zmarszczył czoło i wziął do ręki słuchawkę.

– Słucham, panie prezydencie.

– Mam dla ciebie złe wieści, drogi przyjacielu – powiedział Cazalet.

– Dotyczą Blake’a Johnsona...

Zakończywszy rozmowę, Dillon przekazał wiadomość Fergusonowi i Hannah Bernstein, po czym podszedł do okna i przez chwilę wyglądał na zewnątrz.

– Pogrzeb jest pojutrze. Jadę tam, brygadierze.

Ferguson podniósł rękę.

– Byliśmy z Johnsonem w najgorszych opałach. Wszyscy tam pojedziemy. Jesteśmy mu to winni. Niech pani zamówi samolot – powiedział, zwracając się do Hannah.

Kremacja Katherine Johnson, która odbyła się dwa dni później, była bardzo przygnębiająca. Obsługa puściła fałszywie brzmiącą muzykę z taśmy, a pastor, który wyglądał, jakby wypożyczył swój kostium z telewizyjnej garderoby, wygłosił banalną mowę.

Ferguson, Dillon oraz Hannah przybyli w połowie ceremonii, akurat w porę, by zobaczyć, jak trumna znika za plastikową kotarą. Poza tym w pogrzebie uczestniczyli tylko pracownicy krematorium i dwie osoby z magazynu „Truth”. Blake zapłacił, odwrócił się i zobaczył swoich przyjaciół. Jego twarz mówiła wszystko.

Hannah Bernstein objęła go, a Ferguson uściśnął mu dłoń. Tylko Dillon stał nieruchomo z tyłu. Po chwili pochylił głowę i wyszedł.

Przystanęli potem na schodach w padającym deszczu i Dillon zapalił papierosa.

– Wysłuchałem tego, co miał do powiedzenia prezydent, a teraz chcę to usłyszeć od ciebie – oznajmił. – Kilka razy ocaliłeś mi życie, a ja ocaliłem twoje. Nie ma między nami tajemnic, Blake.

– Masz rację, Sean. Żadnych tajemnic.

– Więc usiądźmy razem z brygadierem i Hannah w limuzynie i powiedz nam, co wiesz.

Blake opowiedział im wszystko, łącznie z tym, co Katherine nagrała na kasecie wideo. Kiedy skończył, siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Z mojego punktu widzenia najgorszy jest handel bronią z IRA oraz konszachty z Brendanem Murphym – stwierdził Ferguson, potrząsając głową. – No i oczywiście powiązania z Bejrutem, współpraca z Saddamem. Musimy z tym coś zrobić. Co pani o tym sądzi? – zapytał, zwracając się do Hannah.

– Że Fox ma problemy. Zgarnął pieniądze Komisji i teraz usiłuje wycisnąć, ile się da, z londyńskiego Colosseum. Bejrut i Irlandia to desperackie próby zdobycia jakiejś gotówki.

– Te napady organizowane wspólnie z braćmi Jago to objaw jeszcze większej desperacji – dodał Dillon.

– Znasz ich? – zapytał Ferguson.

– Nie, ale jestem pewien, że zna ich Harry Salter.

– Salter?

– Zna go pan, brygadierze – powiedziała Hannah. – To londyński gangster i przemytnik. Ma w Wapping pub, Dark Man.

– Teraz sobie przypominam – mruknął Ferguson.

– Zaangażował się w przebudowę magazynów przy brzegu Tamizy, szmugluje także alkohol i papierosy z Europy.

– Ale nie zajmuje się narkotykami ani prostytutką – przypomniał jej Dillon.

– Tak, to reprezentant starej szkoły. Bardzo miły. Zabija swoich rywali tylko wtedy, kiedy jest to bezwzględnie konieczne.

Dillon wzruszył ramionami.

– Nie powinni wchodzić mu w drogę. Tak czy inaczej, jestem pewien, że pomoże nam uporać się z braćmi Jago i przy okazji z Foxem. Ma dobrą ekipę: swojego bratanka Billy’ego Saltera oraz Joego Baxtera i Sama Halla.

– Ci ludzie to łotry spod ciemnej gwiazdy – stwierdziła Hannah.

– W porównaniu z Jackiem Foxem są łagodni jak baranki. – Dillon uśmiechnął się. – Jeśli jednak Fox nadejrze im na odcisk, mogą stać się jego najgorszym koszmarem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– No cóż, zobaczymy – powiedział w końcu Ferguson. – Porozmawiamy o tym w drodze do Londynu.

– Ja nie wracam, brygadierze – oznajmił Dillon. – Nie brałem urlopu od dwóch lat. Nadeszła chyba pora, żebym trochę odpoczął.

– Nie planujesz chyba nic głupiego, Sean? – zapytał Ferguson.

– Czy ja wyglądam na kogoś takiego, brygadierze? – Dillon

pocałował Hannah w policzek. – Jedźcie. Zobaczymy się w Londynie. Pojadę z Blakiem.

Hannah zmarszczyła brwi.

– Słuchaj, Sean...

– Daj spokój – przerwał jej, po czym wysiadł i ruszył w stronę limuzyny Blake'a.

Kiedy wracali na Manhattan, Dillon zasunął szybkę dzielącą ich od kierowcy.

– Rozumiem, że bierzemy Foxa w obroty.

– Powiedziałaś „bierzemy”?

– Nie baw się ze mną w ciuciubabkę, Blake. Jeśli ty w to wchodzisz, ja wchodzę w to również, z tak wielu powodów, że nie muszę ich tutaj wyłuszczać.

– Nikt nie powinien ginąć taką śmiercią, Sean. Potrafisz to sobie wyobrazić? Ciemna, deszczowa noc przy nabrzeżu... Wstrzyknięta przemocą śmiertelna dawka. – Johnson potrząsnął głową. – Dopilnuję, żeby Fox smażył się w piekle, i nie mów mi nic o prawie i porządku. Załatwię go, choćbym musiał poruszyć niebo i ziemię, więc radzę ci, żebyś trzymał się od tego z daleka.

Dillon odsunął szybkę.

– Niech pan zatrzyma się tutaj na pięć minut i da nam parasol – polecił kierowcy.

Ten zrobił, o co go proszono, a Dillon wysiadł i otworzył nad sobą i Blakiem wielki golfowy parasol. Stanęli przy murku i przez chwilę patrzyli na East River. Dillon zapalił papierosa.

– Posłuchaj, Blake... Należysz do ludzi, dzięki którym ten świat może stać się lepszy, a Jack Fox przeciwnie: do tych, przez których staje się coraz gorszy.

– A ty kim jesteś, Sean?

Dillon odwrócił się. Jego oczy były nieprzeniknione, na twarzy nie malowały się żadne emocje.

– Och, ja stanę się jego najgorszym koszmarem, Blake. Przez dwadzieścia pięć lat brałem udział w czymś, co uważałem za wojnę między Brytyjczykami i IRA. Fox i jego pieprzona mafia mają się za wielkich chojraków, ale wiesz, co ci powiem? Nie przeżyliby nawet pięciu minut w Belfaście.

– Więc co sugerujesz?

– Wypłoszymy tę bestię z matecznika, ale zrobimy to na mój sposób. Za łatwo byłoby zastrzelić go gdzieś na ulicy. Chcę, żeby odbyło się to powoli i boleśnie. Będziemy stopniowo niszczyć jego żałosne małe imperium, aż nie zostanie kamień na kamieniu. I wtedy go dobijemy.

Blake uśmiechnął się.

– To mi się podoba. Od czego zaczniemy?

– Według Katherine, facet ma w Brooklynie tę halę, Hadley's Depository, w której produkuje tanią gorzałę.

– I co z tego?

– Rozwalimy tę budę.

– Mówisz serio?

– Jasne. Tylko we dwóch.

Blake pobladał z podniecenia.

– Naprawdę nie żartujesz?

– To dopiero początek, staruszk.

– To znaczy, że wchodzisz w to, na Boga.

Należąca do Foxa hala stała przy nabrzeżu, nieopodal Clark Street. Była jedenasta w nocy, kiedy Dillon i Blake podjechali starą ciężarówką Forda i zatrzymali się przy krawężniku. Deszcz nadal zacinał czarnymi strugami.

Stanęli przy murku, Dillon zapalił papierosa i uważnie przyjrzeni się budynkowi.

– To nie powinno być trudne – stwierdził Sean. – Ty, ja i nikt więcej. Szybka robota.

– Jest tylko jedna rzecz... – powiedział Blake. – Nie chcę, żeby

doszło do ofiar w ludziach.

– Nie ma sprawy. Jeśli pracują tu na nocną zmianę, damy sobie spokój. Jeśli na miejscu jest tylko ochrona, poradzimy sobie z nimi. Jediną ofiarą będzie Jack Fox i jego dochody z gorzelnianego interesu. – Dillon roześmiał się i szturchnął Blake’a w ramię. – Hej, zaufaj mi. Na pewno nam się uda.

Nazajutrz Blake usiadł przy komputerze i sprawdził miejskie i policyjne archiwa, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, na temat Hadley’s Depository. Kiedy spotkał się z Dillonem na lunchu w małej włoskiej restauracji, widać było, że wstąpiły w niego nowe siły.

– To śmieszne, ale policja nic nie wie o tym miejscu – oświadczył.

– Oznacza to, że Fox jest chytrym sukinsynem. Masz jakieś informacje o tym, jak oni funkcjonują?

– Znam firmę, która ich ochrania. Hali strzeże dwóch mężczyzn. Ale skoro magazyn nie jest faktycznie tym, na co wygląda, nigdy nie wiadomo. Mogą tam pracować na nocną zmianę.

– Zobaczymy – mruknął Dillon i jego wargi wykrzywił diaboliczny uśmiech. – Nie ma na co czekać, Blake. Po prostu wejdziemy tam i rozwalimy całą budę. To da Foxowi do myślenia.

– Kiedy?

– Oczywiście dziś w nocy, – Masz rację. Niech go diabli wezmą.

Była północ, kiedy podjechali starym fordem pod Hadley’s Depository. Blake, który siedział za kierownicą, skręcił w boczną alejkę. Obaj mieli na sobie ciemne spodnie i swetry. Przed wyjściem z szoferki naciągnęli na twarze kominiarki, a Dillon wyjął z torby browninga i wsadził go sobie z tyłu za pasek.

– Weź drugą torbę – powiedział Blake’owi. – Tę z laskami semteksu. Ruszajmy.

Halę otaczało wysokie na dziewięć stóp ogrodzenie. Dillon złożył dłonie, pomógł Blake’owi wdrapać się na jego szczyt, a potem podał mu torbę, złapał wyciągniętą rękę i sam wspiął się na górę. Kiedy przykucnęli po drugiej stronie, zaczął padać deszcz.

– Do dzieła – szepnął Dillon.

W małym oświetlonym kantorku przy dziedzińcu rzeczywiście siedzieli dwóch ochroniarzy. Dillon i Blake weszli do hali przez drzwi, które, o dziwo, zostawiono otwarte. Wewnątrz zobaczyli skomplikowane urządzenia, najwyraźniej niezbędne w procesie produkcji, oraz wielkie kadzie i skrzynie z butelkami, z których wiele miało egzotyczne nalepki.

Dillon wziął jedną z nich do ręki.

– Highland Pride Old Scots Whisky – przeczytał.

– Jeśli w to uwierzysz, możesz uwierzyć we wszystko – mruknął Blake.

– Nie traćmy czasu.

Dillon otworzył torbę, którą niósł na ramieniu, wyjął kilka dostarczonych przez Blake'a lasek semteksu z zapalnikami i umieścił je w odpowiednich miejscach.

– Kiedy wybuchną? – zapytał Blake.

– Za dziesięć minut. Wypłoszmy teraz strażników.

Ochroniarze grali właśnie w *Trivial Pursuit*. Dillon i Blake weszli do kantorka i Sean odebrał broń strażnikom.

– Jeśli wam życie miłe, pryskajcie szybko na ulicę – polecił.

Bez słowa sprzeciwu zrobili to, co im kazał, i po kilku chwilach wszyscy razem znaleźli się za główną bramą. W tym samym momencie semteks eksplodował i zapaliła się whisky w kadziach.

Dillon złapał jednego z ochroniarzy za kołnierz.

– Słuchaj, masz przekazać wiadomość. Nie policji, ale Jackowi Foxowi. Powiedz mu, że to dopiero początek. Za Katherine Johnson. Rozumiesz? A teraz spadajcie stąd w podskokach.

Natychmiast wykonali ten rozkaz.

Dillon i Blake odjechali kilkaset jardów dalej i, przyglądając się płomieniom, czekali na straż pożarną.

– To dziwne, ale wcale nie czuję wyrzutów sumienia – stwierdził Blake.

– Dlaczego miałbyś je czuć? Fox to morderca.

– Pracuję dla prezydenta, Sean. A ty pracujesz dla brytyjskiego

premiera.

– Nie dbam o to. Tak czy inaczej, Fox pójdzie na dno.

Nazajutrz rano Jack Fox zjawił się w Trump Tower, wezwany tam przez Don Marca. Starszy pan siedział przy kominku, popijając kawę.

– Słyszałem, że to była zła noc, Jack.

Po krótkim wahaniu Fox uznał, że lepiej będzie ujawnić chociaż część prawdy.

– Tak, wuju. Cała hala spłonęła w pożarze. Dzięki Bogu, że była ubezpieczona.

– Ubezpieczony był tylko sprzęt, a nie whisky warta parę milionów.

– Don potrząsnął głową. – To bardzo niefortunne zdarzenie. Jednak takie rzeczy się zdarzają. Czy masz coś do dodania? Coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

– Nie, wuju – odparł po krótkiej chwili Fox.

– W takim razie do zobaczenia.

Fox wyszedł. Po chwili do gabinetu zajrzał Falcone.

– Słucham, Don Marco?

– Nie ma go już?

– Nie.

– To dobrze. Wprowadź tego ochroniarza. Mój siostrzeniec zapomniał o nim wspomnieć.

– To godne pożałowania, *signore*.

– Ale ty nie zapomniałeś, Aldo, i jestem ci za to wdzięczny.

Don Marco nalał sobie kolejną filiżankę kawy i po chwili Falcone wprowadził strażnika.

– Jak się nazywasz? – zapytał Don Marco.

– Mirabella, *signore*.

– Jesteś więc moim ziomkiem. To dobrze. Opowiedz, co się wydarzyło.

Mirabella spełnił polecenie.

– Powtórz jeszcze raz, co powiedział człowiek w masce – poprosił

Don Marco.

Mirabella miętosił w dłoniach czapkę.

– Uprzedził, że ta wiadomość nie jest dla policji. „Przekaż Jackowi, że to dopiero początek. – Za Katherine Johnson”.

– Dziękuję ci. – Don Marco spojrzał na Falconego. – Zaopiekuj się nim, a potem wróć tutaj.

Po mniej więcej dwudziestu minutach Falcone pojawił się z powrotem. Don stał przy oknie, trzymając w palcach kubańskie cygaro. Falcone podał mu ogień i Don Marco uśmiechnął się.

– Dobry z ciebie chłopak, Aldo. Twój ojciec należał do moich najbardziej zaufanych ludzi, póki ten świnią Virelli nie zamordował go podczas wycieczki do Palermo. Był zawsze lojalny, a lojalność to podstawa wszystkiego.

– Oczywiście, Don Marco.

– A ty wobec kogo jesteś lojalny? Przyjaźnisz się z moim siostrzeńcem od dzieciństwa.

Falcone podniósł dłoń.

– Przede wszystkim jestem lojalny wobec pana.

Don Marco poklepał go po piersi.

– Jesteś moją pociechą na stare lata. Będziesz spełniał wszelkie życzenia Jacka, to się rozumie samo przez się, ale jednocześnie będziesz mnie informował o tym, co się dzieje, prawda, Aldo?

– Zawsze, *signore*.

- Dobrze. A teraz ruszaj.

Jack Fox siedział z wielkimi tego świata – oraz z tymi, którzy wcale nie przynosili temu światu chluby – w grill barze restauracji Four Seasons i, sącząc szampana, starał się pogodzić z tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Szczególnie denerwująca była rozmowa z Mirabellą, o której z oczywistych powodów nie wspomniał wujowi. Falcone i Russo stali pod ścianą.

– Przyszli pańscy goście – oznajmił kelner, podchodząc do stolika.

– Moi goście...?

Fox podniósł wzrok i zobaczył zbliżających się Dillona i Blake'a. Falcone wysunął się do przodu, lecz Fox dał mu znak, żeby nie interweniował. Dwaj mężczyźni usiedli. Dillon nalał sobie szampana i upił łyk.

– Ten facet zupełnie nie zna się na rzeczy – poinformował Blake'a, potrząsając głową.

– Darujmy sobie te uwagi – mruknął Fox. – Wiem, kim jesteście. Pan nazywa się Blake Johnson i pracuje dla Białego Domu. A pan to Sean Dillon. Były członek IRA, który pracuje teraz dla brytyjskiego premiera. Zgadza się?

– Proszę, proszę... jacy jesteśmy dobrze poinformowani – stwierdził z przekąsem Blake.

– To dlatego, że mam dostęp do wszystkich danych. Problem z komputerami polega na tym, że trzeba tylko odpowiedniego człowieka, żeby się do nich włamać. A ja znam takiego człowieka. Więc odpierdolicie się ode mnie, bo pożałujecie, żeście się w ogóle urodzili.

– I postaramy się zrewanżować tym samym Donowi. – Dillon wzruszył ramionami. – Swoją drogą, nie można stać się „byłym członkiem IRA”. Człowiek zostaje nim raz na zawsze. Jestem naprawdę wrednym sukinsynem, dupku. A wiesz dlaczego? Bo nie zależy mi na tym, czy będę żył, czy zginę.

– Może uda się temu zaradzić.

– Brytyjska armia i SAS nie zdołała go złapać przez dwadzieścia lat – oznajmił Blake – więc wątpię, żebyś miał tyle szczęścia. Właściwie można powiedzieć, że skończyła się twoja dobra passa, Jack. Wiemy, że reprezentujesz rodzinę Solazzo. Ale poza tym dorabiasz sobie na boku, na przykład prowadząc gorzelnię taniej whisky w Brooklynie. W każdym razie dorabiałeś.

– Czy to nie ta buda, która spaliła się zeszłej nocy? – wtrącił Dillon. – Co za fatalny zbieg okoliczności... – Posłał Foxowi promienny uśmiech. – Z pewnością ograniczy to dopływ gotówki.

– Nie wiem, o czym mówicie – odparł Fox. – To nie ma nic

wspólnego ze mną.

– Moim zdaniem ma – zaprotestował Blake. – No i jest jeszcze ta cała forsa, którą straciłeś podczas kryzysu azjatyckiego, forsa, której nie miałeś prawa inwestować. Chyba że Don Marco o wszystkim wiedział? Ale bardzo w to wątpię.

– O co wam chodzi? – zapytał chłodnym tonem Fox.

– Chodzi nam o to, że znajdziesz się po uszy w gównie, jeżeli nie zdobędziesz szybko dużej gotówki – odpowiedział Dillon. – A my dopilnujemy, żebyś jej nie zdobył.

Fox odwrócił się do Falconego.

– Aldo, bądź tak dobry i złam temu małemu sukinsynowi prawą rękę. Falcone ruszył do przodu, lecz w tym samym momencie Dillon wysunął lewą stopę i kopnął Sycylijczyka tuż poniżej prawego kolana. Blake wyjął spod marynarki walthera i położył go na stole. Falcone przyklęknął na jedno kolano, a potem złapał się za blat stolika i podciągnął do góry. Russo położył dłoń na kolbie pistoletu, który trzymał w kaburze pod pachą.

– Tego właśnie chcecie? – zapytał Blake. – Strzelaniny w Four Seasons?

– Niekoniecznie – odparł Fox. – Przełożmy to na bardziej sprzyjający moment.

– Z przyjemnością.

Blake wstał i zaraz po nim zrobił to Dillon.

– Do następnego miłego spotkania w piekle. Znasz tę odzywkę? – zapytał. – Usłyszałem ją w jakimś starym filmie w telewizji. A więc do zobaczenia.

– Nie mogę się doczekać – burknął Fox.

Blake i Dillon odwrócili się i ruszyli do wyjścia.

– Wiedzieli o Hadley's Depository – stwierdził Falcone.

– Wiedziało o nim wielu ludzi. To tajemnica poliszynela. Z iloma klubami robimy interesy? Sekret jest tylko wtedy sekretem, kiedy zna go jedna osoba.

– Nie sądzi pan, że wiedzą o czymś jeszcze?

– Nie, to był tylko bluff. Chodź. Niedługo wylatujemy do Londynu.
– Fox wypił resztkę szampana i skrzywił się. – Konus miał rację. Ten sikacz jest rzeczywiście do niczego.

Kiedy Ferguson i Hannah Bernstein weszli do baru przy Police Plaza, Dillon i Blake siedzieli już w środku i popijali herbatę i irlandzką whiskey.

– Mój Boże! – zawołał Ferguson. – Wy tu się relaksujecie, a tymczasem według kapitana Harry’ego Parkera ktoś podpalił wczoraj wieczorem nielegalną gorzelnię Jacka Foxa.

– Co pan powie? – Dillon pokręcił głową. – To straszne.

– Wracasz do domu, Sean?

– Czemu nie? Mam wrażenie, że załatwiłem tutaj to, co miałem do załatwienia.

– Chciałbym ci przypomnieć, że kiedy ocaliłem cię z rąk Serbów i przyjąłem do tajnej służby, obiecałeś, że postarasz się poprawić swoją raczej paskudną reputację.

– Zgadza się.

– Niestety nadal nie nauczyłeś się zasad dobrego wychowania.

– To ta irlandzka strona mojej osobowości.

– Pamiętaj, że wciąż dla mnie pracujesz, Sean. Kieruj się własnym rozsądkiem, ale o wszystkim mnie informuj.

– Jezu, brygadierze, nigdy bym pana nie zawiódł. Jest tylko jeden mały problem.

– Mianowicie?

– Mam zamiar kompletnie zniszczyć Jacka Foxa oraz rodzinę Solazzo. W Irlandii, Londynie, Bejrucie... wszędzie tam, gdzie okaże się to konieczne. – Dillon obrócił się do Blake’a. – Nie masz chyba nic przeciwko?

– Na pewno nie. Jutro zobaczą się z prezydentem i jeśli to konieczne, zwolnię się ze służby.

Dillon uśmiechnął się do Fergusona.

– Tak to wygląda, Charles.

– Wyśmienicie. Naprawdę wyśmienicie – stwierdził z uśmiechem brygadier, ale zaraz spoważniał. – W takim razie z góry aprobuję to, co masz zamiar zrobić. Komisarz Bernstein będzie twoim łącznikiem. Do twojej dyspozycji są wszystkie zasoby naszego departamentu.

– Naprawdę wielki z pana człowiek, brygadierze! – ucieszył się Dillon.

– Cóż, jestem półkrwi Irlandczykiem.

– W takim razie zabieramy się do dzieła.

– Im szybciej, tym lepiej. Zniszcz Foxa i rodzinę Solazzo.

– Może pan uważać sprawę za załatwioną.

– Niepokoi mnie tylko jedna rzecz: skąd Fox wie tyle na nasz temat. Jak on to ujął? Trzeba tylko odpowiedniej rangi geniusza, żeby włamać się do każdego komputera?

– Zgadza się.

– Wydaje mi się, że znam takiego geniusza – oświadczył Ferguson.

Hannah Bernstein uśmiechnęła się.

– Ma pan na myśli Ropera?

– Właśnie. Dopilnuje pani, żeby w stosownej chwili panowie poznali się ze sobą?

Hannah kiwnęła głową.

– Doskonale. Na nas już czas, pani komisarz – powiedział Ferguson, wstając od stolika. – Zobaczymy się później.

Oboje wyszli. Dillon odwrócił się do Blake'a.

– Co teraz?

– Muszę porozmawiać z prezydentem.

– A potem?

– Dobierzemy się sukinsynowi do skóry w Londynie.

– To mi się podoba.

Prezydent Cazalet wyjechał do swojego rodzinnego domu w Nantucket. Blake nie mógł czekać na jego powrót, zamówił więc helikopter i poleciał złożyć mu wizytę.

Prezydent spacerował po plaży ze swoim ukochanym gładkowłosym labradorem, Murchisonem. Towarzyszył mu Clancy Smith. Fale biły o brzeg, niebo było szare, siąpiła lekka mżawka, a Cazalet po raz piąty czytał faks, który dostał od Harry'ego Parkera. W oddali rozległ się warkot silników. Clancy podniósł dłoń do ucha i powiedział coś do mikrofonu.

– Helikopter, panie prezydencie – oznajmił. – To Blake Johnson.

– Dobrze. Wracajmy do domu.

Byli w połowie drogi, kiedy na plaży pojawił się Blake.

– Daj nam spokojnie porozmawiać, Clancy – powiedział Cazalet. Ruszyli obaj skrajem plaży. Murchison co chwila wbiegał i wybiegał z wody.

– Głupi pies – stwierdził Cazalet. – Będę go musiał wziąć na smycz.

– Pewnie tak. Morska woda nie jest dobra dla jego sierści.

Cazalet dał znak Clancy'emu, który odwrócił się tyłem do wiatru, zapalił marlboro i podał mu do ręki.

– Musiałem niestety poprosić o pomoc twojego przyjaciela Harry'ego Parkera – oświadczył prezydent, zaciągając się i podając faks Blake'owi. – Zapytałem go, o co chodzi w całej tej nieszczęsnej sprawie.

– A on panu opowiedział – mruknął Blake i uśmiechnął się. – Nie miał innego wyjścia. W końcu oddałem go pod pańskie bezpośrednie rozkazy. Zatem wie pan wszystko, panie prezydencie.

– Tak. To fatalna historia. Ale dobrze, że brygadier Ferguson i komisarz Bernstein przylecieli, żeby cię wesprzeć.

– A także Sean Dillon.

– Jak zawsze. – Cazalet uśmiechnął się. – Słyszałeś, że pożar zniszczył magazyn Focha? Cóż za niebywały zbieg okoliczności.

– Panie prezydencie...

– Nie, Blake, daj mi skończyć. Ostatnio byłeś trochę przemęczony. Myślę, że potrzebujesz odpoczynku. Miesiąc powinien ci wystarczyć.

Powinieneś wybrać się w podróż. Pojedź do Londynu, do Europy. Nasz departament udzieli ci wszelkiej niezbędnej pomocy.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie prezydencie...

– Nic nie mów – odparł z kamienną twarzą Cazalet. – Jeśli tobie i Dillonowi uda się załatwić tych sukinsynów, będzie to z pożytkiem dla nas wszystkich. Sprawiliby mi jednak dużą przykrość – dodał, uśmiechając się półgębkiem – gdybyś powrócił z tych wakacji w kilku kawałkach.

– Postaram się tego uniknąć, panie prezydencie.

– To dobrze. – Cazalet cisnął niedopałek do morza. – Zjemy teraz razem lunch, a potem możesz ruszać w drogę.

W apartamencie w Trump Tower Don Marco wysłuchał Falconego, który opowiedział mu o zajściu w Four Seasons.

– Co zamierza teraz zrobić mój siostrzeniec? – zapytał.

– Lecimy do Londynu. Lądujemy na Heathrow.

– Leci gulfstreamem?

– Tak, *signore*. – Falcone zawahał się. – Nie wie pan o tym?

– Och jestem pewien, że sam mi powie, kiedy tylko będzie gotów. Znasz numer mojej zakodowanej komórki. Informuj mnie dalej. Chcę zawsze wiedzieć, co się szykuje.

Don Marco wyciągnął dłoń. Falcone ucałował ją i wycofał się, a starszy pan wstał, podszedł do fortepianu i wziął do ręki fotografię Jacka Focha, wojennego bohatera w mundurze piechoty morskiej.

– Co za szkoda – mruknął cicho. – Tyle cnót skażonych przez próżność i głupotę.

Postawił z powrotem zdjęcie na fortepianie i wyszedł z salonu.

LONDYN

Nazajutrz rano samolot Fergusona wylądował na Farley Field. Za sterami siedzieli jak zwykle porucznicy sił powietrznych, Lacey i Parry. Na pokładzie był również sierżant Madoc, do którego zadań należało dbanie o potrzeby pasażerów.

W Anglii również panowała typowa marcowa pogoda: pas startowy zalany był deszczem. Madoc znalazł parasol i cała czwórka – Ferguson, Dillon, Bernstein i Johnson – zeszła po schodkach i ruszyła do czekającego na nich daimlera. Ferguson odwrócił się do dwóch pilotów.

– Czekają nas gorące dni, więc nie róbcie żadnych planów, panowie.

Obaj uśmiechnęli się.

– Oczywiście, brygadierze – odparł Lacey.

– I jeszcze jedno, Lacey... chyba powinienesz sprawdzić dzisiejszą listę awansów. Zaproponowałem twoją kandydaturę na dowódcę eskadry i Ministerstwo Obrony choć raz zachowało się rozsądnie. Oprócz tego, w uznaniu waszych usług w trakcie misji, które odbyliście niedawno na mój rozkaz, obu was odznaczono Krzyżem Sił Powietrznych.

Piloci gapili się na niego bez słowa.

– Dobry Boże – wykrztusił w końcu Parry. – Serdeczne dzięki, brygadierze.

– Nie ma za co. Idźcie to oblać.

Ferguson zatrasnął drzwiczki daimlera i szofer ruszył z miejsca.

– Zawsze wiedziałem, że w głębi serca jest pan sentymentalny – stwierdził Dillon.

– Nie bądź głupi, Dillon. Zasłużyli sobie na to. – Ferguson odwrócił się do Hannah i dodał: – Wysadzimy ich obu przy domu Seana, a potem pojedziemy do mnie na Cavendish Square. Powinna pani skontaktować się z Roperem i jak najszybciej zaaranżować spotkanie.

– Czy ktoś mógłby mi opowiedzieć coś więcej o tym Roperze? – poprosił Blake.

– Pamiętasz sprawę łącznika Białego Domu i panią Helen Grant? – zapytała Hannah. – Chciała wiedzieć, jak można w łajdacki sposób wykorzystać komputer. Zażądała pomocy od londyńskiego oddziału swojej organizacji i przysłała jej Ropera.

– To niezwykle człowiek – stwierdził Ferguson. – Służył w stopniu kapitana w Królewskich Wojskach Inżynieryjnych. Dostał Krzyż Wojskowy i Krzyż Świętego Jerzego i stał się trochę nieostrożny. Przez głupią samochodową bombę w Belfaście wylądował w wózku inwalidzkim. Komputery były dla niego zupełnie nową dziedziną, ale szybko okazał się prawdziwym geniuszem.

Blake milczał, wspominając Helen Grant i sprawę łącznika Białego Domu, która o mało nie zakończyła się katastrofą. A więc to właśnie Roper był jej komputerowym guru.

– Bardzo chętnie się z nim spotkam – powiedział.

Daimler skręcił w Stable Mews i Dillon oraz Johnson wysiedli.

– Zaraz skontaktuję się z Roperem – oznajmiła Hannah.

Blake zabrał swój bagaż, a Dillon otworzył drzwi i wprowadził go do niewielkiego wiktoriańskiego domku z podłogą z grubych desek, na których leżały tureckie dywany. W przytulnym salonie stały sofa i fotele obite czarną skórą. Nad kominkiem wisiał wspaniały obraz.

– No, no – mruknął Blake.

– To znany wiktoriański malarz, Atkinson Grimshaw. A ten obraz to prezent od Liama Devlina. Pamiętasz go?

– Jak mógłbym zapomnieć? Ocalił nam życie. Wciąż dobrze się miewa?

– Ma dziewięćdziesiąt lat, ale wygląda na siedemdziesiąt pięć. Chodź, pokażę ci twój pokój, a potem skoczmy na drugą stronę placu, do King's Head. Zobaczysz to, co nazywamy wspaniałym angielskim pubem z wyżerką.

– Wiem, co to jest angielski pub z wyżerką, Sean. Podają tam zazwyczaj doskonale jedzenie. Możemy tam od razu iść.

Siedzieli w King's Head, popijając guinnessa i zajadając pasterski placek, kiedy cicho zaterkotała kodowana komórka Dillona.

– Skontaktowałam się z Roperem – oznajmiła Hannah. – Mieszka przy Regency Square, tylko pół mili od was.

– Mamy się do niego przejść?

– Nie, powiedział, że chce zażyć trochę ruchu. Jeździ jednym z tych supernowoczesnych wózków z elektrycznym napędem. Nie cierpi, kiedy traktuje się go jak kalekę.

– Rozumiem, moja droga.

– Ma być u was przy Stable Mews w pół do trzeciej.

– Będziemy czekać.

– Jeszcze jedno... Zajrzałam do komputera Wydziału Specjalnego. Zgadnij, kto przylatuje na Heathrow dziś wieczorem? Jack Fox, Aldo Falcone i Giovanni Russo.

– To wyśmienicie, jak powiedziałby Ferguson. Najbliższe dni mogą się okazać nader ciekawe – stwierdził Dillon, po czym schował telefon i przekazał wiadomości Blake'owi.

Godzinę później Blake, który stanął akurat przy oknie w salonie, zobaczył jadącego elektrycznym wózkiem młodego człowieka, który skręcił w Stable Mews. Mężczyzna miał na sobie granatową krótką kurtkę i biały szalik na szyi. Kiedy Blake ruszył do przedpokoju, Dillon zdążył już otworzyć drzwi.

– Pan Dillon? Widziałem pańskie zdjęcie na ekranie mojego komputera. Nazywam się Roper.

Miał włosy do ramion, zapadnięte policzki i bardzo niebieskie oczy. Jego twarz była nieruchomą maską zabliznionej tkanki, jaką widuje się tylko po oparzeniach.

– Proszę do środka – zaprosił go Dillon.

– Tylko jeżeli pomoże mi pan pokonać ten stopień. To jedyna rzecz, z którą nie dają sobie rady te wynalazki.

Dillon pomógł mu, a potem wtoczył wózek do kuchni. Blake szedł z tyłu.

– Nie pogardziłbym filiżanką dobrej herbaty – stwierdził Roper. – Poruczniku...?

Blake uśmiechnął się.

– Mam odpowiedzieć: „Rozkaz, panie kapitanie”?

– Oczywiście. Przewyższam pana rangą.

Kilkadziesiąt minut trwało wyjaśnienie, czego od niego oczekują.

– W porządku, wszystko to sprawdzę – obiecał w końcu Roper. – Rodzinę Solazzo, Jacka Foxa, działalność Colosseum, braci Jago, no i tego Brendana Murphy’ego. Pamiętam to nazwisko z mojej służby w Irlandii. Z tego, co wiem, to nielichy twardziel.

– Nie, to fanatyk – odparł Dillon. – Miałem z nim do czynienia w dawnych czasach. Nie chce słyszeć o zawarciu pokoju, a teraz dowiedzieliśmy się, że składa je broń. Co gorsza, są wiadomości o jego konszachtach z Saddamem.

– Wejdę więc do serwisu dowództwa armii w Lisburn, Royal Ulster Constabulary oraz Gardy w Dublinie i może Security Services.

– Potrafi pan to zrobić? – zdziwił się Dillon.

– Potrafię nawet wejść do waszego komputera i Ferguson na pewno o tym wie. Jestem narzędziem w ręku Boga, więc zostawcie to mnie.

– W porządku – mruknął Blake. – Ale w razie gdyby pan jeszcze tego nie wiedział, Fox pojawi się dzisiaj w Londynie razem ze swoimi dwoma goryłami.

– Falcone i Russo. – Roper uśmiechnął się lekceważąco. – Żołnierze mafii. Stacjonowałem w Irlandii przez jedenaście lat i terroryści byli moimi przeciwnikami, ale, wie pan, człowiek zaczyna w pewnym

momencie szanować wroga. Mam na myśli zarówno IRA, jak i lojalistów. Ci dwaj nie przeżyliby pół godziny w Derry albo Belfaście.

– Więc jaki będzie nasz następny krok? – zapytał Blake.

– Z tego, co mi powiedziano, chcecie narazić na poważne straty Colosseum.

– Właśnie.

– Dobrze. Więc wytoczcie mnie teraz na ulicę. Pojadę do domu i postaram się coś zorganizować.

– Naprawdę jest pan w stanie to zrobić? – upewnił się Blake.

Roper pokiwał głową.

– To żaden problem. Gdyby Bóg chciał, żeby władzę nad światem objęły szumowiny, nie dałby innym ludziom odrobiny inteligencji. Czekam na was o szóstej w moim mieszkaniu przy Regency Square. Wcielicie wtedy w życie mój plan. Zgoda?

– Co za tupet – mruknął Dillon, ale po chwili uśmiechnął się. – Jestem pewien, że coś pan wymyśli, więc niech pan bierze się do dzieła.

Do mieszczącego się na parterze apartamentu Ropera prowadziła pochyła rampa. Wnętrze, poczynając od łazienki aż po kuchnię, przystosowane było do potrzeb osoby niepełnosprawnej. Tam, gdzie zazwyczaj znajduje się salon, mieściło się coś w rodzaju laboratorium komputerowego.

Roper wpuścił do środka Dillona, Blake'a i Hannah Bernstein i ruszył pierwszy do swojej świątyni.

– Możemy zaczynać. – Postukał w klawiaturę komputera i na ekranie ukazały się fotografie. – Kasyno Colosseum, Smith Street. Dyrektor generalny: Angelo Mori. Ochroniarze: Francesco Cameci, Tino Rossi.

Wcisnął kolejne klawisze i na ekranie pojawił się plan budynku.

– Dużo zabezpieczeń – zauważył Blake.

– Niekoniecznie, jeśli się wie, którędy wejść do środka.

– Więc jaki ma pan pomysł? – zapytał Dillon.

– Dla takiego jak to luksusowego kasyna bardzo ważna jest reputacja. W przypadku najmniejszego skandalu można zastosować ustawę o grach hazardowych i zamknąć lokal.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Jak możemy to zrealizować? – zapytał w końcu Dillon.

– Dowiedcie się dziś wieczorem, jeśli zrobicie to, co wam powiem, i wejdziecie do środka.

– Ma pan na myśli włamanie, kapitanie Roper? – wtrąciła Hannah.

– Można to tak określić. Jeśli chcecie mu się dobrać do skóry, nie możecie przebierać w środkach.

– To mi odpowiada – stwierdził Dillon. – Jak pani wie, brygadier Ferguson zagwarantował mi pełną współpracę ze strony departamentu. Dowiedzmy się więc, jaki plan wymyślił pan Roper.

– Jest bardzo prosty. Jaka jest jedna z najstarszych gier hazardowych na świecie? Uwielbiali ją w czasach Cesarstwa Rzymskiego. I nadal uwielbiają.

Blake uśmiechnął się.

– Gra w kości.

– Otóż to. Rzuca się po prostu kości i modli o to, żeby wypadła odpowiednia liczba oczek. Ludzie nie mogą się temu oprzeć.

– Czego pan potrzebuje? – zapytał Dillon.

– Kostek, staruszku. Ukradnijcie mi stamtąd kilka kostek.

– Po co? – zdziwił się Blake.

– Ponieważ każde kasyno ma swoje własne unikalne kostki. Oczywiście kiedy znajdą się u mnie, dokonam kilku drobnych modyfikacji.

Wpuszczę na przykład do środka każdej z nich kropelkę ołowiu, dzięki czemu staną się fałszywymi kośćmi. Jeśli kasyno używa takich kości, wszyscy grający muszą przegrać.

– Ale jak doprowadzimy do tego, żeby krupier użył fałszywych kości? – zapytał Blake.

– Dlatego właśnie musimy je wcześniej zdobyć. Potem pan albo Dillon dołączycie do grających. Kiedy nadejdzie wasza kolej i krupier da

wam kości, przykrycie je dłonią i użyjecie tych, które zmodyfikowałem. Będą miały na sobie znaczek kasyna, więc wszyscy będą przekonani, że są autentyczne. Oczywiście będziecie musieli zwrócić uwagę innych graczy na to, co się dzieje. Rezultaty będą katastrofalne dla kasyna.

– Straszny z pana drań – stwierdził Dillon.

– Prowokacji będzie musiał dokonać pan albo Blake – powiedział Roper. – Nie śmiałbym zaproponować czegoś takiego pani komisarz Bernstein. Przypadkowo wiem, że jest pani ortodoksyjną Żydówką, a pani dziadek był rabinem – dodał z uśmiechem.

Hannah odwzajemniła ten uśmiech.

– Mój dziadek zaskoczyłby pana. Był genialnym pokerzystą.

– Mnie się to podoba – oświadczył Dillon. – Jakie są szczegóły planu?

O dziesiątej wieczorem Jack Fox przybył do Colosseum w eskorcie Falconego i Russa. Przy drzwiach zatrzymał go wielki facet w wieczorowym garniturze.

– Proszę o kartę członkowską.

– Nie potrzebuję karty. To kasyno należy do mnie.

– Bardzo zabawne – mruknął wykidajło i położył dłoń na ramieniu Focha.

– Czy mam mu złamać prawą rękę, proszę pana? – zapytał Russo.

– Popeliłeś właśnie największy błąd w swoim życiu, palancie.

– *Signor* Fox, cóż za przyjemność – doszedł ich głos ze środka. Po schodach zbiegał dyrektor generalny Angelo Mori w towarzystwie swoich ochroniarzy. – Jakies problemy?

– Nie, skądże – odparł Fox, uśmiechając się do wykidajły. – Jak się nazywasz? – zapytał go.

– Henry, proszę pana – odparł ciężko wystraszony mężczyzna.

– Dobrze wywiązujesz się ze swoich obowiązków, Henry. – Fox wyciągnął portfel, wyjął z niego pięćdziesięciofuntowy banknot i

wsunął go do kieszonki na jego piersi. – Doskonale się wywiązujesz. Jeśli ktoś inny przyjdzie tutaj i powie ci, że jest właścicielem tej budy, możesz go kopnąć w jaja.

Na czole Henry'ego pojawiły się kropelki potu.

– Tak jest, proszę pana... jak pan każe.

Główna sala była zatłoczona, gra toczyła się przy wszystkich stołach. Fox pokiwał z uznaniem głową.

– Wygląda nieźle – stwierdził. – Jak wygląda dopływ gotówki?

– Fantastycznie.

Fox spojrzął na ochroniarzy Moriego.

– Dobrze się sprawujecie? – zapytał ich po włosku.

– Myślę, że tak – odparł jeden z nich o nazwisku Rossi. – Jak się miewa Don Marco?

Nie był to wyraz obłudy, bo Rossi pochodził z tej samej wioski co rodzina Solazzo.

– Czuje się świetnie – odparł Fox, nadal mówiąc po włosku. – To miło, że zapytałeś. Właśnie przylecieliśmy – poinformował Moriego – i umieramy z głodu. Rozumiem, że restauracja jest nadal otwarta.

– Dla pana jest zawsze otwarta, *signore*.

– Doskonale. Niech podadzą Louis Roederer Cristal rocznik dziewięćdziesiąt, a do tego wędzonego łososia, jajecznicę i siekaną cebulkę. Muszę dbać o zdrowie.

– I tak świetnie pan wygląda, *signor* Fox.

– Do diabła, jestem tutaj jedynym człowiekiem, który oberwał kulką w lewy bok podczas wojny w Zatoce, Angelo. Muszę o siebie dbać.

Minęli główną salę i weszli do małej restauracji. Mori zaprowadził ich do łoży w samym rogu.

– Czy to miejsce panu odpowiada, *signore*?

– Jak najbardziej. Niech pan posadzi Falconego i Russa przy sąsiednim stoliku. Najprawdopodobniej zamówią bolońskie spaghetti, ale mają dostać wszystko, czego chcą.

– Oczywiście.

– Jeszcze jedno. Spodziewam się braci Jago, Tony'ego i Harolda.

Mori zrobił zbolaną minę.

– Już dzwonił – powiedział z niechęcią.

Fox roześmiał się.

– Wiem, że są okropni. Uważają się za reinkarnację braci Kray, bo zafascynowała ich przed wielu laty ich legenda, ale bracia Kray byli niepowtarzalni. Jago nie dorastają im do pięt. Mimo to pracują dla nas. Kiedy się pojawiają, proszę ich tu skierować.

Mori oddalił się. Fox wyciągnął papierosa i Falcone podał mu ogień.

– Będziemy mieli jakieś kłopoty z tymi angielskimi sukinsynami, *signore?*

– Nie. Naoglądali się za dużo gangsterskich filmów, ale mogą być przydatni. Nie stanowią żadnego zagrożenia, z którym ty i Russo nie moglibyście sobie poradzić. Nalej mi martini.

Pół godziny później, kiedy Fox skończył jajecnicę, pojawili się bracia Jago. Starszy z nich dwóch, Harold, miał około czterdziestki, niecałe sześć stóp wzrostu, siwiejące włosy i ospowatą twarz. Tony miał trzydzieści lat, policzek zniekształcony blizną i był znacznie mniejszy od brata. Jedyne, co mieli wspólnego, to wspaniale skrojone garnitury Savile Row, w których obaj paradowali.

– Miło cię znowu zobaczyć, Jack – oznajmił Harold, podając dłoń Foxowi.

– Siadajcie. Jak mawiają w Londynie, być może będę mógł wam zaproponować pewien niewielki interes.

– Z tobą wszystko – odparł Harold. – Chcę powiedzieć, że ten numer z opancerzoną furgonetką to była czysta magia. Chyba się ze mną zgodzisz, Tony? – zapytał brata.

Tony, mały twardy sukinsyn, który uważał się za stuprocentowego Anglika i w związku z tym nie lubił cudzoziemców, nie podzielał wcale jego entuzjazmu.

– Skoro tak twierdzisz – mruknął.

– Zgadza się z tobą – podsumował Fox i strzelił palcami na Falconego. – Teczka!

Falcone miał ją przy sobie przez cały wieczór. Wyjął ją teraz spod

stolika i podał szefowi. Fox przekazał ją Haroldowi.

– Jest tutaj wszystko, strona po stronie. Skompletowanie ekipy zostawiam wam.

– Ale co to ma być? – chciał wiedzieć Harold.

– Ten nowy biurowiec w Wapping, St Richard's Dock. Mieści się w nim White Diamond Company.

Na twarzy Harolda odbiło się niedowierzanie.

– Niemożliwe... To istna forteca.

– Zapomniałeś o jednej rzeczy. Pod Londynem znajduje się cała sieć podziemnych rzek i tuneli. Niektóre z nich mają ponad sto lat, a jeden biegnie dokładnie pod St Richard's Dock. Wszystko jest w tej teźce. Kiedy przeczytacie materiały, pogadamy o konkretach. Jeśli nie jesteście zainteresowani, znajdę kogoś innego.

– Ile? – zapytał Tony.

– Co najmniej dziesięć milionów, może więcej. Dla was czterdzieści procent.

– Pięćdziesiąt – mruknął Tony.

– Stul dziób – zmitygował go Harold i odwrócił się do Foxa. – Przeczytam te materiały, ale nie mogę już teraz powiedzieć, że w to wchodzimy. Skład ekipy zostaw mnie.

– To rozumiem. – Fox uśmiechnął się. – Trzeba to oblać. Zapraszam na szampana.

Kasyno zamykano o drugiej w nocy; o trzeciej było kompletnie puste, jeśli nie liczyć strażnika w budce przy głównym wejściu, który obserwował ekran monitora.

Przy drzwiach do piwnicy stała szara furgonetka British Telecom. W pewnej chwili otworzyły się jej tylne drzwiczki i na zewnątrz wyskoczył Blake Johnson w kasku i żółtej nieprzemakalnej kurtce, po czym dwoma hakami uniósł pokrywę wjazdu kanału. Ubrany w czarny podkoszulek i dżinsy Dillon podał mu lampę inspekcyjną oraz podświetlony czerwony napis UWAGA! ROBOTY TELEKOMUNIKACYJNE, kilka

płóciennych parawanów i daszek osłaniający przed deszczem. Na dole znajdowała się cała bateria kabli i przełączników. Blake udał, że bardzo się nimi interesuje.

Siedzący w swoim wózku wewnątrz furgonetki Roper miał przed sobą komputer. Dillon przykucnął przy nim. Roper nacisnął kilka klawiszy.

– Jak to wygląda? – zapytał Dillon.

– Na razie całkiem nieźle. Nie martw się, wielki Roper nigdy się nie myli. – Kapitan podniósł nagle rękę, słysząc odgłos zwalniającego obok nich samochodu. – Zaczekaj.

Blake wyjrzał spod daszka, wystawiając głowę na zacinający bezlitośnie deszcz. Kierowca policyjnego wozu patrolowego wychylił się przez szybę.

– Co za parszywy los, zarabiać na życie w środku nocy – stwierdził.

– O was można powiedzieć to samo – odparł Blake z najlepszym brytyjskim akcentem, na jaki go było stać.

Policjant uśmiechnął się i odjechał.

– Zabierajmy się do dzieła – mruknął Dillon.

– W porządku. Jak już powiedziałem, mogę wyłączyć cały system zabezpieczeń, ale tylko na piętnaście minut, więc musisz się pospieszyć.

– Do diabła, przyjrzałem się dobrze planom, które mi pokazałeś, i wiem, dokąd iść.

– Lepiej, żebyś nie pomylił drogi. Zaczynam w tej chwili, więc policz do dziesięciu i biegnij do tych drzwi do piwnicy.

Na ekranie monitora zamigotały czerwone i zielone światełka, po czym rozległ się cichy świst. Dillon wyskoczył z furgonetki, minął Blake'a, założył w biegu kominiarkę i otworzył drzwi do piwnicy.

Miał niewielką latarkę, lecz w gruncie rzeczy jej nie potrzebował: wszędzie paliły się przyćmione światła awaryjne. Nie przejmował się kamerami, ponieważ Roper zapewnił go, że zostały wyłączone.

Mając przed oczyma komputerowy plan parteru, wbiegł szybko po schodach, minął kuchnię i stanął w drzwiach restauracji. Widział stąd oszkloną budkę przy głównym wejściu. Strażnik wciąż kręcił

pokrętłami monitora, na którym nagle wysiadł obraz.

Dillon wślizgnął się do pogrążonej w cieniu głównej sali kasyna i obiegł stół z prawej strony. Leżała na nim tacka z kostkami, lecz nie ruszył ich i zamiast tego przyklęknął w miejscu, w którym zazwyczaj stoi krupier. Na półeczce poniżej blatu leżał większy stos kostek. Dillon wziął z niego sześć, schował je do kieszeni i szybko wybiegł z głównej sali.

Strażnik wciąż walczył z telewizyjnym monitorem. Dillon zbiegł z powrotem po schodach, przemknął przez piwnicę i zamknął za sobą drzwi. Mijając Blake'a, pokazał mu dwa uniesione kciuki, po czym wskoczył do furgonetki, wyjął sześć kostek z kieszeni i położył je na stoliku przed Roperem.

– Proszę bardzo.

– Trzyście minut. Dobrze się spisałeś – stwierdził kapitan, po czym wcisnął kilka klawiszy komputera. – Z powrotem uaktywniam system.

– Co teraz?

– Zabieramy nasze zabawki i zmywamy się stąd.

Dillon ściągnął z głowy kominiarękę i wyszedł do Blake'a.

– Udało się. Zdobyłem to, czego potrzebował Roper, więc możemy odjeżdżać. Pomogę ci.

– W porządku.

Dillon złożył parawany oraz daszek i wrzucił je do furgonetki, a Blake zamknął właz. Potem Dillon siadł za kierownicą i po kilku chwilach już ich nie było.

W mieszkaniu Ropera przy Regency Square usiedli i patrzyli, jak gospodarz przygląda się kostkom przez szkło powiększające.

– Nadają się? – zapytał Blake.

– Oczywiście, że się nadają, staruszk. Jako perfekcjonista wolę jednak pracować w samotności. W związku z tym bądźcie tak dobrzy i idźcie do domu... I tak nie będziecie mogli posłużyć się tymi kostkami przed jutrzejszym wieczorem.

Dillon skinął na Blake'a i obaj wstali.

- W takim razie wpadniemy jutro.
- Dobra – mruknął Roper, kompletnie ich ignorując. Właśnie brał do ręki elektryczny świder używany przez jubilerów.

Nazajutrz o ósmej rano w mieszkaniu Dillona zadzwonił telefon.

– Ponieważ nie dotarły do mnie żadne złe wiadomości – oznajmił Ferguson – zakładam, że wam się udało.

– Jak najbardziej. Wszystko zależy teraz od Ropera.

– Co ty i Blake macie teraz zamiar robić?

– Wybieramy się do King's Head na pożywne angielskie śniadanie.

– Chętnie się do was przyłączę – powiedział brygadier.

Pół godziny później pojawił się w King's Head w towarzystwie Hannah Bernstein.

– Nie dzwoniłście jeszcze do Ropera? – zapytał, kiedy do stolika podszedł kelner z wielką tacą.

– Niech pan mu da trochę czasu, brygadierze – wtrąciła Hannah.

– Możesz mi oddać swój bekon – zaproponował jej Dillon. – Nie chciałbym wystawiać na szwank twoich ortodoksyjnych żydowskich zasad.

– Jesteś taki troskliwy, Sean.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się z hałasem i do pubu wjechał Roper.

– Cóż za cudowny zapach! – zawołał. – Dla mnie to samo – zwrócił się do kelnera.

– Muszę powiedzieć, że świetnie wyglądasz – stwierdził Ferguson.

– Jak na kalekę, który przez całą noc nie zmrużył oka... – mruknął Roper, po czym wyjął z kieszeni sześć kostek i rzucił je na stół. Na wszystkich pokazały się jedyńki. – Oczy węża. Czy nie tak właśnie nazywacie ten układ w Vegas? – zapytał Blake'a.

– Owszem.

– Doskonale. Zatem niech Bóg ma w opiece Jacka Foxa i Colosseum. Myślę, że wybiorę się tam dziś wieczorem, żeby obejrzeć całe

przedstawienie.

– Wstęp mają tylko członkowie – przypomniała mu Hannah Bernstein.

– Dzięki mojemu komputerowi właśnie nim zostałem. Tak się składa, że od dzisiaj wszyscy nimi jesteście. Mój Boże, to wygląda całkiem niezłe – powiedział, kiedy kelner podał mu jego śniadanie. – Chyba pomyśleliście o tym, że skoro Dillon i Blake mają zamiar narozrabiać dziś wieczór w Colosseum, potrzebne im będą karty członkowskie? – zapytał, biorąc do ręki nóż i widelec.

– Oczywiście, że pomyśleliśmy – odparł z uśmiechem Ferguson. – I wiemy, że się o to zatroszczyłeś. Myślę, że czeka nas interesujący wieczór.

– Można to tak określić – zgodził się Blake.

6

Roper wyprodukował dla nich wszystkich plastikowe karty członkowskie i dał im fotografie Rossiego i Cameciego, ochroniarzy restauracji, które dołączyli do posiadanych już zdjęć Falconego i Russa.

O ósmej wieczorem Henry wpuścił ich do Colosseum. Dillon popychał przed sobą mały składany wózek, na którym siedział Roper.

Główna sala była już pełna; kelnerki w skąpych spódniczkach kręciły się w tłumie, oferując szampana. Dillon wziął kieliszek i przyjrzał mu się pod światło.

– Dobry? – zapytał Blake.

– Jeśli lubisz wino musujące. Ale szampan to nie jest.

– Fox zaczyna na wszystkim oszczędzać – stwierdził Ferguson.

Stanęli w małej grupce przy barze.

– Są tutaj dwaj przestępcy, którymi pan się interesuje, brygadierze – oznajmiła Hannah. – Bracia Harold i Tony Jago, przy końcu baru.

Spojrzeli w tamtą stronę.

– Co za bezczelność – mruknął Ferguson.

– No cóż, nimi możemy zająć się później – oświadczył Dillon. – Pytanie brzmi, kto zacznie całą zabawę?

– Właśnie wpadł mi do głowy pewien pomysł – powiedział Ferguson. – Mamy sześć kostek, więc może każdy z nas weźmie po dwie?

– Rozumiem teraz, brygadierze, dlaczego zaszedł pan tak wysoko –

oznajmił Blake. – Zgadzasz się, Sean?

– Czemu nie? – odparł Dillon i odwrócił się do Ropera. – Kurtyna w górę. Zaczynamy.

Kiedy Roper wręczył mu kostki, Dillon oddał dwie Blake'owi i dwie brygadierowi.

– Ruszamy do akcji – zakomenderował Ferguson. – Pamiętajcie, żeby zakryć zręcznie firmowe kostki, panowie.

W restauracji Fox ponownie zajął swoją ulubioną jajecznicę z łososiem, popijając ją szampanem.

– Ten krug jest naprawdę wspaniały – poinformował Falconego. – Ale nie z jednego rocznika. Najlepszy jest nierocznikowy, z winogron z różnych lat.

Podszedł do nich Russo.

– Mamy problem, *signore*. Pamięta pan tych dwóch palantów z Four Seasons, Dillona i Johnsona?

– Tak.

– Są tu teraz. W głównej sali.

– Naprawdę? – Fox opróżnił kieliszek. – Zobaczmy, co takiego knują.

Wstał z krzesła, które Falcone natychmiast usłużnie odsunął, i przeszedł do najbardziej zatłoczonej części kasyna.

– Tam, *signore* - pokazał Russo. – Obok tej babki i tego faceta. Tego ubranego w garnitur w prążki, widzi pan?

Fox parsknął śmiechem.

– „Ta babka”, Russo, to komisarz detektyw Hannah Bernstein z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. A „ten facet” to brygadier Ferguson, szef specjalnej komórki wywiadowczej brytyjskiego premiera. Wyjątkowo szczywany sukinsyn. Zaręczam ci, że nie przyszli tutaj na przyjacielską partyjkę pokera.

– Więc co robimy, *signore*? - zapytał Falcone. – Mamy ich wyrzucić?

– Nie bądź głupi - odparł Fox. – To kasyno należy do cieszących się

największym prestiżem klubów w Londynie. Skandal jest ostatnią rzeczą, jakiej byśmy sobie życzyli. Miałbym wyprosić stąd brygadiera i jego przyjaciół? Nie, lepiej zaczekajmy i zobaczymy, co takiego kombinują.

Stół do gry w kości był oblegany przez graczy.

– Ma pani ochotę na jeden rzut, pani komisarz? – zapytał Ferguson.

– Nie, dziękuję. Nie umiem grać w kości. Hazard nie należy do moich nałogów.

– Ale należy do moich – stwierdził Blake. – Zaczynam.

Jednak dopiero po dziesięciu minutach oczekiwania dostał kości od krupiera i mógł wejść do gry. Trzy pierwsze rzuty miał całkiem udane i wygrał nawet trochę pieniędzy. Potem schował w dłoni firmowe kości i rzucił te, które dostał od Ropera.

– Oczy węża... – wymamrotał.

Przez tłum przeszedł zbiorowy jęk.

Krupier podał fałszywe kości Dillonowi, który zamienił je z powrotem na autentyczne i wykonał dwa udane rzuty. Ale potem, kiedy postawił wszystko na kolejny rzut, po raz kolejny pokazały się oczy węża.

– Rozumiem, że można nie mieć szczęścia – mruknął ponuro – ale to jest jakieś diabelstwo.

Ferguson przysunął się bliżej niego.

– Daj mi spróbować, staruszk. Coś mi się wydaje, że te są za gładkie. Proszę o nową parę – zwrócił się do krupiera. Ten spełnił jego życzenie. Ferguson podmienił je, rzucił i już za pierwszym razem otrzymał oczy węża. – Bardzo dziwne – mruknął do stojącego obok wąsatego mężczyzny o wyglądzie wojskowego i roześmiał się. – Wszyscy wyrzucamy to samo.

– Owszem – zgodził się mężczyzna.

Krupier sięgnął po kości swoimi grabkami, ale wąsaty złapał je pierwszy.

– Nie tak szybko – warknął.

– Mam nadzieję, że *monsieur* nie sugeruje, że coś może być nie w

porządku? – zapytał krupier.

– Zobaczymy.

Mężczyzna rzucił kości przez cały stół i znowu uzyskał oczy węża. Krupier ponownie wysunął grabki, jednak wąsaty nie pozwolił mu zabrać kości.

– O nie, nie robi pan tego. Zbyt często trafiają się oczy węża. Te kości są fałszywe.

W tłumie zaszumiało.

– Niech pan sam zobaczy – powiedział mężczyzna, zwracając się do innego, starszego gracza.

Starszy pan rzucił i rezultat był identyczny. Ludzie nie kryli oburzenia. Do stołu podbiegł Mori.

– Panie i panowie, proszę... To jakieś nieporozumienie.

– Pan jest tutaj kierownikiem? – zapytał Ferguson.

– Owszem – odparł Mori.

– Więc niech pan będzie tak dobry i rzuci tymi kośćmi.

Mori zawahał się.

– No, szybciej! – wołali gracze.

Mori rzucił. Kości potoczyły się i znieruchomiały. Oczy węża.

Rozległ się ryk oburzenia.

– To chyba wystarczy – stwierdził wąsaty mężczyzna. – Fałszywe kości, a ja straciłem tutaj niezłą sumkę w ciągu kilku ostatnich tygodni. Trzeba wezwać policję.

– Panie i panowie, proszę... – powtórzył błagalnie Mori.

Fox, Falcone i Russo trzymali się przezornie z tyłu.

Do Moriego podeszła Hannah Bernstein.

– Poproszę pana o te kości – oznajmiła.

– A pani kim jest, do diabła?

Był tak podenerwowany, że zwrócił się do niej po włosku.

– Komisarz detektyw Bernstein z Wydziału Specjalnego – odpowiedziała płynnie w tym samym języku, po czym obejrzała uważnie kości, które jej wręczył. – Widzę, że zgodnie z wymogami ustawy o grach hazardowych znajdują się na nich zarejestrowane znaki

tego kasyna. Potwierdza to pan?

– No tak – odparł niechętnie Mori. – Ale ktoś musiał je podmienić.

– Niech pan nie udaje głupiego! – zawołał wąsaty mężczyzna o wyglądzie wojskowego. – W jakim celu, do diabła, gracz miałby podmienić dobre kości na takie, którymi przegra?

Inni goście potwierdzili jego słowa groźnym pomrukiem. Mori oparł się o stół.

– Na mocy przepisów ustawy o grach hazardowych – oświadczyła Hannah – zmuszona jestem wydać nakaz zamknięcia tego kasyna do czasu, gdy sąd miejski w Westminsterze rozpatrzy całą sprawę. Posiada pan chyba również dwanaście salonów gier w City. Zgadza się?

– Tak.

– Obawiam się, że one również muszą zostać zamknięte. Za naruszenie tego nakazu grozi panu grzywna w wysokości stu tysięcy funtów oraz dodatkowe sankcje.

– Oczywiście – odparł drżącym głosem Mori. – Panie i panowie – dodał nieco głośniej – niestety na polecenie policji musimy zamknąć kasyno. Proszę wyjść. Nie zapomnijcie państwo swoich ubrań.

Tłum zaczął się przersedzać. Ostatni ruszyli do wyjścia Ferguson, Bernstein, Dillon, Blake i Roper na wózku. Dillon obrócił się w drzwiach i pomachał do Foxa.

– Znowu się spotykamy, stary. Życzę miłej nocy!

Kiedy wyszli, Fox odwrócił się do Falconego.

– Chcę wiedzieć, dokąd pojechali. Na pewno jest pod ręką kilku chłopaków. Ale nie Rossi ani Comeci.

– W kuchni są Borsalino i Salvatore – powiedział Russo.

– Sprowadź ich. Wiem, kim są wszyscy ci ludzie, z wyjątkiem tego faceta na wózku inwalidzkim. Niech pojedą za nim i poślą go do piekła.

Dillon i Blake podnieśli Ropera z wózka, wsadzili go do daimlera i, złożąwszy wózek, sami wsiedli do środka.

– Co teraz? – zapytał Blake.

– Poczekamy na reakcję Foxa – odparł Dillon.

– Może coś zjemy? – zaproponował Ferguson.

– Ja dziękuję, brygadierze – powiedział Roper. – Chcę jeszcze coś sprawdzić w komputerze. Odwieźcie mnie do domu i bawcie się dobrze.

Za daimlerem jechał nierzucający się w oczy ford prowadzony przez młodego człowieka o nazwisku Paolo Borsalino. Obok siedział jego przyjaciel, Alex Salvatore. Takich jak oni na Sycylii nazywają *piccioti*: są to młodzi ludzie szukający sposobu, żeby się zasłużyć, wykonujący mafijne wyroki i rozpoczynający dopiero karierę w przestępczej hierarchii. Borsalino zabił już trzy osoby, Salvatore dwie, ale nie zamierzali na tym poprzestać.

Daimler zatrzymał się przy Regency Square. Dillon rozłożył wózek Ropera i pomógł mu na nim usiąść, a potem wszyscy odprowadzili go do drzwi.

– Porozmawiamy jutro – powiedział Ferguson. – Jestem z pana bardzo zadowolony, kapitanie.

– Jesteśmy po to, żeby pana zadowalać, brygadierze.

Dillon wziął od Ropera klucz, otworzył drzwi mieszkania i wtoczył go do przedpokoju.

– Morowy z ciebie chłop, Roper – oświadczył na pożegnanie.

– Biorąc pod uwagę pańskie pochodzenie, uznaję to za komplement.

Dillon zamknął drzwi i wrócił do pozostałych.

– Co teraz?

– Jedziemy do Freda... to taka miła włoska restauracja niedaleko Cavendish Square – odparł Ferguson. – Możemy się tam zastanowić, co dalej.

Daimler odjechał i Borsalino oraz Salvatore, którzy zaparkowali przy końcu placu, patrzyli, jak znika za rogiem.

– Ty zostań w samochodzie – powiedział Borsalino. – Ja zaraz wracam.

Przeszedł na drugą stronę placu i znalazł tam mały sklepik otwarty do północy. Za ladą stał hinduski sprzedawca. Borsalino poprosił o

dwie paczki marlboro.

– Wie pan, widziałem przed chwilą tego faceta na wózku. Tego, który wysiadł po drugiej stronie placu z taksówki. Wydaje mi się, że go znam, ale nie jestem pewien.

– To na pewno pan Roper – stwierdził Hindus. – Był kapitanem w korpusie Królewskich Inżynierów. Został ranny w Irlandii.

– Aha. Cóż, wziąłem go za kogoś innego – mruknął Borsalino. – Tak czy owak, dziękuję.

Wrócił do forda, zadzwonił z komórki do Foxa, przekazał mu informacje i powiedział, gdzie się znajdują.

– Nie ruszajcie się z miejsca – polecił Fox, który nadal siedział w gabinecie Moriego w kasynie. – I czekajcie na mój telefon.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Maud Jackson. W Nowym Jorku było późne popołudnie i Maud jadła właśnie podwieczorek.

– Mam tu w Londynie poważne kłopoty z Fergusonem i jego kumplami – powiedział jej. – Pojawił się nowy przeciwnik. Kapitan korpusu Królewskich Inżynierów, niejaki Roper, jeździ na wózku inwalidzkim, ranny w Irlandii. Chcę wiedzieć, jaka jest jego obecna funkcja.

– Gdzie pan jest?

– Wracam do hotelu Dorchester. Mieliśmy problemy w Colosseum.

– Rozumiem, że wieczór się nie udał. Niech pan mi da godzinę.

Wróciwszy do hotelu, Fox wyszedł na taras apartamentu Olivera Messela i, popijając kruga, oglądał widok nocnego Londynu. Russo został na dole, w pokoju, który dzielił ze swoim towarzyszem, lecz sam Falcone jak zwykle był przy boku szefa.

– Nowe kłopoty, *signore*?

– Zobaczymy, Aldo.

Zadzwonił telefon i Fox odebrał go.

– To coś ekstra – zakomunikowała Maud. – Ten Roper został ranny w wybuchu bomby podłożonej przez IRA i stał się teraz czymś w rodzaju legendy wśród komputerowców. Jeśli postanowił dobrać ci się do skóry, Jack, znalazłeś się w poważnych opałach.

– Dzięki, Maud, prawdziwy z ciebie anioł.
– Jesteś bardzo miły, ale nie zapomnij wysłać mi czeku.
Fox wyłączył komórkę.

– Pozbądź się go – powiedział do Falconego.

– Mam to zrobić osobiście, *signore*?

– Nie, oczywiście, że nie. Pojedź na Regency Square, znajdź Borsalina i Salvatorego i daj im instrukcje. Niech go załatwią. Ten facet może nam przysporzyć sporo kłopotów.

– Wedle rozkazu, *signore* – odparł Falcone. – Zostawiam tutaj Russa.

Jadąc należącym do Foxa luksusowym mercedesem, zasunął szybkę dzielącą go od włoskiego szofera Fabia i zadzwonił z komórki do Don Marca, żeby powiadomić go o najświeższych wydarzeniach.

– Nie bardzo mi się to podoba – stwierdził starszy pan. – Oby to wszystko nie zaszkodziło moim interesom. Informuj mnie dalej, Aldo.

Salvatore i Borsalino czekali w fordzie zaparkowanym nieopodal mieszkania Ropera. Z uwagą wysłuchali instrukcji Falconego.

– Na razie nie ruszajcie się stąd. Sprzątnijcie tego faceta na wózkę, ale niech to wygląda na wypadek. Jeśli będzie trzeba, czekajcie całą noc. Jeśli będzie trzeba, czekajcie aż do jutra rana, ale facet nie ma prawa żyć.
Capisce?

– Tak jest, szefie – odparł Borsalino.

Falcone wrócił do mercedesa.

– Z powrotem do Dorchester? – zapytał Fabio.

– Nie, zgłodniałem. Znajdź jakąś knajpę w pobliżu. Jakiś lokal, gdzie mógłbym zjeść jakiś prosty posiłek. No wiesz, na przykład sandwicz z jajkami na bekonie.

– Znam takie miejsce, *signore*.

– W porządku. Potem wrócimy tutaj i zobaczymy, jak rozwija się sytuacja.

Siedząc przy klawiaturze komputera, Roper zbadał powiązania między Jackiem Foxem i Brendanem Murphym, legendą Tymczasowej

IRA. Odkrył kilka fascynujących faktów. Potem sprawdził braci Jago i odnalazł litanię przestępstw na iście dickensowską skalę. W końcu zadowolony odchylił głowę do tyłu. Znakomicie.

Zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta i poczuł, że doskwiera mu głód. Nie stanowiło to większego problemu: mieszcząca się po drugiej stronie placu irlandzka restauracja Ryana była czynna do pierwszej i dobrze go tam znano.

Narzucił płaszcz przeciwdeszczowy, przesiadł się na wózek i podjechał do drzwi.

Na dworze ostro lało. Roper rozłożył mały składany parasol, zjechał rampą na dół i ruszył chodnikiem. Siedzący w mercedesie Falcone zobaczył go.

– Co robimy, *signore*? - zapytał Fabio.

– Zostawmy to chłopakom.

Jadący wózkiem i trzymający w ręku parasol Roper stanowił raczej niecodzienny widok.

– Co teraz? – zapytał Salvatore.

– Załatwimy go – odparł Borsalino. – Wysiadaj.

W mgnieniu oka wyskoczyli z forda i pobiegli za wózkiem.

– Hej, *signore*, może panu pomóc?

Roper natychmiast zwietrzył kłopoty, ale grzecznie im podziękował. Salvatore zajął pozycję z jednej strony wózka, Borsalino z drugiej.

– Nie, naprawdę, uważam, że potrzebna panu pomoc... żeby mógł pan zjechać nagle na ulicę. Co pan na to?

– Mogłoby się to zakończyć bardzo niefortunnie – odparł Roper.

Falcone obserwował całą tę scenę z mercedesa.

– Od dawna już pracujesz dla rodziny. Co o nich myślisz? – zapytał Fabio.

– Że to straszni amatorzy. Skąd oni wytrzasnęli tych dzieciaków?

– Zgadzam się. Rusz powoli z miejsca. Zobaczymy, co będzie dalej.

Ulica była pogrążona w mroku i w tym momencie całkiem pusta.

– Cholera! – zaklął Borsalino. – Nic nie jedzie. Co teraz zrobimy?

– Potocz go dalej. Coś się wymyśli. Dobrze się bawisz, przyjacielu?

– To zależy od punktu widzenia – mruknął Roper i wysunął rękę z prawej bocznej kieszeni wózka. W dłoni trzymał walthera PPK z tłumikiem Carswella. Przystawił lufę do lewej rzepki kolanowej Salvatorego i pociągnął za cyngiel. Rozległo się stłumione kasznięcie i Włoch osunął się z jękiem do rynsztoka.

Roper przekręcił się lekko na wózku, podnosząc pistolet, i zaskoczony Borsalino odskoczył do tyłu.

– Nie przeżyłbyś w Belfaście, synu – stwierdził komputerowiec. – Nawet minuty.

Kiedy Sycylijczyk rzucił się do ucieczki, strzelił mu z tyłu w prawe udo, po czym wyjął komórkę i wystukał trzy dziewiątki.

– Na Regency Square leżą na chodniku dwaj ludzie – powiedział, kiedy dyspozytor odebrał telefon. – Wyglądają na ofiary strzelaniny.

– Jak pan się nazywa?

– Niech pan nie będzie idiotą – poradził mu Roper, po czym wyłączył zakodowaną komórkę i odjechał.

– Mój Boże, *signore*, co teraz zrobimy? – zapytał Fabio.

W oddali słyszeli już policyjną syrenę.

– Nic – odparł Falcone. – Nic nie zrobimy. – Przez chwilę przyglądał się próbującym dźwignąć się na nogi mężczyznom. – Wynośmy się stąd – stwierdził w końcu.

Skrecając z placu na ulicę, minęli radiowóz, a zaraz potem zobaczyli karetkę pogotowia.

W restauracji Ryana Roper zamówił irlandzki gulasz oraz kufel guinnessa, po czym zadzwonił do Fergusonona i przekazał mu złe wieści.

– Gdzie jesteś? – zapytał brygadier, a po chwili powiedział: – Dobrze, nie ruszaj się stamtąd. Przyjedziemy po ciebie.

Ferguson odłożył słuchawkę. Razem z nim w mieszkaniu przy Cavendish Square byli Hannah, Dillon i Blake.

– To był Roper – poinformował ich. – Wyszedł późno na kolację i dwaj panowie z włoskim akcentem próbowali zawrzeć z nim bliższą

znajomość. Chcieli pomóc mu zjechać na ulicę.

– I co się stało? – zapytała Hannah.

– Postrzelił ich obu w nogi i zostawił na chodniku – odparł Ferguson. – Potraficie w to uwierzyć?

– Szczerze mówiąc, przychodzi mi to dość łatwo – stwierdził Dillon.

– Ale Jack Fox nie zasypia gruszek w popiele.

– I co teraz? – rzucił Blake.

– Co pani o tym sądzi? – zapytał Ferguson.

– Wątpię, czy któryś puści parę z gęby, jeśli mu życie miłe – odparła Hannah. – I wątpię, żeby to była ostatnia próba ze strony Foxa.

– Ma pani rację. Przeniesiemy Ropera do bezpiecznego domu w Holland Park. Proszę dopilnować, żeby zabrał tam wszystko, co chce, wszystkie swoje gadżety i tak dalej. Myślę, że będzie nam jeszcze potrzebny. Zajmie się pani tym?

– Według rozkazu – odparła Hannah i wyszła.

– Sprawę kasyna mamy zatem załatwioną – stwierdził Blake. – Czym zajmiemy się teraz? Braćmi Jago? Składem broni? Powiązaniem Foxa na Bliskim Wschodzie?

– Przede wszystkim umieścimy Ropera w bezpiecznym domu – odparł Dillon. – Kiedy znajdzie się tam razem ze swoim sprzętem, zobaczymy.

W hotelu Dorchester Fox wysłuchał relacji Falconego o tym, co się zdarzyło przy Regency Square.

– Chcesz powiedzieć, że ten kutas na wózku inwalidzkim postrzelił ich obu w nogi? – zapytał, wybuchając śmiechem.

– Coś w tym rodzaju, *signore*.

Fox potrząsnął głową.

– Biorąc pod uwagę to, co o nim wiem, właściwie wcale się nie dziwię. Możesz sprawdzić, czy jest w domu, ale jeśli zniknął, dajmy temu spokój. Mamy inne rzeczy do załatwienia.

– Jakie rzeczy, *signore*? Colosseum i salony gier pozostaną zamknięte

do momentu, gdy policja i prokuratura podejmą jakąś decyzję. A to może potrwać kilka miesięcy.

– Skupimy się na innych sprawach. Na tej transakcji, którą zaaranżował Murphy.

– W Bejrucie, *signore*?

– Dokładnie rzecz biorąc, bardziej na południu, w Al Shariz. W przyszłym tygodniu Murphy pojawi się w Libanie. Spotkamy się tam z nim i sfinalizujemy transakcję. Zapomnij o kasynie, Aldo. W Libanie można zrobić fortunę: Murphy płaci czystym złotem. Zobaczymy się rano.

Falcone szedł do swojego pokoju i zadzwonił stamtąd do Don Marca.

– Jack coraz bardziej się pograża – stwierdził Don.

– Chce pan, żebym coś zrobił?

– Nie. Po prostu bądź ze mną w kontakcie.

– Oczywiście, Don Marco.

Bezpieczny dom w Holland Park był edwardiańskim dworkiem stojącym pośrodku zajmującego akr ogrodu, który otaczały wysokie mury. Napis na bramie głosił, że w środku mieści się dom starców Pine Grove, co z całą pewnością nie odpowiadało prawdzie.

Roper został tam przewieziony przez wysłaną przez Hannah grupę niepozornie wyglądających mężczyzn i kobiet, którzy w rzeczywistości byli funkcjonariuszami Wydziału Specjalnego, pozostającymi pod bezpośrednimi rozkazami Fergusona. Dwie kobiety w stopniu sierżanta spakowały ubrania Ropera, trzej mężczyźni przenieśli zgodnie z jego instrukcjami sprzęt. O pierwszej w nocy znajdował się już w wyznaczonej dla niego kwaterze w Pine Grove, a komputery i inne urządzenia podłączone były do gniazdek.

W końcu policjanci wyszli i w salonie pojawiła się niewysoka kobieta.

– Jest pan usatysfakcjonowany, majorze? – zapytała.

– Chyba kapitanie – sprostował lekko skonsternowany Roper.

– O nie. Brygadier Ferguson kazał pana tytułować majorem.

– Mogę spytać, z kim mam przyjemność?

– Sierżant major Helen Black z Królewskiej Żandarmerii Wojskowej.

– Dobry Boże – mruknął. – Ten kostium jest chyba od Armaniego.

– Mój ojciec dość dobrze mnie zaopatrzył, majorze.

– Słyszę w pani akcencie Oxford.

– Nie, Cambridge. New Hall. Pracowałam w cywilu w wywiadzie czternastego pułku w Derry. Był pan tam kimś w rodzaju legendy.

– I co mi z tego przyszło? Wylądowałem na tym cholernym wózku z przetrąconymi kulasami.

– Odwaga, panie majorze, nigdy nie wychodzi z mody, na wózku czy nie na wózku. Dla mnie jest pan jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich spotkałam. Na pewno jest pan głodny. Każę przygotować kilka kanapek.

– Niech mi pani powie, sierżant Black, czy jest pani moją ochroniarką? Tam na zewnątrz szuka mnie paru naprawdę wrednych hultajów, więc chciałbym to wiedzieć.

– Tak, panie majorze. I proszę się nie martwić. – Helen uchyliła żakiet i pokazała tkwiącego w kaburze colta. – Kaliber dwadzieścia pięć milimetrów i naboje kumulacyjne.

– To powinno wystarczyć.

Helen uśmiechnęła się i wyszła.

Mimo późnej pory Roper zadzwonił do Fergusona.

– Co to za historia z tym majorem? – zapytał, kiedy brygadier podniósł słuchawkę.

– Wciąż jesteś w służbie czynnej. Pomyślałem, że awans doda ci autorytetu. Rozgościłeś się już w Holland Park?

– Tak, z pomocą nieustraszonej sierżant Black.

– Nieustraszona to właściwe słowo. Odziedziczyła duże pieniądze, więc nie boi się mówić, co myśli. Jej mąż jest majorem królewskiej gwardii. Ona sama nie chciała przyjąć stopnia oficerskiego. Jako jedna z niewielu kobiet została odznaczona Krzyżem Wojskowym. Zastrzeliła

dwóch facetów z Tymczasowej IRA w Derry. Jesteś w dobrych rękach.

Roper zagwizdał.

– Chyba tak. Jakie jest moje następne zlecenie?

– Dam ci Dillona.

– Więc bawisz się teraz w Billy’ego Kida? – odezwał się po chwili Dillon.

- Ci faceci nie grali ze mną fair, więc pomyślałem sobie: do diabła z nimi.

- Popieram.

– Co chcecie, żebyśmy zrobili? Kto jest następny?

– Mamy do wyboru braci Jago albo Brendana Murphy’ego. Co wiesz na temat Jago?

– Niewiele. Lubią napadać na opancerzone furgonetki. Przedpotopowa technika. Strzelby z obciętą lufą, jak na jakimś gangsterskim filmie. Rzecz w tym, że odkrycie, co knują tego rodzaju ludzie, jest dość trudne. Jeżeli Fox nie zapisał swoich planów w komputerze, nie zdołam się niczego dowiedzieć.

– Musimy zasięgnąć języka – stwierdził Dillon.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Bracia Jago są gangsterami, prawda?

– No i co z tego?

– Trzeba posłużyć się gangsterem, żeby złapać gangstera.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– O Harrym Salterze. To żywa legenda w przestępczych kręgach Londynu. W latach siedemdziesiątych odsiedział siedem lat za napad na bank, ale potem nie trafił już za kratki. Ma kilka składów, parę nieruchomości, białą flotę, która wozi ludzi po Tamizie, a także pub o nazwie Dark Man w Wapping przy brzegu rzeki.

– Mówisz tak, jakbyś miał do niego słabość.

– W przeszłości uratował mi skórę, a ja uratowałem jego. To dinozaur, ale bardzo bogaty dinozaur. Nawet gliniarze dali mu spokój. Pracuje ze swoim bratankiem Billym i dwoma ochroniarzami, Baxterem i Hallem. Cała reszta to księgowi.

– Więc pójdziesz i złożysz mu wizytę?

– Taki mam zamiar.

– Świetnie. Informuj mnie. Ja tymczasem prześwietlę pana Murphy'ego – odparł Roper i uśmiechnął się. – Lubię mieć jakieś zajęcie.

– Więc do zobaczenia jutro.

Roper odłożył słuchawkę i przez chwilę się zastanawiał. Po paru minutach drzwi się otworzyły i weszła Helen Black z dwoma sandwiczami z bekonem.

– Czy to wystarczy?

– Pewnie. Jest pani zmęczona?

– Niespecjalnie.

– To dobrze. Może chce pani zobaczyć, jak efektywny może okazać się komputer w rękach kogoś, kto potrafi się nim posługiwać?

– Jaki jest cel tych ćwiczeń?

– Wytropienie szczególnie niesympatycznego gnojka z Tymczasowej IRA, niejakiego Brendana Murphy'ego.

– Chwileczkę... Pamiętam go. Derry, rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty.

– A także wcześniej. – Roper wbił zęby w sandwicza. – Pycha. Teraz pokażę pani, co robić. Proszę wykonywać moje polecenia.

Nazajutrz rano wszyscy spotkali się w gabinecie Fergusona.

– Proszę mnie poinformować o najnowszym obrocie wydarzeń, pani komisarz – powiedział brygadier, zwracając się do Hannah, kiedy usiedli.

- Napastnicy to dwaj drobni obwiesie zatrudnieni w kuchni Colosseum. Nazywają się Borsalino i Salvatore. Trafili do szpitala Westminster. Salvatore stracił lewą rzepekę kolanową, Borsalino ma ranę postrzałową uda.

– Mój Boże... major Roper zbyt się z nimi nie patyczkował, nieprawdaż?

– Na to wygląda.

– Jak brzmi ich opowieść?

– Powiedzieli funkcjonariuszowi zajmującemu się ich sprawą, że przechodząc przez plac, zostali zaatakowani przez dwóch wielkich Murzynów. Doszło do strzelaniny. Resztę pan zna.

– Nikt nie jest dziś bezpieczny w wielkim mieście – mruknął Ferguson i odwrócił się do Dillona. – Co teraz?

– Blake i ja złożymy wizytę Harry'emu Salterowi. Zapytam go o braci Jago i może powie nam o nich coś ciekawego. Jeśli organizowany jest wielki skok, Salter na pewno coś o nim słyszał. Jest mi winien przysługę. Nie tylko mnie, ale i Blake'owi. Tak się składa, że uratowaliśmy mu życie na statku wycieczkowym Lynda Jones poniżej

Wapping, kiedy chciał go załatwić bandzior od Hookera.

– Tak, przypominam sobie tę historię – powiedział Ferguson. – Wyśmienicie. Ale co zrobimy w sprawie Brendana Murphy’ego? To o wiele bardziej niepokojące.

– Roper pracuje nad tym – odparła Hannah. – Twierdzi, że ułatwilibyśmy mu znacznie zadanie, dostarczając dodatkowych informacji. Czy możemy je w jakiś sposób zdobyć?

– Mam pewną propozycję – wtrącił Dillon. – Kiedy ja i Blake będziemy składać wizytę Salterowi, mogłabyś zadzwonić do Liama Devlina w Kilrea.

– Dobry Boże! To on jeszcze żyje? – zdziwił się Ferguson.

– Z całą pewnością. Devlin jest nieśmiertelny. Polubił cię, Hannah. Opowiedz mu całą historię, ze wszystkimi detalami. Poproś, żeby dowiedział się czegoś więcej o Brendanie Murphym. Devlin jest wciąż legendarną postacią w IRA i nieocenionym źródłem wszelkich informacji na jej temat.

Hannah odwróciła się do Fergusona.

– Co pan o tym sądzi, brygadierze?

– To całkiem niegłupi pomysł. Ale lepiej niech pani do niego nie telefonuje. Proszę polecieć dzisiaj do Dublina i załatwić to w cztery oczy.

– Skoro pan nalega...

– Owszem, nalegam. Zatem, kochani, bierzcie się do roboty.

Hannah wróciła razem z Johnsonem i Dillonem do swojego gabinetu, zadzwoniła stamtąd na Farley Field i zarezerwowała samolot.

– Uważaj na siebie, kobieto – powiedział jej Dillon. – Niezależnie od procesu pokojowego, to wciąż strefa frontowa.

– Porzuć ten protekcyjny ton, Sean.

– Są ludzie, którzy gdyby tylko mogli, chętnie strzeliliby ci prosto w oczy.

Hannah wzięła głęboki oddech.

– Masz rację. Przepraszam.

– Nie zapomnij zabrać ze sobą broni.

– Nie zapomnę.

Dillon i Blake wyszli. Hannah wyjęła z torebki notes i znalazła numer telefonu Devlina w małej wiosce Kilrea, niedaleko Dublina. Gospodarz podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

– Któż to zakłóca mi ten uroczy poranek?

– Hannah Bernstein.

– Jezu, dziewczyno, co się stało? Słyszałem, że zostałeś panią komisarz.

– Mamy tu pewien problem, panie Devlin, i potrzebna nam jest pańska pomoc.

– Gdzie się podziewa Dillon?

– Jest zajęty czym innym, razem z Johnsonem.

– Czy to nie jest przypadkiem ten facet z FBI, z którym Dillon i ja pojechaliśmy do Tullamore, żeby ocalić skórę Dermotowi Rileyowi? To porządny gość. Dobrze, zgadzam się. Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

– Właśnie wyjeżdżam. Mogę być u pana w południe.

– Już teraz cieszę się na nasze spotkanie – odparł Devlin, po czym odłożył słuchawkę i uśmiechnął się.

Dillon jechał Horse Guard Avenue, prowadząc zielonego minicoopera.

– Więc Harry wciąż jest na bakier z prawem? – zapytał Blake.

– Jasne. Ma to we krwi. Jak już powiedziałem, ogranicza się do przemytu: alkohol, diamenty, tego rodzaju rzeczy. Nie uznaje narkotyków. To trochę staroświecki facet; ceni sobie wartości rodzinne, i tak dalej.

– Czyż nie cenimy ich wszyscy? – mruknął Blake.

Dojechawszy do Wapping, zatrzymali się przed Dark Man – typowym londyńskim pubem zaopatrzonym w szyld, na którym wymalowano posępnego osobnika w czarnej opończy.

Do południa zostało jeszcze pół godziny i było trochę za wcześnie na drinka, ale pub był otwarty. Dillon i Johnson weszli do głównej sali, bardzo wiktoriańskiej w wystroju: stojące na tle luster baterie butelek,

pachnący pastą wielki bar, czekające na pierwszy spust porcelanowe kraniki beczek z piwem.

Przy stoliku w rogu siedziało trzech mężczyzn, popijając herbatę i czytając gazety: bratanek Harry'ego Billy Salter oraz Joe Baxter i Sam Hall.

– Co to jest? Złodziejska melina? – zapytał Dillon.

Billy podniósł wzrok i na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

– Dobry Boże, to ty, Dillon! A to nasz amerykański przyjaciel, pan Johnson! Pamiętamy was. – Baxter i Hall roześmiali się. – Tak czy owak, nie siedzimy przynajmniej w pierdłu – dodał Billy – i chyba trzeba się z tego cieszyć. Co was tutaj sprowadza? Kłopoty?

– Dlaczego tak sądzisz, Billy? Czyżby dokuczała ci nuda? – zapytał Dillon. – Porozmawiamy z Harrym i zobaczymy.

– Jest na statku.

– Na „Lyndzie Jones”?

– Jasne. Odremontowanej. To jego duma i radość. Przejdźmy się.

Ruszyli wzdłuż nabrzeża, mijając kilka innych łodzi i dwie stare, pod – topione barki. Kiedy dotarli do statku, zaczęło padać. Harry Salter siedział przy stole pod daszkiem, czytając „Timesa”. Dora, główna barmanka z Dark Man, nalewała mu herbaty. Harry poklepał ją po tyłku.

– Mówiłem ci już nieraz, Dora, że masz wspaniałą dupcię – oświadczył.

– Czyż nie mamy do czynienia z wielkim poetą? – zauważył Dillon.

– Co za wspaniały dobór słów.

Salter podniósł wzrok i zdjął okulary do czytania.

– Chryste, to ty, Dillon. I znowu ten cholerny Jankes – dodał, zerkając na Blake'a. Błękitne oczy stwardniały w jego porytej zmarszczkami twarzy. – Co jest grane? Jakies kłopoty?

– Ujmijmy to w ten sposób. Jesteś mi winien przysługę i nadszedł czas zapłaty. Gryzłbyś już dawno piach, gdybyśmy nie wtrącili się, kiedy dopadł cię ten zakapior od Hookera.

– Nie ma sprawy. Zawsze spłacam swoje długi. A poza tym lubię cię, Dillon. Przypominasz mi mojego przyjaciela Billy’ego. Chodzi o to, że wszystko olewasz. Jak Szalony Kapelusznik.

– Masz na myśli, że szukam śmierci?

– Coś w tym rodzaju – odparł Billy. – Ty i ja, Dillon, jesteśmy duchowymi braćmi. Mamy jakiś problem?

– Jeśli go mamy, to nazywa się Jago.

Billy pobrał.

– Harold i Tony, te dwa kutafony...

– Nie lubisz ich?

– Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Nie mamy przed sobą tajemnic – stwierdził Harry. – Wiesz, że sprowadzam papierosy z Europy. Można dużo zarobić na różnicy w podatkach. Ale w ciągu ostatnich dwóch miesięcy okradziono mi trzy transporty. Wiem, że to bracia Jago, jednak nie mogę tego udowodnić. Więc na czym polega ten problem?

– Chodzi o Jacka Foxa. Facet reprezentuje interesy rodziny Solazzo.

– Colosseum? – zapytał Billy. – Słyszeliśmy o nim. Jago kręca z Foxem. Napady na opancerzone furgonetki, tego rodzaju rzeczy.

– Fox kazał zamordować żonę Blake’a. Była dziennikarką, która dobrała mu się do skóry, więc załatwił ją.

– Jezu – mruknął Harry. – Pierdolony sukinsyn. Co mogę powiedzieć? – zwrócił się do Blake’a.

– Wystarczy, jeśli powiesz, że pomożesz.

– Na pewno możesz na mnie liczyć. Jak wygląda sytuacja?

– Fox potrzebuje pilnie gotówki. Jeszcze o tym nie słyszeliście, ale wczoraj w nocy doprowadziliśmy do zamknięcia Colosseum i salonów gier.

– Jak wam się to, do diabła, udało?

– Opowiedz im – mruknął Dillon.

Kiedy Blake to zrobił, Harry i jego bratanek wybuchnęli śmiechem.

– Wielki Boże... czyż to nie piękne? – rechotał Billy.

– Być może, ale byli tam bracia Jago i wiemy, że Fox szykuje duży skok. Więc miej oczy i uszy otwarte, Harry.

– Na pewno czegoś się dowiemy. – Salter zatarł ręce. – Życie nabiera znowu barw, prawda, Billy?

Billy wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

– Żebyś wiedział. Czytam właśnie taką książkę z dziedziny filozofii... – poinformował Dillona. – Tanie wydanie, zwędziłem je u fryzjera. To lepsze niż jakaś powieść. Facet nazywa się Heidegger. Słyszałeś o nim?

– Ten Niemiec? Był, zdaje się, ulubieńcem Heinricha Himmlera.

– Nie szkodzi. Twierdzi, że życie to czyn i pasja. I że jeśli człowiek nie dokona żadnych wielkich czynów i nie podda się pasji, to można uznać, że w ogóle nie żył.

– Prawdziwy z ciebie erudyta, Billy.

– Nie rób sobie ze mnie jaj, Dillon. Nie chodziłem do wielu szkół i zdaję sobie sprawę, że jestem wyrzutkiem, ale mam łeb nie od parady. Lubię czytać książki i wiem, co to jest „erudyta”. To znaczy, że jestem cwany sukinsynem.

– Nigdy w to nie wątpiłem. – Dillon wyjął kartkę i nagryzmolił na niej kilka numerów. – To mój telefon domowy, to komórkowy, a to numer Fergusona w jego mieszkaniu przy Cavendish Square. Postaraj się, Harry.

– Na pewno czegoś się dowiem, staruszk.

Dillon i Blake zeszli na pomost i Dillon zauważył kilka butli z tlenem. – Hej, Billy, nadal bawisz się w nurkowanie?

– Mam teraz patent płetwonurka. Masz taki patent?

– Tak się składa, że mam.

– Och, daj się wypchać. Ale będziemy w kontakcie – powiedział Billy i wrócił do swojego wuja.

Gulfstream, którym leciała Hannah Bernstein, nie miał znaków RAF-u, w związku z czym zaraz po wylądowaniu w Dublinie skierowano go do sektora, gdzie obsługiwane były prywatne samoloty. Sierżant Madoc otworzył luk. Podobnie jak Lacey i Parry, miał na sobie granatowy

uniform noszony przez załogi samolotów na całym świecie. Kiedy wyszli na zewnątrz, rozłożył nad Hannah parasol, chroniąc ją przed ulewnym deszczem.

– Przy hangarze czeka na panią mercedes – oznajmił i ruszył wraz z nią w tamtą stronę.

Obok mercedesa stał jeszcze jeden pojazd, wóz patrolowy Gardy z umundurowanym policjantem za kierownicą. Obok niego siedział potężny mężczyzna w żółtym trenczu burberry i tweedowej czapce.

– Nazywam się Dan Malone i jestem nadkomisarzem Wydziału Specjalnego – oświadczył z uśmiechem, wysiadając z samochodu. – Nie mieliśmy dotąd okazji się spotkać.

– Przewyższa mnie pan rangą.

– Słyszałem, że awansowano panią na komisarza. Założę się, że chłopcom ze Scotland Yardu wcale się to nie podobało.

– Malone? To dobre irlandzkie nazwisko. W Wydziale Specjalnym mamy detektywa sierżanta Terry’ego Malone’a.

– To mój bratanek. Jego matka jest Angielką, urodził się w Londynie. Czy możemy zamienić kilka słów na osobności?

Schowali się przed deszczem do hangaru i Malone wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów.

– Pali pani?

– Nie.

– To dobrze. Pożyje pani dłużej ode mnie. Niech pani posłucha, mamy wspólną Europę i proces pokojowy, a to oznacza, że w dzisiejszych czasach powinniśmy działać razem. Poza tym, podobnie jak inni ludzie z dublińskiego Wydziału Specjalnego, wiem o pani wszystko. Cieszy się pani u nas dużą sławą. Podobnie jak Ferguson i Dillon.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że kiedy w grę wchodzi IRA, nie chowamy głowy w piasek. Z drugiej strony, skoro przysłał panią Ferguson, coś się szykuje. Będę z panią szczerzy. Przycisnąłem trochę pani szofera i powiedział, że ma panią zabrać do Kilrea. A to może oznaczać tylko jedno. Chce się pani

spotkać z tym starym skubańcem, Liamem Devlinem.

– Widzę, że pan też go lubi?

– Tak, do diabła. Więc... czy jest jakaś rzecz, o której powinienem wiedzieć?

– Szukam informacji.

– Jakaś gorąca sprawa?

– Niewykluczone. – Hannah zdecydowała, że zaryzykuje. – Możemy porozmawiać jak policjant z policjantem?

– Oczywiście.

– Mówi panu coś nazwisko Brendan Murphy?

– Chodzi wam o tego drania? Dobry Boże, więc to on jest w to zamieszany! – Malone zmarszczył czoło. – Ale to nie nasza jurysdykcja. Przebywa na ogół po północnej stronie granicy. Co przeszkrobał?

– W tej chwili to tylko plotki. Mówi się o składzie broni w hrabstwie Louth. I o powiązaniach z arabskimi terrorystami w Libanie.

– Więc dlatego chce się pani spotkać z Devlinem?

– Właśnie. Jeśli ktoś wie coś więcej na ten temat, to tą osobą jest Liam Devlin.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Będzie mnie pani informowała na bieżąco?

– Oczywiście. Być może nawet będziemy musieli skorzystać z pańskiego biura.

– Świetnie. W takim razie czekam na sygnał. – Malone odprowadził ją do mercedesa i otworzył drzwiczki... – I bez względu na to, że trwa proces pokojowy, proszę zachować ostrożność.

– Proces pokojowy? Co to takiego? – zapytała, po czym wsiadła do limuzyny i zatrasnęła drzwiczki.

Było kilka minut po dwunastej, kiedy dojechali do wiktoriańskiego domku Devlina, położonego nieopodal klasztoru w wiosce Kilrea. Hannah kazała kierowcy zaczekać, po czym ruszyła alejką i zapukała do drzwi. Po chwili otworzyły się i stanął przed nią – ubrany w czarne

spodnie i koszulę Armaniego – srebrzystowłosa, niebieskooki mężczyzna w nieokreślonym wieku, człowiek, który wciąż prowadził seminaria literackie w Trinity College i był dożywotnim członkiem IRA mającym na sumieniu wiele istnień ludzkich.

– Jezu, dziewczyno, wyglądasz wspaniale – powiedział i objął ją ramieniem. – Naprawdę wspaniale. Wejdz.

– Ty też nieźle się trzymasz.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, prowadząc ją do salonu.

– Nie, wolałabym od razu przystąpić do rzeczy.

Hannah usiadła, a on usadowił się naprzeciwko niej.

– Dobrze, więc przystąp do rzeczy.

– Znasz człowieka o nazwisku Brendan Murphy?

Rysy Liama stwardniały.

– Ten łajdak jest w to zamieszany?

– Łajdak...?

– Gorszego nie znajdziesz. – Liam wyjął papierosa ze starej srebrnej papierošnicy i zapalił go. – Lepiej wszystko mi opowiedz.

Kiedy skończyła, siedział przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

– Owszem, to mi wygląda na Murphy'ego – stwierdził w końcu.

– Tak się zastanawiam... skąd Murphy wziął forszę, żeby zapłacić za podziemny bunkier i całą tę broń?

– Z handlu narkotykami. Z wymuszania haraczy. Przez to pochopne zwalnianie więźniów w Ulsterze znowu zaroilo się od gangsterów po obu stronach: lojalistów i katolików.

– Czy masz jakieś informacje o tym, co może szykować Murphy?

– Tylko bardzo ogólne. Mówi się, że spędził jakiś czas w Libii, nie tylko szkoląc się, lecz również biorąc udział w akcjach różnych arabskich grup. To on zorganizuje Foxowi kontakty w Libanie.

– Żadnych bliższych konkretów?

Liam potrząsnął głową, ale po chwili zmrużył oczy.

– Chyba znam osobę, która mogłaby wam pomóc... Ale musisz dać słowo, że zachowasz dyskrecję.

– Z IRA?

– Tak.

Hannah skinęła głową.

– Masz moje słowo.

Liam sięgnął po słuchawkę.

W Dublinie Michael Leary zakładał właśnie płaszcz przeciwdeszczowy, kiedy zadzwonił telefon.

– Leary – powiedział, podnosząc słuchawkę.

– Michael, staruszk, to ja, Liam Devlin.

– Jezu, Liam, od razu robi mi się słabo. Telefon od ciebie może oznaczać tylko jedno. Czegoś ode mnie chcesz.

– Jak zawsze. Spotkajmy się w Irish Hussar, żeby coś przegryźć. Będzie ze mną pani komisarz z Wydziału Specjalnego.

– O co chodzi? Nie chcę mieć nic wspólnego z Gardą.

– Mówię o Scotland Yardzie. Pani komisarz nazywa się Bernstein. To mądra i piękna kobieta, Michael. Pracuje z Seanem Dillonem.

– Mój Boże... – jęknął Leary. – Nie chcę o tym słyszeć.

– Będziesz zachwycony, synu. Do rychłego zobaczenia – pożegnał się z nim Devlin i odłożył słuchawkę.

Kilka chwil później, gdy jechali do Dublina mercedesem, zasunął szybkę dzielącą ich od kierowcy i opowiedział Hannah o Michaelu Learym.

– To miły chłopak. Studiował na Queen's University w Belfaście. Był lektorem literatury angielskiej. Przez jakiś czas wykładał.

– A potem poświęcił się dla sprawy.

– Miał swoje powody.

– Czy wykształcony człowiek może zaangażować się w podkładanie bomb i walkę zbrojną?

– Chcesz powiedzieć, że wszyscy członkowie IRA powinni się rekrutować z ludzi, którzy noszą cegły na budowie i mają podkute ćwiekami buty? Żydzi, którzy po drugiej wojnie światowej walczyli o powstanie państwa Izrael, członkowie band Irguna i Sterna, nie cofali

się przed podkładaniem bomb i użyciem broni palnej, mimo że wielu z nich skończyło najlepsze europejskie uniwersytety.

– Cofam to, co powiedziałam.

Liam zapalił papierosa i otworzył szybę, żeby wypuścić dym.

– Z wrodzoną skromnością muszę dodać, że ja sam uczęszczałem do szkoły prowadzonej przez jezuitów i skończyłem z wyróżnieniem Trinity College.

– Dobrze, poddaję się. Nie mam prawa tak mówić. Sama zabiłam kilku ludzi. Chodzi po prostu o to, że nie lubię bomb.

– Ja też ich nie lubię.

– Powiedz mi coś więcej o Learym.

– Przez długie lata był w czynnej służbie. Pracowaliśmy razem, tyle że on lubił bomby bardziej niż ty czy ja. Kiedy przewoził jedną z nich ciężarówką do Ulsteru, nastąpił wybuch, który zabił dwóch jadących z nim ludzi i urwał mu połowę lewej nogi. Na szczęście doszło do tego jeszcze na terenie Republiki, dlatego nie wylądował w więzieniu Maze.

– Więc jego kariera w czynnej służbie się skończyła?

– Prowadził w Dublinie komórkę wywiadu podległą szefowi sztabu, ale kiedy zaczął się proces pokojowy, stwierdził, że ma dosyć. Zna dobrze Dillona z dawnych czasów z Derry, kiedy walczyli po tej samej stronie barykady.

– A teraz czym się zajmuje?

– Pisze thrillery. Ramoty, które możesz znaleźć w kiosku na lotnisku. I całkiem dobrze mu się powodzi.

– Kto by pomyślał... – Hannah zmarszczyła czoło. – Sądzisz, że nam pomoże?

– Ujmijmy to w ten sposób: podobnie jak wielu ludzi w dzisiejszych czasach, uwierzył w pokój. Zobaczymy.

Kazał kierowcy skręcić w bulwar przy rzece Liffey, gdzie zaparkowali pod Irish Hussar.

– To ulubiony lokal zacnych republikanów i stronników Sinn Fein. Mają znakomitą kuchnię – poinformował Hannah.

Bar był bardzo staroświecki, z lustrami, mahoniem i wszelkiego

rodzaju alkoholami. W środku było tłoczno. Leary siedział przy stoliku w samym rogu, na stole przed nim stał kufel guinnessa i talerz irlandzkiego gulaszu.

– Nie wstawaj – powiedział mu Devlin. – To moja przyjaciółka, Hannah. Przejdźmy od razu do rzeczy.

Leary przyjrzał się jej. Był przystojnym, czterdziestopięcioletnim mężczyzną z czarnymi włosami przetykanymi siwizną. Po krótkim wahaniu wyciągnął do niej dłoń. Hannah również zawahała się i dopiero po chwili ją uścisnęła.

– Siadajcie – zaprosił ich do stolika.

– Gulasz wygląda zachęcająco – stwierdziła, kiedy podeszła do nich kelnerka. – Mam ochotę go spróbować.

– A co dla pana, profesorze Deylin? – zapytała kelnerka.

– Pochlebiasz mi, kochana. – Liam obrócił się do Hannah. – Eileen studiuje w Trinity. W ramach pokuty za swoje grzechy musi czasem przychodzić na moje seminaria.

– Nonsens, jest pan najlepszy, i wszyscy o tym wiedzą – stwierdziła Eileen.

– Masz już załatwioną piątkę za następną pracę semestralną. Dla mnie całodzienne śniadanie. Wielki dramaturg i powieściopisarz Somerset Maugham powiedział kiedyś, że aby dobrze zjeść w Anglii, człowiek powinien spożywać śniadania trzy razy dziennie. A do tego bushmills whiskey.

– Dla mnie woda mineralna – powiedziała Hannah.

– Wciąż piszesz nocami, Michael?

– To przez tę nogę, Liam. W nocy strasznie mnie rwie. Nie mogę spać i nie chcę brać morfiny.

– Na twoim miejscu leczyłbym się, pijąc bushmills.

Eileen przyniosła drinki i odeszła. Leary ponownie zagłębił widelec w swój gulasz.

– Więc o co chodzi?

– O Brendana Murphy'ego. To twój przyjaciel?

– Ten człowiek nie jest niczym przyjacielem. Dla mnie to pospolity

gangster. Hańba dla ruchu.

– Czy szef sztabu podziela twoje zdanie?

– Z pewnością. Wszyscy weterani chcą, żeby zapanował pokój, Liam. Ale nie ludzie pokroju Murphy’ego...

– Który ma interes w tym, żeby nadal lała się krew – stwierdziła Hannah.

– Właśnie. Grupy rozłamowe w rodzaju Prawdziwej IRA oraz IRA Kontynuacji mają inne cele.

Kelnerka przyniosła śniadanie dla Devlina oraz irlandzki gulasz dla Hannah i zaczęli jeść.

– Gdzie może teraz być Murphy? – zapytała Hannah.

– Bóg jeden wie, pani komisarz – odparł Leary. – Jak pani zapewne świetnie się orientuje, obecnie w Republice, Ulsterze i Zjednoczonym Królestwie raczej wypuszcza się tych ludzi, niż ich zamyka. Murphy może jeździć, gdzie chce. Będzie miał kłopoty tylko wtedy, jeśli zadrze z Tymczasową IRA.

– Zajmiecie się nim?

– Z pewnością. Jesteśmy wojskiem i mamy swoje zasady i regulaminy. A teraz powiedzcie mi, o co chodzi i dlaczego miałbym wam pomóc.

– Ponieważ piętnaście lat temu uratowałem ci życie w hrabstwie Down, kiedy cię postrzelono – oświadczył Devlin. – Przewiozłem cię przez granicę.

– Odwdziczyłem ci się za to, kiedy ty, Dillon i ten Jankes szukaliście Dermota Rileya. Powiedziałem ci, że wrócił, że przebywa prawdopodobnie na farmie w Tullamore, i pojechaliście tam.

– Niestety poinformowałeś o tym również szefa sztabu, który wysłał tam Bella i Barry’ego. Torturowali Bridget Riley, gasząc papierosy na jej twarzy.

– Dillon zabił Bella, a ty postrzeliłeś Barry’ego w plecy. Wszystko zaczęło się od Dermota.

Devlin pokiwał głową.

– Dobrze, powiedz mu, Hannah.

Komisarz opowiedziała Leary'emu o podziemnym bunkrze w hrabstwie Louth, o Foksie i libańskich powiązaniach. O wszystkim.

Kiedy skończyła, Leary przez chwilę się zastanawiał.

– Chcę, żeby jedno było jasne, i mówię tutaj w imieniu całej Tymczasowej IRA – oświadczył w końcu. – Nie oddamy naszej broni. Historia udowodniła, że nie jest to mądre posunięcie.

– Cieszy się więc, wiedząc, że ten bunkier istnieje i że Murphy sprawuje nad nim pieczę?

– Nie, wcale mnie to nie cieszy, do diabła, podobnie jak nie ucieszy szefa sztabu.

– Powie mu pan o tym? – zapytała Hannah.

– Nie mam wyboru.

– No cóż, przynajmniej raz coś was łączy – mruknął Devlin. – Powiedz, co możesz zrobić, Michael?

– Możemy przeczesać hrabstwo Louth, ale to bardzo duży teren i Murphy ma tam wielu twardogłowych przyjaciół, więc nie robiłbym sobie wielkich nadziei... – Leary zmarszczył nagle brwi. – Coś mi wpadło do głowy. Sean Regan. Pamiętasz go, Liam?

– Owszem, z Derry – odparł Devlin. – Postrzelił żandarma i zwiął do Ameryki. Z tego co wiem, gliniarz przeżył.

– To było przed dwoma laty. Regan wrócił i spiknął się z Murphym. Trzy tygodnie temu leciał z Paryża do Dublina i samolot zawrócono na Heathrow z powodu mgły. Komputer znalazł nazwisko Regana na liście i zgarnęli go.

– Ciekawe, dlaczego nic o tym nie wiem – mruknęła Hannah.

– Z moich informacji wynika, że SIS aresztowała go na Heathrow na mocy specjalnych pełnomocnictw i wywiozła w niewiadomym kierunku. Myślałem, że powinna pani o tym wiedzieć. Czy wasze tajne służby nie wymieniają między sobą informacji?

– Tylko od czasu do czasu.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Devlin, zwracając się do Hannah.

– Jeśli Regan pracował dla Murphy'ego, może coś wiedzieć. Szczerze mówiąc, to nasz najlepszy trop.

– Nie wydaje mi się, żebym mógł ci w większym stopniu pomóc – stwierdził Devlin. – Tu obecny Michael da cynk szefowi sztabu i jeśli dostaną mi się jakieś okruszki z pańskiego stołu, dam ci znać.

Wstali i ruszyli do wyjścia. Na zewnątrz Leary podał Hannah rękę.

– Było mi bardzo miło, pani komisarz, ale niech spotkania ze mną nie wejdą pani w krew – powiedział i oddalił się.

Devlin uśmiechnął się.

– W miarę przyzwoity kutafon. Teraz wsiadajmy do tej twojej wielkiej limuzyny. Podrzucę cię na lotnisko, a potem kierowca może mnie odwieźć do domu.

Leary odwiedził szefa sztabu w jego podmiejskim domu i wielki człowiek wysłuchał relacji o spotkaniu z Hannah, podczas gdy jego żona podała herbatę i ciasteczka.

– Czy postąpiłem słusznie? – zapytał Leary.

– Oczywiście. Murphy to jadowity wąż. Rada Wojskowa i ja nie mamy czasu się nim zająć.

– Co w tej sytuacji robimy?

– Każę paru ludziom sprawdzić, jak się rzeczy mają w hrabstwie Louth, ale niewiele się po tym spodziewam.

– Tak...?

Szef sztabu uśmiechnął się.

– Jeśli tą sprawą zajmuje się Ferguson i Sean Dillon... no cóż, przynajmniej raz będziemy po tej samej stronie. Sean może wykonać za nas brudną robotę.

Na lotnisku mercedes Hannah wjechał do hangaru, gdzie czekali Lacey i Parry. Gulfstream stał na zewnątrz w potokach deszczu. Kiedy Hannah i Devlin wysiedli, pojawił się ponownie samochód Gardy. Podszedł do nich Malone.

– Liam, ty stary pierniku...

– Wypchaj się, Dan – odparł wesoło Devlin i uściskali sobie dłonie.

– Dowiedzieliście się czegoś? – zapytał Malone.

Na twarzy Hannah odbiło się wahanie.

– Mów śmiało, facet chce ci pomóc – zapewnił ją Devlin.
Opowiedziała mu więc o spotkaniu z Learym.

– Zatem cokolwiek planuje Murphy – oświadczył Malone, kiedy skończyła – nie ma oficjalnego błogosławieństwa IRA.

– Co to za historia z Seanem Reganem? – zapytała.

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś tutaj bawi się w ciuciubabkę – mruknął Devlin.

Hannah pokiwała głową.

– Muszę rozwikłać tę zagadkę po powrocie. Jak zwykle jesteś nieoceniony, Liam – dodała, podając mu rękę.

– Hej, należy mi się coś więcej, dziewczyno – odparł, całując ją. – Uważaj na siebie i powiedz Seanowi, żeby miał oczy z tyłu głowy.

– To rzecz, w której naprawdę jest dobry. Do widzenia, nadkomisarzu.

Lacey i Parry byli już w samolocie. Sierżant Madoc pomógł Hannah wspiąć się po schodkach, drzwi zamknęły się i gulfstream potoczył się po pasie startowym.

– Niesamowita kobieta – stwierdził Malone.

– Możesz to powtórzyć dwa razy – odparł z uśmiechem Devlin. – A teraz proponuję, żebyś zwolnił kierowcę i przejechał się ze mną tą luksusową limuzyną, którą wypożyczyła mi zacna pani komisarz. Wrócimy do Irish Hussar, gdzie możesz mi postawić bardzo dużą bushmills.

– Ja, w tej jaskini republikańskich rewolwerowców?

– Pamiętam, że jednym z nich był twój młodszy brat, Fergus.

– Nie mówmy o tym.

– Jak już powiedziałem, jedziemy do Irish Hussar. Moje notowania z pewnością bardzo wzrosną, kiedy zobaczą mnie w towarzystwie policjanta. To wielka pociecha.

Gulfstream nabierał systematycznie wysokości nad Morzem Irlandzkim. Hannah wyjęła kodowaną komórkę i zadzwoniła do Fergusona.

– Jak poszło? – zapytał.

Opowiedziała mu o wszystkim, łącznie z Reganem.

– Sam pan widzi, brygadierze. Powinniśmy zostać o tym poinformowani. Między tajnymi służbami istnieje podobno współpraca.

– Z SIS nie ma żadnej współpracy, dopóki zastępcą dyrektora jest tam Simon Carter. Zostaw to mnie.

Ferguson siedział przez chwilę przy biurku, pogrążony w rozmyśleniach, a potem zadzwonił do Dillona, który czekał w sekretariacie razem z Blakiem.

– Chodźcie tutaj – powiedział. – Rozmawiałem właśnie z panią komisarz i może wyłonić się pewien problem.

Dillon i Blake wysłuchali z uwagą relacji Fergusona o przygodach Hannah Bernstein.

– To niedopuszczalne, żeby jedna duża agenda wywiadu tajiła informacje, które mogą mieć podstawowe znaczenie dla drugiej – stwierdził Blake.

– Carter znany jest z tego, że dba tylko o własny interes i olewa wszystkich naokoło – mruknął Dillon.

– Chyba już najwyższa pora, żebyś przypomniał mu – oznajmił Ferguson – że moja pozycja szefa osobistej służby bezpieczeństwa premiera daje mi szczególne prawa. Łącznie z prawem wydawania mu poleceń.

– Chciałbym to zobaczyć – rozmarzył się Dillon.

Ferguson uśmiechnął się, podniósł słuchawkę i wystukał numer.

– To ty, Carter? Słuchaj, wyłonił się pewien problem i muszę się z tobą spotkać. Chcę, żebyś udzielił mi pewnych informacji, zanim porozmawiam z premierem... Tak? Dobrze. Czekam na ciebie w Grenadier przy St James za trzydzieści minut.

– To mi się podoba – oświadczył Blake.

– Jak mówicie wy, Jankesi, niczego jeszcze nie widziałeś. Zamów samochód, Dillon. Wezmę tylko kilka dokumentów i ruszamy w drogę.

Grenadier był sympatycznym, tradycyjnym londyńskim pubem ze ścianami z ciemnego dębu. Carter, nieduży blady facet z siwą czupryną, który czekał już na nich w rogu, sącząc sherry, zmarszczył brwi na widok Dillona.

– Ferguson, już ci mówiłem... Nie życzę sobie, żebyśmy rozmawiali w obecności tego mordercy.

– Załatw to z premierem. To on go zatrudnił.

– Niech Bóg ma w opiece twój honor – powiedział wesoło Dillon.

– Czuję się zaszczycony, mogąc przebywać pod jednym dachem z tak czcigodną osobą.

– Och, idź do diabła.

– Pamiętasz chyba Blake'a Johnsona? – zapytał Ferguson.

– A, to ten Amerykanin. – Carter niechętnie podał Johnsonowi dłoń.

– W czym rzecz? – mruknął, zwracając się do brygadiera.

– Renegat IRA o nazwisku Brendan Murphy knuje jakieś draństwo i muszę wiedzieć, co to takiego.

– Nonsens. Teraz, kiedy zaczął się proces pokojowy, Murphy nie stanowi już większego zagrożenia.

– Łziesz w żywe oczy – oświadczył Dillon. – Oto zastępca dyrektora Security Services, człowiek bez twarzy, który sam nigdy nie walczył na pierwszej linii frontu – poinformował Blake'a.

– Niech cię szlag trafi, ty irlandzka świnió – warknął Carter.

– To była typowo rasistowska uwaga – stwierdził Dillon. – Mógłbym cię pozwać do sądu.

– Właśnie – zgodził się Ferguson. – A ponieważ moja świętej pamięci matka również była Irlandką, jako pół-Irlandczyk traktuję to bardzo osobiście.

– Według mnie, obraził pan właśnie dobre imię matki brygadiera – zauważył Blake.

– Czy możemy przejść do rzeczy? – zapytał Dillon. – Trzy tygodnie temu zgarnąłeś niejakiego Seana Regana, kiedy jego samolot został skierowany z Dublina na Heathrow z powodu mgły. Dlaczego?

– Nie udawaj głupiego, Dillon. Facet postrzelił przed kilku laty

żandarma w Londonderry i dał nogę. Policjant o mało nie umarł.

– Więc macie zamiar wytoczyć Reganowi proces w Old Bailey? – zapytał Ferguson.

– Możemy to zrobić.

– Ale nie zrobicie, ponieważ trwa właśnie proces pokojowy. Dzisiaj wypuszczamy ich na wolność, a nie wsadzamy za kratki.

Carter nagle się zmieszał.

– Daj spokój, Ferguson, obowiązują nas przecież zalecenia politycznych mocodawców.

– Jeśli o mnie chodzi, nie aż tak bardzo. Obowiązują nas przepisy prawa. Przetrzymujecie Regana, żeby wycisnąć z niego wszystko, co moglibyście w przyszłości wykorzystać.

– I co z tego?

– To, że nie będziecie już mogli tego robić. Gdzie go trzymacie?

– W Wandsworth – odparł odruchowo Carter.

– Teraz już nie. – Ferguson wyjął kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Oto nakaz, na mocy którego jako szef osobistej służby bezpieczeństwa premiera przejmuję pieczę nad niejakim Seanem Reganem.

– Posłuchaj, Ferguson... – zaczął Carter.

– Nie, to ty mnie posłuchaj. Różnica między nami polega na tym, że ja służyłem w wojsku. W pięćdziesiątym drugim walczyłem jako osiemnastoletni podporucznik w Korei i widziałem tam więcej łotrów, niż ty zjadłeś w życiu śniadań. Więc nie kłóć się ze mną i kontrasygnuj nakaz. Oto pióro.

Carter wziął drżącą ręką pióro i podpisał dokument.

– Jeszcze przyjdzie moja kolej, Ferguson.

– Nie sądzę. – Brygadier dmuchnął na atrament. – A teraz zmykaj.

Carter wstał i poczłapał do wyjścia.

– Dlaczego nie jest mi go wcale żal? – mruknął Blake.

– Bo nie jest tego wart – wyjaśnił mu Ferguson. – A zatem, panowie, następny przystanek to Wandsworth.

Ferguson, Dillon i Blake czekali w pokoju przesłuchań w zakładzie karnym Wandsworth. Po chwili otworzyły się drzwi i więzienny strażnik, przypominający z wyglądu sierżanta królewskiej gwardii, wepchnął do środka Regana.

– Oto nasz przyjaciel Sean – przywitał go Dillon. – Zawsze przysparzało nam wiele kłopotów, że mamy obaj takie samo imię – poinformował pozostałych.

– Jezu, to ty, Dillon? – wyjąkał Regan.

– We własnej osobie. Przyjechałem zabrać cię z celi i wybawić od smrodu kibla. To jest brygadier Charles Ferguson, twój nowy szef. A ten drugi facet to Jankes i w dodatku agent FBI, więc uważaj.

– Co tu jest grane? – zapytał Regan.

– Niech pan zostawi nas na chwilę samych – powiedział Ferguson do strażnika.

– Tak jest, brygadierze – odparł mężczyzna.

– Chodzi o Brendana Murphy’ego – wyjaśnił Dillon po jego wyjściu.

– Wiemy, że należałeś do jego szajki.

Jego słowa wywarły duże wrażenie na więźniu, próbował to jednak ukryć.

– Nie widziałem Brendana od lat – oznajmił.

– Więc Carterowi nie udało się nic z ciebie wycisnąć?

– Powiedziałem już, że nie wiem, o czym mówicie.

– Nie marnuj mojego cennego czasu – warknął Ferguson. – Przed dwoma laty zabiłeś w Derry żandarma i zwiąłeś do Stanów. Od tego czasu pracowałeś dla Brendana w Europie.

– To kłamstwo! – zachnął się Regan.

– Nie bądź głupi – poradził mu Dillon. – Postrzełeś gliniarza. Facet jakoś się wylizał, ale w Old Bailey wlepią ci dychę za usiłowanie morderstwa. Czeka cię Wandsworth albo Parkhurst... Będziesz się bał wziąć prysznic.

– O, nie! – Regan był wstrząśnięty. – Pan Carter obiecał, że nie wsadzą mnie, jeśli będę współpracował.

– Niestety teraz ja przejmuję dowodzenie – stwierdził Ferguson. –

Decyduj się. Komfortowy bezpieczny dom, gdzie poinformujesz nas o działaniach Brendana Murphy'ego, albo bardzo nieprzyjemna przyszłość.

– Brendan pokroi mnie na kawałki – mruknął zdesperowany Regan.
– To sadysta.

– Dlatego właśnie musimy otoczyć cię opieką – stwierdził Ferguson, po czym skinął na Dillona, który zapukał w drzwi.

Do środka wszedł z powrotem strażnik i Ferguson wyjął z kieszeni nakaz.

– Zabierzcie go do celi, żeby wziął swoje rzeczy, a potem przedstawcie naczelnikowi ten dokument, na mocy którego przejmuję pieczę nad więźniem.

– Tak jest, brygadierze.

Regan został wyprowadzony z pokoju.

– Zabieramy go do Holland Park i tam wyciśniesz go jak cytrynę, Dillon – oznajmił Ferguson.

– Z przyjemnością to zrobię, brygadierze – odparł Irlandczyk.

Wjeżdżając do domu w Holland Park, minęli bramę z elektronicznym zamkiem i strażników ubranych w schludne granatowe blezery i flanelowe spodnie.

– Dom bezpiecznej starości? Co to takiego? – zdziwił się Regan.

– To forteca – wyjaśnił mu Ferguson. – A ci panowie w blezerach to wojskowi żandarmi. Jak wkrótce się przekonasz, nie ma stąd wyjścia. Niech Helen zakwateruje go i nakarmi – powiedział, zwracając się do Dillona. – Ty i Blake zostańcie tutaj. Ja niedługo wrócę.

Jego daimler odjechał. Dillon i Blake poprowadzili między sobą skutego kajdankami Regana. Drzwi budynku otworzyły się i ukazał się w nich ogromny mężczyzna.

– Dzień dobry, panie Dillon.

– Mam dla ciebie kolejnego ptaszka, sierżancie Miller, niejakiego Seana Regana. Dwa lata temu postrzelił w Derry funkcjonariusza

Królewskiej Żandarmerii Wojskowej.

– To był Fred Dalton – stwierdził z kamienną twarzą Miller. – Przeżył, ale z powodów zdrowotnych musiał odejść ze służby. Dobrze się panem zaopiekuję, panie Regan.

Położył na lewym ramieniu więźnia rękę wielkości bochna chleba i w tym samym momencie po schodach zeszła kobieta w mundurze.

– Czy to nasz więzień, sierżancie Miller?

Sierżant wyprężył się na baczność.

– Tak jest, pani sierżant.

– Znakomicie. Niech pan go zabierze do pokoju numer dziesięć i rozpakuje, a potem zaprowadzi na herbatę i sandwicze w saloniku.

– Wedle rozkazu, pani sierżant.

– Co tu się dzieje? Kim ona jest? – zapytał Regan.

– To sierżant major Helen Black. Nie bądź szowinistyczną męską świnią, Regan – mruknął Dillon. – Pani sierżant zastrzeliła dwóch facetów z Tymczasowej IRA i odznaczono ją Krzyżem Wojskowym.

– Pierdol się, Dillon.

– Nieładnie tak się odzywać w obecności damy. Nie możemy na to pozwolić, prawda, sierżancie?

– Z całą pewnością nie, proszę pana – odparł Miller i ścisnął bardzo mocno lewe ramię Regana. – Zachowuj się, jak przystało na dżentelmena. Idziemy na górę.

– Co robimy? – zapytał Blake.

– Och, mają tu kantynę i kuchnię. Na pewno nie umrzemy z głodu. – Dillon uśmiechnął się. – Reganem zajmiemy się później.

Na piętrze Regan oniemiał ze zdumienia. Chociaż okna były zakratowane, dostał ładny pokój z łazienką i widokiem na ogród. Przydzielono mu nawet świeżą koszulę, blezer oraz spodnie podobne do tych, które nosili strażnicy. Po kilku minutach Miller zaprowadził go na dół, do małego saloniku z gazowym kominkiem. Czekająca tam na niego zupa, sandwicze z szynką oraz kieliszek wytrawnego białego wina. Miller stanął z nieodgadnionym wyrazem twarzy przy ścianie. Kontrast między tymi warunkami i więzieniem w Wandsworth wprowadził

Regana w lekką euforię.

– Czy mogę dostać jeszcze jeden kieliszek wina? – zapytał.

– Oczywiście, proszę pana – odparł Miller i nalał mu chablis.

Zgromadzeni za weneckim lustrem Ferguson, Dillon, Blake i Helen Black, a także dopiero co przybyła Hannah, bacznie obserwowali więźnia.

– Wszyscy znacie już całą historię – oświadczył brygadier. – To poważna sprawa, więc facet musi wszystko wyśpiewać. Chcę, żeby weszła do niego pani, pani sierżant, i ty, Dillon. Potrzebne mi są fakty.

– Oczywiście, brygadierze – odparła Helen Black. – Odpowiada ci zabawa w dobrego i złego gliniarza, Sean?

– Nie znam niczego lepszego. Przypominają mi się lata, które spędziłem w Teatrze Narodowym.

– Już nam o tym opowiadałeś. W porządku, zabieramy się do roboty – oznajmiła, ruszając pierwsza do drzwi. – Ale pamiętaj, że to ja prowadzę przesłuchanie.

– Czy mam wyjść, proszę pani? – zapytał Miller, kiedy weszli do saloniku.

– Nie, może będę pana potrzebowała, sierżancie – odparła Helen nagle zmienionym głosem. – To siepacz z Tymczasowej IRA. Okaleczył Freda Daltona. Myślisz, że Fred był jego pierwszą ofiarą?

– Bardzo w to wątpię, proszę pani – odparł chłodno Miller.

– Chciałabym, żeby pan go zakuł w kajdanki, sierżancie. Zabójca zawsze pozostanie zabójcą.

– Naturalnie.

– Chwileczkę! – zaprotestował Regan.

– Wyciągnij po prostu ręce i bądź grzecznym chłopcem.

Regan pocił się i był bardzo wystraszony. Spędził trzy tygodnie w celi w Wandsworth z wiadrem w rogu zamiast toalety i prysznicem dwa razy w tygodniu, w towarzystwie kilku otaczających go atencją współwięźniów o dzikim spojrzeniu oraz kilku zwykłych angielskich oprychów, którzy raczej raczej nie przepadali za IRA. Kontrast między więzieniem i tym, jak potraktowano go tutaj, mówił sam za siebie.

Myślał już, że wszystko będzie dobrze, gdy nagle pojawiła się ta kobieta, która wyglądała jak jego starsza siostra, ale zachowywała się jak funkcjonariuszka gestapo.

Helen rozpięła żakiet, odsłaniając tkwiącego w kaburze colta.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedziała.

Do grupy obserwujących przesłuchanie po drugiej stronie lustra dołączył Roper.

– Jest naprawdę bardzo dobra – stwierdził.

– Znakomita – zgodził się Blake.

– A mimo to nie zgadza się na awans – mruknął Ferguson.

– Nie może pan jej kupić, brygadierze – wtrąciła Hannah.

– Wiem – odparł, wzdychając.

W tym momencie Helen Black zaczęła przesłuchanie.

Zmiana, jaka w niej nastąpiła, była zdumiewająca. Najwyraźniej wcielił się w nią diabeł.

– Od lat walczę z ludźmi takimi jak ty. Podkładanie bomb i strzały z za węgla, ofiary wśród kobiet i dzieci. Niczym się nie zajmujecie. Zabiłam dwóch twoich kolegów w Derry. Zaparkowali furgonetkę z pięćdziesięcioma funtami semteksu przed hotelem pielęgniarskim. Nie mogliśmy na to pozwolić, prawda? Oberwałam kulą w lewe udo, załatwiłam sukinsyna, który to zrobił, a potem usiadłam i strzeliłam w plecy jego uciekającemu przyjacielowi.

Regan był przerażony.

– Na litość boską, co z pani za kobieta?

Helen złapała go za szczękę i szarpnęła boleśnie.

– Apacze oddają swoim kobietom jeńców, żeby nad nimi popracowały. Taką właśnie jestem kobietą.

– Wspaniale – stwierdził Ferguson. – Ona też powinna dostać gażę w Teatrze Narodowym.

– Okaleczyłeś mojego kolegę, Freda Daltona. – Helen wyjęła z kabury colta i przystawiła lufę do czoła Regana. – W komorze mam pociski kumulacyjne, śmieciu. Pociągnę tylko za cyngiel i twój mózg rozprysnie się na ścianie.

– Na miłość boską, nie! – wrzasnął Regan.

Dillon złapał ją za nadgarstek i odsunął broń.

– To nie jest odpowiedni sposób, pani sierżant.

Helen odwróciła się, udając wściekłość.

– Zaraz wracam – oświadczyła i wymaszerowała z pokoju.

Regan trzął się jak osika.

– Rozkujcie go, sierżancie – powiedział Dillon, zwracając się do Millera. – I tak nigdzie się stąd nie wybiera.

– Wedle rozkazu.

Miller zdjął więźniowi kajdanki. Dillon otworzył swoją starą srebrną papierośnicę, wyjął dwa papierosy, zapalił je i podał jeden Reganowi.

– Zupełnie jak w *Now Voyager* – stwierdził.

– O czym ty, do diabła, chrzaniisz? – zapytał łamiącym się głosem Regan.

– Nieważne, Sean. Mam po prostu słabość do starych filmów. Teraz posłuchaj. Ostatnio zmądrzałem. Mogłem stanąć przed serbskim plutonem egzekucyjnym, ale Ferguson to ogromnie wpływowy facet. Uratował mi życie, a ja w zamian za to wypiąłem się na świętą sprawę i zacząłem pracować dla niego. Dzięki temu żyję. – Regan nadal nie mógł powstrzymać drżenia rąk, i Dillon odwrócił się do Millera. – Dużą brandy, sierżancie.

– Tak jest.

Miller otworzył kredens i podszedł z kieliszkiem do stolika. Regan opróżnił kieliszek jednym haustem i spojrzał na Dillona.

– Czego chcecie?

– Tego, co dla ciebie najlepsze. Posłuchaj, wszystko zależy teraz od Fergusona, a ty postrzeleś tego gliniarza, Daltona. Bez względu na proces pokojowy brygadier wsadzi cię, jeśli zechce, za kratki.

– Pani kolej, sierżant Black – powiedział siedzący po drugiej stronie lustra Ferguson.

Helen Black wmaszerowała z powrotem do salonu, trzymając w ręku jakiś dokument.

– Mam tego dosyć! – oświadczyła. – Wracasz do Wandsworth,

sukinsynu!

Regan kompletnie się pogubił.

– Na litość boską, powiedzcie mi, czego chcecie. Po prostu powiedzcie, czego chcecie.

– Świetnie – stwierdził Roper. – Czysta gestapowska robota. Oni również używali fizycznej presji w znacznie mniejszym stopniu, niż to się ludziom wydawało. Nie potrzebowali. Wystarczyło, że zamącili więźniom w głowach.

– To nie wystarczy – mruknął Ferguson. – Ty i Blake zostańcie tutaj, a pani wejdzie tam ze mną i odstawi swój numer w stylu komisarza Scotland Yardu – dodał i razem z Hannah wszedł do saloniku.

– Niech pan mu da jeszcze jedną brandy, sierżancie – polecił Millerowi.

– Tak jest, brygadierze.

Kiedy Miller wykonał polecenie, Regan wziął drżącą dłonią kieliszek i wychylił go.

– Czy dobijemy targu? – zapytał.

– To zależy od tego, jakie masz dla mnie informacje.

Regan spojrzał na Dillona.

– Brygadier jest twardy jak głaz, ale ma swoje zasady – poinformował go Irlandczyk. – Jeśli coś powie, zawsze dotrzymuje słowa.

– Jestem detektyw komisarz Bernstein, panie Regan – oznajmiła Hannah. – Chciałabym wiedzieć, czy może nam pan podać pewne fakty dotyczące działalności niejakiego Brendana Murphy'ego.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał Regan.

– Wiadomo nam, że gdzieś w hrabstwie Louth znajduje się podziemny betonowy bunkier.

– Semteks, karabiny maszynowe, moździerze – dodał Dillon. – Dostyc, żeby wywołać wojnę domową. Gdzie to jest, Sean?

– Niedaleko Kilbegu – odparł Regan.

– Synu, wioski o tej nazwie rozsiane są po całej Irlandii.

– Ale ten bunkier jest w hrabstwie Louth, na południe od granicy

republiki i zatoki Dundalk. W pobliżu Dunany Point.

– Znam to miejsce – stwierdził Dillon.

– Nie pożyłbyś tam długo. Miejscowi trzymają się razem. Obcy od razu rzucają się w oczy.

– Przejdźmy do konkretów – mruknął Ferguson.

– Kiedy uciekłem do Stanów, pomagała mi grupa bogatych irlandzkich Amerykanów, którzy mieli dość radykalne poglądy. Nie popierali procesu pokojowego. Załatwiłem dużą transakcję finansową dla Brendana. Chodziło o to, żeby przygotować się na przyszłość. Do następnej wojny.

– Stąd pomysł budowy bunkra – domyślił się Ferguson.

– Ale skąd pochodziła broń? – zapytał Dillon.

Siedzący za lustrem Roper robił notatki.

– Od mafii. Brendan współpracował z nią w Europie. Z facetem o nazwisku Fox.

– Tym, który reprezentuje rodzinę Solazzo? – upewniła się Hannah.

– Cóż, zawsze wydawało mi się, że reprezentuje sam siebie. To on dostarczał broń.

– Coś jeszcze? – zapytała Hannah. – Co możesz nam na przykład powiedzieć o Libanie?

– Chryste, czy jest coś, o czym byście nie wiedzieli?

– Do rzeczy – ponaglił go Dillon.

– Murphy szkolił się przed kilku laty w Libii i ma dobre kontakty z Arabami. Potrafi nawet mówić w ich języku. Na tyle dobrze, w każdym razie, żeby zamówić coś do żarcia.

– Co dalej? – zapytał Ferguson.

– Fox nadzoruje interesy narkotykowe rodziny Solazzo w Rosji i ma tam w związku z tym liczne kontakty. A Murphy jest jego łącznikiem z Arabami.

– Z kim konkretnie?

– Z Saddamem – odparł po krótkim wahaniu Regan.

– To miłe – mruknął Dillon. – Jakie ma plany?

– W przyszłym tygodniu przyplywa z Morza Czarnego frachtowiec

o nazwie „Fortuna”. Ma zawinąć do portu Al Shariz, na południe od Bejrutu. W przyszły wtorek.

– Załoga jest rosyjska? – zapytał Dillon, przejmując pałeczkę.

– Nie, arabska. Wszyscy z Armii Boga.

– A ładunek? – Regan zawahał się. – No dalej, gadaj, jaki mają ładunek?

– Rakiety Hammerhead.

Zapadło milczenie. Hannah spojrzała na Fergusoną.

– Co to za rakiety, brygadierze?

Drzwi otworzyły się i do saloniku wszedł Blake.

– Przepraszam, brygadierze, ale tak się składa, że wiem coś niecoś na ich temat. To pociski bliskiego zasięgu, odpala się je z wyrzutni, którą można ustawić w dwie minuty. Ich zasięg wynosi trzysta mil. Przystosowane do przenoszenia głowic nuklearnych. Nie zniszczą całego Izraela ani Jordanii, ale Tel Awiw nie będzie wyglądał najlepiej po ich ataku.

– Czy powiedziałeś mi całą prawdę? – zapytał Ferguson, spoglądając na Regana.

Irlandczyk ponownie się zawahał.

– Kiedy statek zawinie do portu – powiedział w końcu – na pokładzie będzie Brendan. Fox spotka się z nim i odbierze zapłatę w złocie. Pięć milionów.

– Dolarów czy funtów? – zapytał Dillon.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Słyszałem, że transakcja odbędzie się na statku, bo miesiąc później chcę zamówić następną dostawę.

– Czy to rzeczywiście prawda? – zapytał Ferguson.

– Tak, do diabła.

– Zabierzcie go z powrotem do jego pokoju – polecił brygadier.

Helen Black i Miller wyprowadzili Regana i do saloniku wjechał Roper.

– Wpadłem na pewien pomysł – oświadczył. – Znam numery gulfstreama, który należy do Foxa. W tej chwili, jeśli sobie dobrze przypominam, stoi na Heathrow. Sprawdzimy, dokąd odlatuje.

Ruszyli za nim wszyscy do apartamentu na parterze, gdzie zainstalowany był cały jego sprzęt. Roper uruchomił komputer i zaczął wystukiwać komendy na klawiaturze. Po chwili odchrząknął.

– Fox ma odlot zarezerwowany na poniedziałek rano. Kierunek Bejrut.

– Wspaniale – mruknął Dillon. – To znaczy, że Regan mówi prawdę.

– Co teraz, brygadierze? – zapytała Hannah.

– Nie możemy tam wysłać SAS – stwierdził Ferguson – a poza tym mamy do załatwienia sprawę z Foxem. Tu potrzebne są bardziej subtelne metody.

– Izraelczykom wcale by się to nie spodobało, brygadierze – zauważyła Hannah.

– Jestem dokładnie tego samego zdania – odparł Ferguson i spojrzał na Dillona. – W zeszłym roku poleciałeś do Bejrutu z tu obecną panią komisarz. Zatrzymaliście się w hotelu Al Bustan.

– Jak mógłbym o tym zapomnieć? Z jego okien rozciągał się widok na wspaniale zachowane rzymskie ruiny.

– Pamiętasz stacjonującego tam mojego agenta, Walida Khasana?

– Bardzo dobrze. Libański chrześcijanin. On i pani komisarz wyraźnie przypadli sobie do gustu. Co nie powinno nikogo dziwić, zważywszy, że w rzeczywistości Khasan nazywa się Gideon Cohen i był majorem Mossadu.

– Obecnie jest już podpułkownikiem.

– Pamiętam jego miłą siostrzyczkę. Miała na imię Anya i była porucznikiem.

– Teraz jest kapitanem.

– Był tam jeszcze pewien mężczyzna... jak on się nazywał? Kapitan Moshe Levy.

– Major Levy. Wszystko się zmienia na tym świecie, Dillon. Tak, myślę, że pułkownik Cohen może być tym zainteresowany. Zadzwoń do niego.

Podpułkownik Gideon Cohen zakładał mundur tylko na specjalne okazje. Siedząc w swoim gabinecie na najwyższym piętrze budynku położonego w ustronnej dzielnicy Tel Awiwu, ubrany był w białą koszulę i lniane spodnie – bardzo nietypowy strój jak na pułkownika Mossadu. Miał czterdzieści dziewięć lat, oliwkową cerę i sięgające ramion czarne włosy.

Jego siostra, kapitan Anya Shamir, siedziała przy biurku w rogu, pracując przy komputerze. Była wdową, jej mąż zginął na Wzgórzach Golan.

W drugim rogu, przy drugim komputerze, siedział major Moshe Levy. Ponieważ musiał rano zameldować się w sztabie, miał na sobie wojskowy mundur: spodnie i koszulę khaki, ozdobioną skrzydełkami wojsk desantowych i baretkami orderów.

Na biurku Cohena zadzwonił telefon.

– Tu Ferguson – odezwał się głos w słuchawce. – Masz zakodowany telefon? Bo ja tak.

– Oczywiście, że mam zakodowany telefon, mój drogi Charlesie. – Cohen pomachał do siostry i Levy'ego. – To Ferguson z Londynu. Jak się masz, staruszkule – dodał, wciskając przycisk głośnika.

– Fakt, że chodziłeś do Sandhurst, nie daje ci prawa się ze mną spoufalać. Nadal przewyższam cię rangą.

– Chodzi o coś ważnego, Charles?

– Źle się dzieje w państwie libańskim.

– Mów.

Ferguson przedstawił mu sytuację.

– Pociski Hammerhead... – mruknął Cohen, kiedy brygadier skończył. – Nie możemy sobie na to pozwolić.

– Jerozolima nie wyglądałaby najlepiej, gdyby trafił ją jeden z nich.

– Z ust mi to wyjąłeś, Charles. Muszę to przemyśleć.

– Chcesz powiedzieć, że musisz porozmawiać ze swoim wujem, generałem?

– Obawiam się, że tak.

– Nie ma sprawy. Ale to ściśle tajna informacja, Gideon. Zachowaj

dyskrecję.

Generał Arnold Cohen, szef sekcji pierwszej Mossadu, zajmującej się działalnością na terytoriach arabskich, wysłuchał z posępną miną relacji Gideona w swoim biurze na najwyższym piętrze.

– Pociski Hammerhead – powtórzył, kiedy jego bratanek skończył. – To brzmi bardzo poważnie.

– Co zrobimy? Uderzymy z powietrza na ten statek?

– Na wodach libańskich? Daj spokój, Gideon, teraz, kiedy nasi brytyjscy i amerykańscy kuzyni piętnują Saddama, musimy być dla niego wyjątkowo mili.

– Ale on ma zamiar zadać nam cios w plecy!

– Czy mogę zwrócić ci na coś uwagę, wuju? – zapytała Anya, stojąca wraz z Levym przy oknie.

– Oczywiście, że możesz. Nie zamordowałem cię jakoś, odkąd nauczyłaś się mówić, więc dlaczego tym razem miałyby to się skończyć inaczej?

– Dlaczego nie posłużymy się Dillonem, wuju? To niesamowity facet... pamiętasz tę akcję w Bejrucie w zeszłym roku? Dokonał nieprawdopodobnych rzeczy.

– Anya ma rację – wtrącił Levy. – Możemy się w ten sposób pozbyć „Fortuny” i jej ładunku w maksymalnie dyskretny sposób.

– Co proponujecie?

– Niech to będzie operacja na małą skalę. Jeśli weźmie w niej udział również Dillon, w Al Shariz wystarczy nasza trójka: Anya, Gideon i ja. Mając do dyspozycji odpowiedni sprzęt, możemy wysadzić tę łajbę w cholere.

– On ma rację – powiedział Gideon Cohen. – Prasa nie narobi hałasu. Nie będzie uderzeń z powietrza.

– Podoba mi się to – mruknął generał. – Załatwmy to po cichu.

– Wyśmienicie – oświadczył Ferguson w rozmowie z Gideonem. – Posyłam wam Seana Dillona. A także naszego amerykańskiego kolegę, Blake'a Johnsona, który pracuje bezpośrednio dla prezydenta Cazaleta. Będziecie mieli z niego dużo pożytku. Oddaję słuchawkę Dillonowi.

– Jak się masz, kłamliwy psie? – odezwał się po chwili łamanym hebrajskim Dillon.

– Wygląda na to, że czeka nas wspólna akcja.

– Nie wiem jeszcze, jak się do tego zabrać – stwierdził Dillon, przerzucając się na angielski – ale jeśli chcemy zatopić tę łajbę, będą nam potrzebne miny, semteks oraz sprzęt do nurkowania.

– Zajmiemy się tym. Przeprowadzimy to bez większego rozgłosu. Ja, Levy i moja siostra. Razem z tobą i tym Amerykaninem będzie tylko pięć osób. Nie chcemy ściągać na siebie uwagi. Od czasu twojej ostatniej bytności w Bejrucie sytuacja nieco się zmieniła. Nie jest to już taka strefa frontowa jak niegdyś. Ludzie próbują odbudować infrastrukturę, rozwijać turystykę, i tak dalej.

– Gdzie zatrzyma się Fox? W Bejrucie?

– Nie. W Al Shariz jest stary mauretański pałac, w którym urządzono hotel. Założę się, że tam zamieszka. Hotel nazywa się Golden House.

– Dla nas chyba nie jest odpowiedni...

– Nie ma problemu. Przyplniemy motorowym jachtem jako turyści. Ty i twój przyjaciel możecie zostać na pokładzie.

– Nie powinniśmy raczej odwiedzać baru w Golden House. Nie chcemy, żeby Fox wiedział, że to my. Byłoby znacznie lepiej, gdyby uważał, że to robota Izraelczyków.

– Pamiętasz moją siostrę, Anyę?

– Jak mógłbym zapomnieć? Odgrywała rolę królowej nocy lepiej niż sama królowa nocy.

– To chyba wystarczy, żeby usidlić tego Foxa, prawda?

Dillon roześmiał się.

– Wystarczy, żeby usidlić naszego przyjaciela Foxa – powtórzył.

– Ty, Johnson, Levy i ja zostaniemy na jachcie, który nazywa się

„Pamir”, z dala od hotelu. Anya wycisnie z tego faceta wszystko, co zechce. Kiedy będziemy gotowi, pošemy „Fortunę” na dno.

– Wy, Izraelczycy, przywiązuje tak duęą wagę do moralności... – zauważył Dillon. – I mimo to bez zmrużenia oka pošecie na dno cały statek razem z załogą?

– Bez zmrużenia oka – potwierdził Cohen. – Do rychłego zobaczenia.

Dillon odłóżył słuchawkę.

– Czeka nas zatem kolejna akcja – mruknął Ferguson.

– A co będzie ze mną, brygadierze? – zapytała Hannah Bernstein.

– Tym razem obejdzie się bez pani. Wystarczą nasi przyjaciele z Mossadu plus Dillon i Blake. Ale chciałbym, żeby przycisnęła pani jeszcze trochę Regana w kwestii tego bunkra w hrabstwie Louth. Jestem pewien, że pan major postara się pani pomóc – dodał, spoglądając na Ropera.

– Z przyjemnością, brygadierze.

– Przykro mi, Hannah, ale choć kocham cię nad życie, będziemy się musieli rozstać. – Dillon uśmiechnął się do Blake’a i na jego twarzy ukazało się podniecenie. – Znowu ruszamy na pierwszą linię frontu, staruszk.

LIBAN

AL SHARIZ

Brendan Murphy wychylił się przez reling małego przybrzeżnego frachtowca i obserwował migocące w oddali światła Syrii. Zarejestrowany we Włoszech statek najlepsze lata miał już zdecydowanie za sobą, lecz skryte w głębi poobijanego kadłuba maszyny były w znakomitym stanie. Przed dwoma dniami opuścili Morze Czarne i nie mieli żadnych opóźnień.

Mężczyzna w marynarskiej kurtce, który do niego podszedł, trzymał w ręku filiżankę kawy. Nazywał się Dermot Kelly i miał typowo irlandzką rudawoblond czuprynę oraz twardą, ospowatą twarz. Podał Murphy'emu kawę i zapalił papierosa.

– Jezu, Brendan, mam już powyżej dziurek w nosie tych pierdolonych Arabów. Kiedy zakurzę w mesie, piorunują mnie wzrokiem. Dobrze, że zabrałem na pokład butelkę.

– To fundamentaliści – powiedział Murphy. – Żołnierze Armii Boga. Czekają tylko na to, żeby ponieść śmierć w służbie Allacha i móc potem pójść do raju i doznawać wiecznych rozkoszy.

– Mają chyba nie po kolei w głowie.

– Dlaczego? Chcesz powiedzieć, że ponieważ my jesteśmy katolikami, mamy rację, a oni, muzułmanie, się mylą?

Po drabince zszedł do nich z mostku Arab ubrany w taką samą kurtkę jak Kelly. Był kapitanem „Fortuny” i nazywał się Abdul Sawar.

– Wszystko w porządku? – zapytał Brendan.

– Jak najbardziej. Zawiniemy do portu na czas.

– To świetnie.

– Jakież problemy? – zapytał Sawar.

– Brakuje mi jajek na bekonie na śniadanie – poskarżył się Kelly.

– Robimy co w naszej mocy, panie Kelly, ale pewne rzeczy są po prostu niemożliwe.

– Wy mielibyście prawdopodobnie takie same problemy w Dublinie.

– Obawiam się, że tak.

Sawar wspiął się z powrotem po drabince.

– Nie szukaj dziury w całym, Dermot – upomniał go Murphy. – Nie możesz marzyć o porządnym irlandzkim bekonie na włoskim statku żeglującym z arabską załogą wzdłuż wybrzeży Syrii.

– Wobec tego będę myślał wyłącznie o forsie.

– O złocie, Dermot, o złocie. A skoro o tym mowa, zerknijmy na nie okiem.

Murphy ruszył w stronę rufy i zszedł po schodkach do tylnej kabiny. Pośrodku stały dwie skrzynie owinięte jutą. Dermot zapalił kolejnego papierosa.

– Wygląda mi to na jakiś chłam – stwierdził.

– Jest tu pięć milionów w złocie, Brendan.

– Skąd możemy mieć pewność?

– Bo Saddam chce mieć następną dostawę w przyszłym miesiącu, więc nie będzie robił żadnych numerów.

– Myślisz, że wszystko pójdzie zgodnie z planem?

– Jak w szwajcarskim zegarku. Fox przyleci samolotem. Rozładujemy złoto i przewieziemy je na lotnisko w Bejrucie. Samolot ma polecieć do Dublina, ale po drodze wylądować w starej bazie lotniczej w Louth. Wylądujemy naszą połowę, a Fox poleci dalej, zgłaszając, że w trakcie lotu zmienił cel podróży.

– Dokąd poleci?

– Rzekomo na Heathrow, ale kiedy jego gulfstream znajdzie się w niekontrolowanej przestrzeni powietrznej, wylądować w tej swojej kornwalijskiej posiadłości, Hellsmouth. Jest tam stare lądowisko RAF-u

z czasów drugiej wojny światowej. Pas startowy jest trochę nierówny, ale gulfstream może tam w ostateczności wylądować.

– Brzmi to nieźle, Brendan.

– Ja też tak sądzę, Dermot.

Kelly uśmiechnął się, wyciągnął z kieszeni piersiówkę, odkręcił nakrętkę, pociągnął duży łyk i oddał butelkę Murphy'emu.

– Za irlandzki bekon na jajkach, irlandzki chleb i irlandzki deszcz. Brakuje mi deszczu, Brendan. Porządnego irlandzkiego deszczu.

Gideon Cohen, jego siostra i Moshe Levy wypłynęli z przystani niedaleko Hajfy na pokładzie jednego z typowych, mierzących czterdzieści stóp jachtów, które wynajmują zainteresowani nurkowaniem turyści. Na rufie leżały butle z tlenem, a pod pokładem mieli kuchenkę, koje i wszelkie inne wygody.

Cohen legitymował się brytyjskim paszportem wystawionym na nazwisko Julian Grant; jego siostra i Levy stali się panem i panią Froshbisherami, również posiadającymi obywatelstwo Wielkiej Brytanii. Ponieważ nic nie wskazywało, by mogli mieć podejrzone zamiary, a Libańczykom bardzo zależało na pieniądzach turystów, bez trudu uzyskali konieczne wizy i późnym popołudniem dopłynęli do Al Shariz.

Cohen stał za sterem, Levy rozciągnął się na koi, Anya wyglądała przez na pół otwarty bulaj.

– Załatwmy to szybko – powiedział jej brat. – Ty i Moshe zameldujecie się w Golden House i pamiętaj, Moshe, że dzielisz apartament z moją siostrą.

– Jak mógłbym o tym zapomnieć, pułkowniku?

– Fox zarezerwował pokoje dla siebie i tych swoich oprychów, Falconego i Russa. Postaraj się szybko trafić do baru, Anya. Może uda ci się czegoś dowiedzieć.

– No tak – westchnęła. – Znowu to samo. Studio szóste w MGM, rola portowej dziwki.

Jej brat uśmiechnął się i uścisnął ją wolną ręką.

– Rola bardzo atrakcyjnej dziwki. Pamiętaj, że to łotr spod ciemnej gwiazdy, siostrzyczko. Nie możemy popełnić najmniejszego błędu.

– No cóż, przynajmniej mamy do pomocy Dillona.

Cohen głośno się roześmiał.

– Mój Boże, masz rację. Biedna stara „Fortuna” nie wie, co ją czeka.

– Interesuje nas budowa fabryki produkującej sprzęt elektroniczny – powiedział Dillon do Blake’a w samolocie lecącym do Bejrutu. – Wspólny amerykańsko-angielski projekt, miejsca pracy dla wszystkich. Mamy trzy dni na rozejrzenie się.

– Nie przewidujesz żadnych kłopotów? – zapytał Blake.

– Absolutnie nie. Wciąż starają się odbudować ten kraj, choć ze wszystkich stron otaczają ich ludzie, którzy chcą sobie nawzajem poucinać jaja.

– Wejdziemy więc na pokład łodzi Cohena i będziemy udawać nurkujących dla przyjemności turystów, tak?

– A przy okazji pošlemy „Fortunę” na dno. Razem z pociskami Hammerhead i całą resztą – oznajmił Dillon.

– A co z załogą?

– To fanatyczni mordercy. Wiedzieli, co ryzykują, mustrując się na ten statek.

– Ale na pokładzie jest pięć milionów funtów w złocie...

– Owszem, i to złoto także pójdzie na dno. Bajeczny przykład marnotrawstwa. – Dillon dał znak sierżantowi Madocowi. – Przynies mi jeszcze jedną bushmills. Wypiję za minę, jaką będzie miał Jack Fox...

Fox zamieszkał w Golden House razem z Falconem i Russem. Zarezerwowano dla niego elegancki apartament na pierwszym piętrze – marmury, dywany na podłogach, wszystko w stylu mauretańskim. Był w świetnym humorze. Od afery w Colosseum minęło już trochę czasu, a adwokaci byli zdania, że zdołają wyprostować sprawę. Bez względu na to, czy mieli rację, czy nie, złoto z „Fortuny” było na wyciągnięcie ręki.

Łącznie z gotówką, którą Murphy był winien Foxowi za sprowadzoną z Ameryki broń, powinno to rozwiązać jego finansowe kłopoty.

– Wszystko w porządku, *signore*? - zapytał Falcone.

– Lepiej być nie może. Dzisiaj jest nasza noc, Aldo. Nie ma jak złoto. To jedyny kruszec, na którym możesz bez reszty polegać. Sprawdziłeś w kapitanacie portu?

– Tak, *signore*, „Fortuna” ma zawinąć o dziesiątej. Załoga składa się z dwunastu osób, sami Arabowie. Przedwczoraj wypłynęli z Morza Czarnego.

– Czy przycumują przy nabrzeżu?

– Nie, nie ma wolnych miejsc. Zarzucą kotwicę kilkaset jardów od wejścia do zatoki.

– Doskonale. Wezmę teraz prysznic, a potem zjem kolację. Zobaczymy się później.

Samolot, którym lecieli Dillon i Blake, wylądował wczesnym wieczorem. Wylegitymowali się paszportami wystawionymi na nazwiska Russell i Gaunt i pojechali taksówką do Al Shariz. W drodze Dillon zadzwonił z komórki do Cohena.

– Tu Lafayette, jesteśmy na miejscu. Mówię to w imieniu Blake’a.

– My też już jesteśmy. Dolny basen przystani jachtowej. Pirs trzeci, łódź nazywa się „Pamir”.

– Do rychłego zobaczenia.

Dillon wyłączył komórkę i powiedział kierowcy, gdzie ma ich odwieźć.

Na pokładzie „Pamiru” Cohen, który obserwował przez noktowizor morze, zobaczył, jak „Fortuna” zarzuca kotwicę.

– Możesz już iść – powiedział do swojej siostry. – Chcę wiedzieć, jakie ma zamiary, nic więcej.

– Jasne – odparła.

– I jeszcze jedno... – dodał niespokojnym tonem. – Obowiązek obowiązkami, ale jesteś moją siostrą. Nie daj mu się za bardzo do siebie zbliżyć. To kawał drania.

Anya pocałowała go w policzek.

– Spokojnie, braciszku, możesz się nie martwić.

Zameldowała się w hotelu, przebrała, po czym zeszła do restauracji, wyglądając olśniewająco w czarnej sukience mini, z czarnymi włosami do ramion. Usiadła przy barze i Fox, który siedział przy oknie, od razu ją zauważył. Skinął na Falconego, dyżurującego przy sąsiednim stoliku razem z Russem, po czym wstał, podszedł do baru i usiadł obok niej.

– Co słyszeć? – zapytał.

– Amerykanin! – Anya uśmiechnęła się. – Co pan tutaj robi?

– Badam perspektywy rozwoju turystyki – odparł bez namysłu. – A pani?

– Przyjechałam w podobnej sprawie z mężem z Londynu.

– Z mężem? – W głosie Foxa zabrzmiało rozczarowanie.

– Wezwano go właśnie do Tel Awiwu. Zostawił mnie samą na całe trzy dni.

Fox położył rękę na jej dłoni.

– To straszne, zostawić samą taką przemiłą dziewczynę. Ale teraz ma pani mnie. Jadła pani coś?

– Nie.

– W takim razie zapraszam do mojego stolika.

Kolacja, zakrapiana dużą ilością szampana Cristal, była bardzo wykwinтна, częściowo w stylu arabskim, częściowo europejskim. Anya zносиła cierpliwie rękę swojego towarzysza na udzie i czekała. W końcu Falcone, który stał przy oknie, podszedł do Foxa i szepnął mu coś do ucha.

Amerykanin ścisnął czule jej udo.

– Słuchaj, muszę iść – oznajmił.

– Jaka szkoda... Dochodziła dziesiąta.

– To zajmie mi jakieś dwie godziny – powiedział. – Czy jeszcze cię tu zastanę?

– Oczywiście. Do zobaczenia.

Kiedy wyszedł razem z Falconem, Anya ruszyła za nimi i stanęła w cieniu palmy przy żywopłocie, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają na tarasie.

- „Fortuna” zawinęła do portu, *signore*.
- Dobrze. Wyładujemy złoto za dwie godziny.
- Jest tylko jedna rzecz, której nie rozumiem – mruknął Falcone. – Te rakiety mają krótki zasięg?
- Tak.
- Więc dziwi mnie, po co Irak je kupuje. Nie mogą ich przecież odpalić ze swojego terytorium.
- Nie pojmujesz, w czym rzecz, Aldo. Te rakiety bardzo łatwo ustawić i wystrzelić. „Fortuna” ma posłużyć jako wyrzutnia. Cała załoga, jak wiesz, należy do Armii Boga. Chcą zetrzeć z powierzchni ziemi Tel Awiw. Ale do Jerozolimy mają dziwny stosunek... W końcu to drugie najważniejsze miasto islamu.
- Mój Boże, ci ludzie to istne bestie.
- Cóż, to zależy od punktu widzenia. A teraz ruszajmy.

Anya zadzwoniła z komórki do brata i przekazała mu wiadomości.

- Zabieraj się stamtąd – polecił jej Gideon. – Oczekuję cię w ciągu pół godziny.

Kiedy Anya podjechała taksówką na przystań, Dillon, Blake, Cohen i Levy siedzieli pod daszkiem na rufie „Pamiru”, studiując plan portu. Anya zapłaciła taksówkarzowi i weszła na pokład.

- Jezu, kobieto – mruknął Dillon. – Wyglądasz jak strona sześćdziesiąta czwarta magazynu „Vogue”. Powinnaś rodzić małe żydowskie dzieci i unieszczęśliwić swojego męża. Zamiast tego latasz nadal ze spluwą, polując na różnych drani.

- Taką już mam naturę, Dillon. Kim jest twój przyjaciel?

- Nazywa się Blake Johnson. Był kiedyś w FBI, ale teraz pracuje bezpośrednio dla prezydenta, więc okaż mu trochę szacunku.

Anya podała dłoń Blake’owi.

- Miło mi pana poznać – powiedziała i odwróciła się do brata. – Jak już ci mówiłam, podsłuchałam Foxa, kiedy rozmawiał na tarasie z

jednym ze swoich ludzi. Złoto jest na pewno na pokładzie, podobnie zresztą jak rakiety. Niepokojące jest to, że zamierzają użyć statku jako wyrzutni. Celem ma być prawdopodobnie Tel Awiw.

– Nie dojdzie do tego, jeśli wysadzimy tę łajbę.

– Sam nie ująłbym tego lepiej – stwierdził Dillon.

– Im szybciej to zrobimy, tym lepiej – wtrącił Blake. – Statek stoi w porcie i Fox chce go jak najszybciej rozładować. Wiemy od Ropera, że jutro na siódmą zarezerwował przylot na Heathrow.

– Więc zabieramy się do dzieła – mruknął Cohen. – Jak mamy zamiar to przeprowadzić? – zapytał Dillona.

– Pamiętasz, jak w dziewięćdziesiątym czwartym w Bejrucie wysadziliśmy „Alexandrene” z ładunkiem plutonu na pokładzie?

– Chcesz powiedzieć, czy pamiętamy, jak to ty wysadziłeś „Alexandrene”? – uściśliła Anya.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał Blake.

– Płytko zanurkowałem, podpłynąłem do łańcucha kotwicznego, narobiłem małego zamieszania, zostawiłem ładunek semteksu w maszynowni i było po wszystkim.

– Brzmi to zachęcająco – stwierdził Cohen.

– Jednoosobowy wyczyn? – mruknął Blake. – Mnie się to nie podoba.

– Blake, czasy Wietnamu dawno już minęły.

– Nie ze mną taka gadka, Sean. Wchodzimy w to razem.

Dillon westchnął.

– W porządku, to twój pogrzeb. – Spojrzał na migoczące na horyzoncie pomarańczowe światło. – Załatwimy to we dwóch. Czas znowu ocalić wolny świat.

Falcone, Russo i Fox podpłynęli do „Fortuny” wodną taksówką, która przycumowała przy metalowych schodkach z boku statku. Fox kazał taksówkarzowi zaczekać i wspiął się na pokład, gdzie czekali na

niego Brendan Murphy, Dermot Kelly i kapitan Sawar. Fox i Brendan objęli się.

– Świetnie wyglądasz – stwierdził Murphy.

– Ty też, stary draniu, i będziesz miał jeszcze weselszą minę, kiedy to, o czym wiesz, znajdzie się na brzegu, a potem na pokładzie mojego samolotu.

– Chodź to zobaczyć.

Murphy poprowadził ich do kabiny na rufie, gdzie stały dwie skrzynie.

– Pięć milionów, Jack – powiedział. – Zaczynam wreszcie wierzyć, że Bóg jest po mojej stronie.

– To dlatego, że jesteś Irlandczykiem, tępaku – zaśmiał się Fox.

– Chodźmy się czegoś napić, a potem wyładujemy te skrzynie. Na dole czeka wodna taksówka.

Przy burcie „Pamiru” unosił się ponton z Dillonem i Johnsonem, ubranymi w czarne skafandry nurków. Każdy z nich miał butlę tlenową, pas balastowy oraz specjalną wodoszczelną torbę z zaopatrzeniem w tłumik Carswella browningiem Hi-Power. Dillon zabrał poza tym dwa trzyfuntowe bloki semteksu z trzyminutowymi zapalnikami.

– Zawiozę ich na miejsce – oznajmił Gideon, zwracając się do siostry i Levy’ego. – Wy zostańcie tutaj i bądźcie gotowi do wyjścia w morze.

Anya wahała się chwilę, a potem wzięła do ręki pistolet maszynowy uzi i zeskoczyła do pontonu.

– Nie tym razem. Możecie potrzebować wsparcia, a Moshe i tak radzi sobie z tą łodzią lepiej ode mnie.

Cohen westchnął.

– Co ja z tobą mam... No dobrze, ale weź noktowizor, żeby lepiej widzieć, co się dzieje.

W czwórkę wypłynęli na środek basenu portowego i zatrzymali się sto jardów od „Fortuny”.

– Zanurzamy się – szepnął Dillon i założył maskę. Światła pozycyjne „Fortuny” rzucały niewyraźny poblask na powierzchnię wody. Dillon dopłynął do stalowych schodków, po czym ściągnął skafander i butlę, wyjął browninga z torby, odbezpieczył go i z twarzą zasłoniętą maską wynurzył się na powierzchnię. W tej samej chwili u szczytu schodów pojawił się arabski marynarz. Dillon zastrzelił go – odbyło się to prawie bezszelestnie. Arab runął do wody, a Dillon ruszył na górę. Zaraz potem na pokład wszedł Blake.

Arab, który kierował wodną taksówką, z przerażeniem obserwował to, co się działo. Rzucił papierosa do wody i podniósł się z siedzenia, więc Blake musiał zastrzelić również jego.

Na pokładzie było przez moment cicho, a potem odezwały się jakieś głosy. Na mostek wyszedł kapitan Sawar z pistoletem maszynowym w rękach.

– Gdzie jesteś, Selim? Co się stało?

– Jesteśmy z Mossadu, ty psie! – zawołał po arabsku Dillon. – Przyszliśmy po ciebie.

Sawar wypalił na oślep w ciemność i czający się za Dillonem Blake odpowiedział ogniem, rozbijając szybę w kabinie. Fox, Falcone i Russo, którzy stali na mostku, pochylili się instynktownie.

– Co się tam, do diabła, dzieje? – zapytał Fox.

– Izraelczycy. Ktoś na dole zawołał, że to Mossad.

– Kryj mnie! – zawołał Dillon do Blake’a.

Przebiegł pochyłony do wjazdu maszynowni, otworzył klapę, wyjął ze swojej torby dwa bloki semteksu, nastawił zapalniki, po czym wrzucił semteks na dół i zatrzasnął klapę.

Kiedy biegł z powrotem do Blake’a, który ostrzeliwał mostek, Sawar popełnił fatalny błąd, zapalając kolejne światła pozycyjne. Dillon i Blake schowali się za łodzią ratunkową, a Sawar posłał w ich kierunku następną serię. Rozległy się dzikie krzyki i spod pokładu wybiegli na rufę członkowie załogi, wszyscy uzbrojeni.

Sawar nie przestawał strzelać. Po chwili dołączyli do niego Falcone i Russo. Skulona w pontonie Anya zasypała pokład i mostek pociskami

ze swojego uzi. Sawar oberwał w głowę i upadł. Fox i jego dwaj ochroniarze ukucnęli. Falcone miał na twarzy krew – zranił go kawałek szkła.

– Wynośmy się stąd, Blake – szepnął Dillon. – Pamiętaj, że zapalniki nastawione są na trzy minuty. Biegnij na lewą burtę. Jest tam jeszcze jedna łódź ratunkowa, za którą można się schować.

Anya spojrzała na pokład przez noktowizor.

– Widzę ich – powiedziała do Levy'ego. – Biegną na lewą burtę.

– Lepiej niech się pośpieszą. Dillon podłożył semteks, więc zostały im tylko dwie minuty.

– W takim razie nie traćmy czasu.

Anya zaczęła ponownie ostrzeliwać pokład i mostek, a Levy otworzył maksymalnie przepustnicę i opłynął dziób frachtowca. Dillon i Blake skoczyli do wody. Spoglądający przez boczne okno Fox zdążył zobaczyć, jak znikają za burtą i jak u boku „Fortuny” pojawia się ponton. Anya rzuciła linę, Dillon i Blake złapali się jej i ponton zniknął w ciemności.

– Napastnicy opuścili statek, *signore* - oświadczył Falcone. – Nie zabawili tu długo.

Fox natychmiast domyślił się, co im grozi.

– To dlatego, że wykonali swoje zadanie! – zawołał. – Uciekajmy!

Potykaç się, zbiegł po schodkach, a Russo i Falcone ruszyli za nim.

Na bocznym pokładzie zderzyli się niemal z Murphym i Kellym.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zapytał Murphy.

– To Mossad. Podłożyli materiały wybuchowe. Zmywajmy się stąd!

– Chryste!

Czym prędzej zbiegli do wodnej taksówki. Russo wyrzucił zabitego Araba do wody, a Fox uruchomił silnik i szybko oddalił się od statku.

Znajdowali się może sto metrów od „Fortuny”, kiedy nastąpiła eksplozja. Pokład uniósł się w górę, mostek przechylił w bok i w nocne niebo strzeliły płomienie. Z rufy skoczyło do wody dwóch albo trzech ludzi, a potem cały statek przełamał się na pół i zatonął. Na wodzie płonąła ropa i słychać było stłumione krzyki.

– Czy mamy zawrócić, *signore*? - zapytał Falcone.

– Po co? Chcę jak najszybciej jechać na lotnisko i wynieść się z tego zasranego kraju. Przejmij ster.

Falcone skierował łódź w stronę pirsu, a Fox zapalił papierosa.

– Wszystko przepadło – jęknął Murphy. – Nie tylko rakiety, ale także całe złoto.

– Wiem. Życie jest czasem wredne – przyznał Fox.

– Ale skąd oni wiedzieli?

– To Bliski Wschód, Brendan. Izraelici od dawna nauczyli się dawać w kość Arabom. Myślisz, że nie potrafią dowiedzieć się, co takiego knuje Saddam? Myślisz, że ich przyjaciele w Londynie, Waszyngtonie i wszędzie indziej nie są w stanie tego odkryć? – Fox rzucił papierosa do wody. – W dodatku sukinsyny potrafią walczyć.

– Całe to złoto... Nie mogę w to uwierzyć.

– Lepiej przyzwyczaj się do tej myśli.

– Więc wracasz do Londynu?

– Nie ma sensu dalej tu sterczeć. Może ty i Kelly chcecie ze mną polecieć?

– Nie, polecimy do Paryża, a stamtąd do Dublina.

Łódź dopłynęła do nabrzeża. Na Foxa czekała limuzyna z arabskim kierowcą.

– Jadę teraz do Golden House, żeby się spakować i wymeldować... – powiedział. – Może przynajmniej tam was podwieźć?

– Nie, złapiemy taksówkę i zasuwamy prosto na lotnisko.

– Bez bagażu? Straciliście wszystko na statku. Wzbudzicie podejrzenia.

– Znamy to miasto. Jest tutaj nocny bazar. Coś kupimy. Nie ma problemu.

– W porządku.

Fox i Murphy podeszli do skraju pirsu.

– Chryste, jak ja potrzebowałem tego złota – mruknął Murphy.

– Ja też – odparł Fox.

– Więc co teraz zrobisz?

– Mam nagraną w Londynie pewną sprawę, która pomoże mi wyjść na prostą.

- Może potrzebujesz pomocy?

– Nie tym razem. A co z tobą?

– Wracam do Kilbegu, żeby to i owo przemyśleć. Jeszcze nie zbankrutowałem.

– Nadal jesteś mi winien za wyposażenie tego bunkra. Wiem, że trzymasz tam co najmniej milion w gotówce.

– Kilka napadów na bank powinno pokryć wydatki, a poza tym wkrótce i tak zacznie się wojna.

Fox podał mu rękę.

– W takim razie powodzenia. Bądź ze mną w kontakcie.

– Będę.

Podeszli z powrotem do limuzyny. Fox, Falcone i Russo wsiedli do środka i odjechali.

Murphy wciągnął w płuca ciepłe, pachnące przyprawami powietrze.

– To odrażające miejsce, Dermot – mruknął. – Wracajmy do jakiegoś cywilizowanego kraju.

Kula otarła Blake'owi prawe ramię i Anya udzieliła mu pierwszej pomocy. Na pokładzie „Pamiru” panował świąteczny nastrój.

Dillon i Blake przebrali się i weszli do salonu. Moshe Levy nalewał wino do kieliszków, a Anya, która zdążyła już wziąć prysznic, siedziała w kąpielowym szlafroku, susząc włosy.

– Gdzie jest Gideon? – zapytał Dillon.

– Telefonuje.

Gideon rozmawiał ze swoim wujem. Siedzący w salonie swojego mieszkania w Tel Awiwie generał Cohen klepnął się po udzie.

– Wspaniale – stwierdził. – To wielki sukces.

– Dillon i Blake wracają wkrótce do Londynu.

– Powiedz im, że mają moje błogosławieństwo. Czy Anya jest zdrowa i cała?

- Spisała się na medal. Powinna go zresztą dostać.
- Mossad nie przyznaje medali, chyba o tym wiesz. Ale zapraszam was wszystkich na wykwinny obiad.

W Bejrucie Fox, Falcone i Russo wsiedli do swojego samolotu, obserwowani dyskretnie przez Lacey'a i Parry'ego, którym dostarczono ich fotografie. Gulfstream wzniósł się na wysokość pięćdziesięciu tysięcy stóp i skręcił w stronę Morza Śródziemnego. Stewardesa zaoferowała pasażerom drinki i kartę dań, ale Fox dał znak, żeby odeszła. Russo usiadł z tyłu samolotu, Falcone został razem ze swoim szefem.

– Co teraz, *signore*? - zapytał.

– Nie wiem, Aldo. Właśnie straciłem pokazną fortunę. Murphy też dużo stracił, a jest mi winien Bóg wie ile za tę broń ukrytą w bunkrze w hrabstwie Louth. Kasyno jest nadal zamknięte. – Fox wziął głęboki oddech. – Zostali nam tylko bracia Jago i ten skok na White Diamond Company. Dziesięć milionów. Cztery wezmą oni, dla mnie zostanie sześć.

Stewardesa podała Falconemu wódkę z martini.

– Dlaczego nie całe dziesięć, *signore*? - zapytał, upiwszy łyk. – Dlaczego nie całą sumę? Russo i ja możemy się tym zająć. Ale odrobienie wszystkich poniesionych przez pana strat potrwa trochę.

Fox spróbował szampana.

– Naprawdę straszny z ciebie drań, Aldo. Ale właśnie za to cię lubię.

Falcone uśmiechnął się, przypominając sobie rozmowę, jaką odbył przez komórkę w toalecie na lotnisku. Don Marco już wiedział o całej tej żalosznej aferze.

– Sytuacja Foxa stale się pogarsza – stwierdził wtedy. – Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, podejrzewałbym, że to znowu Dillon i Johnson. Ale mówisz, że to Izraelczycy?

– Nie ma co do tego wątpliwości. Przedstawili się.

– Fox zachowuje się, jakby był ukąszony przez węża. W porządku,

Aldo, miej na niego oko.

Siedząc w samolocie, Falcone potrząsnął głową.

– Ci Jago to prawdziwe zwierzęta. Proszę pozwolić mnie i Russowi zająć się nimi.

– To interesujący pomysł – mruknął Fox i uśmiechnął się. – Ale jeszcze się zastanowimy.

W Londynie Ferguson wysłuchał Dillona przez zakodowany telefon i pokiwał głową.

– Akcja zakończyła się sukcesem. Nasi przyjaciele z Mossadu zrobili, co do nich należało, wy też spisaliście się nie najgorzej.

– Brygadierze, pochwała z pańskich ust to wielki zaszczyt...

– Nie pozwól, żeby ci to uderzyło do głowy. Wkrótce się zobaczymy.

Ferguson siedział jakiś czas przy kominku, pogrążony w rozmyślaniach, a potem wezwał swojego kierowcę, założył płaszcz i kazał zawieźć się do Pine Grove, gdzie, jak wiedział, Hannah Bernstein maglowała właśnie Seana Regana. Helen Black powitała go przy wejściu i od razu zaprowadziła do apartamentu Ropera. Major siedział przed jednym ze swoich komputerów, mając po lewej stronie Regana, po prawej Hannah.

– Ucieszycie się zapewne, moje dzieci, kiedy powiem, że akcja w Al Shariz zakończyła się bardzo satysfakcjonującą eksplozją... SS „Fortuna” wraz ze swoją załogą, składającą się z fanatyków Armii Boga, już nie istnieje. Na dno poszły również rakiety Hammerhead i pięć milionów funtów w złocie, które mieli między sobą podzielić Murphy i Fox. Dzięki wielkiemu wynalazkowi ofiarowanemu światu przez Czechosłowację spoczęły na głębokości stu sążni.

– Matko Boska! – jęknął Regan.

– Chwileczkę, brygadierze... – Roper postukał w klawisze i spojrzął na ekran. – Dokładnie rzecz biorąc, na głębokości dwustu sążni. Basen

portowy jest tam bardzo głęboki. Utrudni to nieco wydobycie ładunku.

– Co teraz, brygadierze? – zapytała Hannah. – Kilbeg?

– A na jakim jesteśmy etapie?

– Och, Sean okazał się bardzo skłonny do współpracy. Narysowałem już plan bunkra – oznajmił Roper. – Chce go pan zobaczyć?

– Nie, poczekajmy lepiej na Dillona i Blake'a – odparł brygadier. – Czy Salter się odezwał? – zapytał Hannah.

– Nie, brygadierze.

– Chyba się do niego wybiorę.

– Czy mam panu towarzyszyć?

Ferguson potrząsnął głową.

– Nie, popracuj tutaj dalej razem z Reganem i majorem. Co pani powie na wycieczkę do londyńskiego podziemia, pani sierżant? – zapytał Helen Black.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności, brygadierze.

– Dobrze, w takim razie ruszajmy w drogę – oznajmił Ferguson i wyszedł z pokoju.

LONDYN

Salter i Billy siedzieli w Blind Beggar, jednym z najślynniejszych londyńskich pubów, gdzie w swoim czasie spotykali się bracia Kray, Richardsonowie oraz inni znani gangsterzy. O tej porze, wieczorem, było tu gwarnie i tłoczno. Dużą część klientów stanowili turyści; zbiorowe wycieczki należały do lokalnego kolorytu.

Salter wskazał niedużego mężczyznę, albinosa w czarnym podkoszulku i garniturze.

– To jeden z najlepszych speców od zamków i sejfów w naszej branży - wyjaśnił bratankowi. – Manchester Charlie Ford. Ten wielki czarny facet, który jest razem z nim, to Amber Frazer. Ma świetny cios i jest przy tym całkiem niegłupi. Stanowią jakby jedną całość.

– Co masz na myśli? – zapytał Billy.

– No wiesz, związek homoseksualny. To geje.

Billy potrząsnął głową.

– Cóż, mogę tylko powiedzieć, że omija ich cholerna frajda...

– Ludzie są różni, Billy. Zaraz go tu poproszę – powiedział Salter i pomachał do obu mężczyzn, którzy po chwili podeszli do ich stolika.

– Witaj, Charlie. Cześć, Amber. – Salter uściśnął im obu dłonie. – Przedstawiam wam mojego bratanka, Billy'ego. Uważajcie na niego. To kawał drania.

– Czyż wszyscy nimi nie jesteśmy? – zauważył filozoficznie Ford.

– Napijcie się z nami. Być może będę mógł wam zaproponować

pewną robotę.

Salter słyszał już, że Ford i jego przyjaciele są w najbliższym czasie zajęci, lecz mimo to sondował grunt.

– O co konkretnie chodzi, Harry? – zapytał Ford.

– Organizuję coś dużego. Nie powiem ci, co to dokładnie będzie, ale potrzebny mi jest facet z twoimi zdolnościami. Powiedzmy sobie szczerze, jesteś najlepszy.

– Kiedy to ma być?

– W ciągu najbliższych dwóch tygodni.

– Nie ma mowy, Harry. W przyszłym miesiącu proszę bardzo, ale na razie jestem bardzo zajęty.

– No cóż, wobec tego gratuluje. Mam nadzieję, że to coś ciekawego.

– Coś bardzo ciekawego, Harry, bardzo specjalnego.

– Nie mów nic więcej. Nie można chlapnąć o czymś, o czym się nic nie wie. Co myślisz o Philu Sapiro? – zapytał Salter, nadal udając, że szuka ludzi do skoku.

– Wpadł w zeszłym tygodniu. Trzymają go w West End Central. Możesz zapytać Hugh Belova. Twierdzi, że przeszedł na emeryturę, ale chyba by poszedł na współpracę. Zależy, co mu zaproponujesz.

– Dziękuję za dobrą radę – odparł Salter.

W tym momencie do pubu weszli bracia Jago i stanęli przy końcu baru.

– Musimy lecieć, starszku – mruknął Ford. – Do zobaczenia.

– Uważajcie na siebie – pożegnał ich Salter.

Ford i Frazer podeszli do braci Jago.

– To wszystko wyjaśnia – stwierdził Billy.

– Owszem. Ale musimy się dowiedzieć, co dokładnie knują.

– Jak to zrobimy?

– W bardzo staroświecki sposób. Pojedziemy za nimi i zobaczymy, dokąd się wybiorą. Chodź.

Baxter i Hall czekali na nich w zaparkowanym na ulicy range roverze.

– O mnie się nie troszczcie, złapię taksówkę – powiedział Salter. –

Zaczekacie tu z Billym. W środku są bracia Jago i Manchester Charlie Ford. Kiedy wyjdą, ruszajcie za nimi. W schowku masz tę lornetkę do obserwacji w nocy, Joe. Ten ruski patent.

– Jasne, Harry.

Pół godziny później z pubu wyszli bracia Jago razem z Fordem i Frazerem, ruszyli do stojącego w głębi ulicy forda kombi, wsiedli do środka i odjechali. Ku zdumieniu Billy’ego zmierzali w stronę ich własnego terytorium, Wapping. Ruch był jeszcze całkiem duży i Baxter starał się, żeby przez cały czas dzieliło ich kilka samochodów. Po jakimś czasie ford kombi skręcił w wąską uliczkę między starymi, w większości przebudowanymi magazynami.

– To St Richard’s Dock – stwierdził Baxter. – W zeszłym roku przerobili wszystkie te stare magazyny na biura.

– Są tu jakieś mieszkania? – zapytał Billy.

– Nie.

– Więc co oni, do diabła, kombinują? Zatrzymaj się przy końcu ulicy i daj mi lornetkę.

Baxter zaparkował w cieniu i wysiedli z range rovera. Bracia Jago i dwaj inni również wysiedli i zeszli po betonowych schodkach na kamienistą plażę przy rzece. Billy nastawił ostrość i obserwował ich sylwetki w zielonym blasku noktowizora.

– Zaczął się odpływ – powiedział Hall. – Inaczej pływaliby po szyje w wodzie.

– Zniknęli – oznajmił Billy. – Zaczekajmy.

Dziesięć minut później Jago i ich towarzysze zjawili się ponownie na plaży. Wdrapali się po schodkach na górę, wsiedli do swojego forda i odjechali.

– Weź latarkę z range rovera, Joe – powiedział Billy. – Pójdziemy rzucić okiem.

Bez kłopotu znalazł to, czego szukał: sklepione wejście do ciemnego, mokrego tunelu. Wszędzie unosił się zapach wilgoci, stare cegły pokryte były wodnymi porostami. Billy ruszył przodem, oświetlając sobie drogę latarką, i po chwili trafił na wielkie zakratowane wejście. Zamek w

drzwiach był zupełnie skorodowany.

– Co oni knują? – zapytał Baxter.

– Bóg jeden wie, ale na pewno się tego dowiemy – odparł Billy. – Jedziemy do Harry'ego.

Harry Slater siedział przy swoim prywatnym stoliku w Dark Man, sącząc piwo i słuchając relacji bratanka.

– St Richard's Dock... Chyba mam coś na ten temat – stwierdził i zawołał Dorę. – Zajrzyj do mojej kartoteki w gabinecie, kochanie – powiedział, obejmując ją w pasie. – St Richard's Dock.

– Dla ciebie wszystko, Harry – odparła.

– Tak, wiem, ale na razie przynieś mi tylko tę cholerną teczkę.

Dora wróciła po dwóch minutach. Slater otworzył teczkę, wyjął z niej plan i przez chwilę mu się przyglądał.

– Dwa banki handlowe, agencja nieruchomości, biura deweloperów, dwie restauracje, White Diamond Company... – Odchylił się do tyłu. – Jezu Chryste, nie! Nie mogli wpaść na taki pomysł. Takie miejsce... Mają tam teraz najnowocześniejszy system zabezpieczeń. Wszystko, co można sobie wyobrazić. Nie potrafię w to uwierzyć.

– Powoli, Harry – powiedział Billy. – Zastanówmy się po prostu, czego szukali w tym tunelu.

– Masz rację, Billy. Szybko się uczysz. – Salter odwrócił się do Halla.

– Zajrzyj do baru i zobacz, czy jest tam ten stary przyk, Handy Green. Stałe u nas przesiaduje. Był kiedyś kapitanem barki. Nie ma rzeczy, której by nie wiedział o rzece: zna się na niej lepiej ode mnie, a to wiele znaczy.

Hall wyszedł i po chwili wrócił z pomarszczonym dziadkiem ubranym w dżinsy i trochę za dużą marynarską kurtkę.

– Jak się masz, Handy – przywitał go Salter. – Chodź, napij się z nami. Mam wrażenie, że będziesz mógł mi w czymś pomóc.

– Możesz na mnie zawsze liczyć, Harry, wiesz o tym.

– Mam pewien problem. Znasz St Richard's Dock?

– Oczywiście, Harry.

– Przebudowali na biura wszystkie te stare magazyny.

– Tak, skończyli w zeszłym roku. Kiedy byłem dzieckiem, pracowałem tam przy łodziach, starych żaglowych barkach.

– Jest pewna interesująca rzecz... Billy trafił tam przypadkiem na plażę i zauważył wejście do tunelu.

– Musiało to być podczas odpływu. Kiedy jest przyptyw, woda zalewa wejście. Nazywają to St Richard's Force.

– Co to ma znaczyć?

Salter wziął do ręki dużą brandy, którą przyniosła Dora, i podał ją staruszkowi.

– Ta nazwa wywodzi się jeszcze ze średniowiecza. *Force* oznacza napór, siłę. Kiedy zaczyna się przyptyw, woda zasuwa tunelem jak szalona. – Staruszek chciwie przełknął brandy. – Od dawna interesuję się londyńskimi podziemiami. Są tu tunele z czasów rzymskich i normańskich, system ścieków z epoki Tudorów, a wyżej kanały z czasów wiktoriańskich. We wszystkich tych wieżowcach i biurowcach nie mają pojęcia, ile tuneli i kanałów ściekowych przechodzi przez ich fundamenty.

– A ty o tym wiesz?

– Zawsze się tym interesowałem.

– Co powiesz o podziemiach St Richard's Dock?

– Są podziurawione jak rzeszoto.

– Jesteś pewien?

– Mam stare wiktoriańskie książki, Harry. Z mapami.

– Naprawdę? – Salter odwrócił się do swojego bratanka. – Zrób mi tę uprzejmość, Billy, pójdz z Handym do jego domu i weź te książki. Ja tymczasem zadzwonię do Fergusona i powiem mu, co odkryliśmy.

Godzinę później Handy Green siedział w Pine Grove razem z Roperem, pokazując mu jakieś plany w starych książkach. Roper sprawdził jego informacje i w obecności Fergusona oraz obu Salterów

przystąpił do pracy. Baxter i Hall siedzieli w kantynie. Na ekranie monitora ukazały się mapy.

– Nadzwyczajne – mruknął Roper.

– Co to takiego? – zapytał Ferguson.

– Sieć wiktoriańskich tuneli i ścieków w rejonie St Richard's Dock.

W niektórych miejscach wystarczy tylko kowalski młot, żeby przebić się przez wiktoriański mur do podziemi biurowca.

– I co z tego wynika, do diabła? – chciał wiedzieć Harry Salter.

– Muszę jeszcze sprawdzić dane techniczne budynku – powiedział Roper i przez chwilę stukał palcami w klawisze. – To interesujące – stwierdził w końcu. – Mają najnowocześniejszy system bezpieczeństwa, ale wyłącznie zewnętrzny. Jeśli ktoś wejdzie z dołu, jak kret, może się czuć jak u siebie w domu.

– To musi być to – uznał Salter.

– Ja też tak sędzę – zgodził się z nim Roper. – Brygadierze...?

– Na to wygląda, ale pytanie brzmi, kiedy zamierzają to zrobić. – Ferguson odwrócił się do Saltera i jego bratanka. – Zajmiecie się dalej tą sprawą? Znamy miejsce, ale musimy jeszcze znać czas.

– Nie sędzę, żeby to się miało odbyć jutro albo pojutrze, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Z tego, co mówił Charlie Ford, wynika raczej, że to kwestia tygodnia lub dwóch.

– Wobec tego postarajcie się coś ustalić.

– Oczywiście, brygadierze. Przyjemnie choć raz przysłużyć się dobrej sprawie. Chodź, Billy, zabieramy Handy'ego i wracamy do domu. Będziemy mieli oko na tę plażę.

Po ich wyjściu Ferguson spojrzał na Ropera.

– Ma pan dla mnie coś na temat hrabstwa Louth?

– Wycisnąłem z Regana wszystko, co mogłem. Na podstawie tych informacji sporządziłem plan sytuacyjny Kilbegu. Chce pan zerknąć okiem?

– Jeśli można.

Roper pokazał mu plan i Ferguson siedział przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co zobaczył.

- To będzie trudna sprawa – stwierdził w końcu.
 - Owszem.
 - Ale w świetle tego, co się wydarzyło, uważam, że powinniśmy to zrobić w pierwszej kolejności.
 - Jestem skłonny się z panem zgodzić.
 - Zjedźmy coś w kantine i zaczekajmy na Dillona i Blake’a.
 - Jest jeszcze jedna sprawa, brygadierze...
 - Niech pan się nie krępuje.
 - Znam nie od dzisiaj Irlandczyków i mogę pana zapewnić, że nie ma mowy, żebyśmy mogli dojechać w ten rejon hrabstwa Louth w charakterze turystów.
 - Tak, rozumiem. Sugeruje pan podejście od morza?
 - To jedyna droga.
 - Niech pan mi pokaże mapę hrabstw Down i Louth oraz wybrzeża Szkocji.
- Roper posłusznie wystukał komendy.
- Proszę bardzo.
 - Co pan powie na Oban, tutaj, na zachodnim wybrzeżu Szkocji? Czy to nie będzie odpowiedni punkt wypadowy?
 - Idealny, brygadierze.
 - Wyśmienicie. – Ferguson wyjął komórkę i zatelefonował do Hannah Bernstein. – Czy Dillon już tam jest? – zapytał.
 - Właśnie wylądował na Farley Field, brygadierze.
 - Dobrze. Chcę, żeby tu zaraz przyjechał. Blake też. Musimy działać szybko, pani komisarz. Organizujemy ekspedycję do Irlandii. Proszę porozmawiać z działem transportu. Mam na myśli motorowy jacht, albo coś w tym rodzaju.
 - Tak jest, brygadierze. Jaki port macierzysty?
 - Oban. I proszę dostarczyć tam wszelki sprzęt, jaki Dillon uzna za potrzebny. Panią również zapraszam na to spotkanie. Przykro mi, ale być może będzie pani musiała znowu nadstawić dla mnie głowę.
 - Za to mi płacą, brygadierze.

Dillon i Blake zajadali z wilczym apetytem jajka na bekonie, słuchając tego, co mieli im do powiedzenia Ferguson i Roper.

– Moim zdaniem, brygadierze – powiedziała w pewnej chwili Hannah – Dillon i sierżant Black powinni odbyć jeszcze jedną rozmowę z Reganem. Trzeba upewnić się, czy jest do końca szczery.

– Rozsądny pomysł – zgodził się Ferguson. – Zróbmy to.

Najpierw udali się jednak do apartamentu Ropera, który pokazał im na ekranie plan sytuacyjny Kilbegu.

– Wioska leży w bardzo odludnej okolicy, przy brzegu morza, i liczy mniej więcej stu mieszkańców. Sami zagorzali katolicy i republikanie, farmy rozrzucone po całym terenie. Nie sposób przejść kilka kroków, żeby nie wiedziała o tym cała wioska...

– Trzeba więc dotrzeć tam od strony morza – dokończył za niego Ferguson.

Dillon pokiwał głową.

– To prawda. Dopłyniemy do wioski pod osłoną ciemności. Jeśli to konieczne, zabawimy się w ludzi-żaby.

– Wydział transportu dostarczył już odpowiedni statek do portu w Oban – poinformowała ich Hannah. – Nazywa się „Highlander”. Chcą jak najszybciej wiedzieć, jakiego potrzebujecie sprzętu.

– Nie ma problemu. Zaraz sporządzę listę. Płyniesz z nami, Blake?

– A coś ty myślał, do diabła?

– Płynie także pani komisarz – oświadczył Ferguson. – Chcę oficjalnej obecności policji.

Dillon westchnął.

– Znowu pchasz się tam, gdzie mogą ci odstrzelić głowę, Hannah. Co to jest, poczucie winy?

– Wypchaj się trocinami, Dillon.

– Jak na miłą Żydówkę z dyplomem Cambridge to naprawdę elegancka odzywka.

Hannah roześmiała się.

– Co teraz? – zapytała.

– Rzućmy jeszcze raz okiem na tę mapę.

– Tu jest stare opactwo, w którym znajduje się włącz wejściowy, ale zwróćcie także uwagę na farmę na wschodzie – powiedział Roper. – Jest tam wyjście awaryjne. Regan twierdzi, że bunkra pilnuje tylko dwóch facetów. Co pewien czas pojawia się Murphy. Jest tam lokalnym bohaterem.

– Świetnie – stwierdził Blake. – Wejździemy do środka i wysadzimy wszystko w diabły.

Ferguson pokiwał głową.

– Ale najpierw jeszcze raz przesłuchajmy Regana. Sierżant Black i ty, Dillon. To samo zróżnicowane podejście...

Kiedy sierżant Miller wprowadził Regana do saloniku, Dillon siedział przy kominku.

– A, to ty, Sean. Powiedzieli mi, że okazałeś się bardzo pomocny.

– Zrobiłem wszystko, o co mnie proszono.

Ukryci za lustrem Ferguson, Blake, Hannah i Roper obserwowali ich rozmowę.

– On kłamie – stwierdził nagle Roper. – Sukinsyn kłamie.

– Skąd wiesz?

– Język ciała, instynkt. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale jest coś, o czym nam nie powiedział.

– Niech pani wkroczy i nieźle go przyciśnie, sierżant Black – polecił Ferguson.

Chwilę później Helen wpadła jak furia do pokoju przesłuchań.

– Niedobrze mi się robi od tych kłamstw, Dillon. Ten mały gnojek łże jak pies! – zawołała. – Są nadal rzeczy, o których nam nie powiedział.

Wyjęła z kabury zaopatrzonego w tłumik colta, ale grający swoją rolę Miller złapał ją za nadgarstek.

– Nie, pani sierżant, to nie jest sposób.

Colt wypalił w sufit i Regan wrzasnął ze strachu.

– Dobrze, powiem wszystko... wszystko, co chcecie.

Dillon wepchnął go głębiej w fotel.

– W porządku, wiemy już o wiosce, o bunkrze i nawet o starej

granitowej przystani poniżej klifu. Co takiego ukryłeś?

Regan zawahał się.

– Och, to strata czasu! – zawołała Helen Black. – Odeślijmy go z powrotem do Wandsworth.

– Nie, na litość boską, nie!

– Jest coś jeszcze, tak? Co to jest? – zapytał Dillon.

– Chodzi o pieniądze. Brendan ma w bunkrze sejf. W kantorku pod podłogą. Trzyma tam milion funtów, pieniądze pochodzą z napadów na banki, haraczy i tego rodzaju rzeczy.

– I co z tego? – zapytała Helen.

– Jest winien te pieniądze Foxowi za dostawy broni.

– Zgadza się – potwierdził Dillon.

– Ale on przez cały czas robi Foxa w konia. Ma tam prawie trzy miliony.

Dillon o mało nie wybuchnął śmiechem.

– Jezu, chcesz powiedzieć, że wysadzając to miejsce w powietrze, załatwimy nie tylko Murphy’ego, ale i Foxa? To wspaniałe. Czy to nie jest czysta przyjemność, brygadierze? – dodał, obracając się w stronę lustra.

– Niech pan tu do nas pozwoli.

Ferguson wszedł do pokoju razem z Helen i Blakiem.

– Bardzo nieładnie, Regan – skarcił przesłuchiwanego. – Wciąż uprawiasz te swoje głupie gierki.

– Tak, zdecydowanie nie można mu ufać – stwierdził Dillon. – W tej sytuacji uważam, że powinniśmy go zabrać ze sobą.

– Po co?

– Na wypadek jakichś problemów. Może jest coś jeszcze, o czym nam nie powiedział.

Ferguson pokiwał głową.

– Podzielam twój punkt widzenia. Czy pani się zgadza pani komisarz?

– Musi się zgodzić, bo to ona będzie pilnowała tego sukinsyna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Hannah.

– Że nie ma sensu dłużej zwlekać. Jeśli przekażesz kwatermistrzowi listę potrzebnego sprzętu i statek będzie gotów, Blake i ja polecimy tam jeszcze dziś po południu. Niedaleko Oban jest baza RAF-u. Przygotujemy statek do wyjścia w morze. Samolot wróci tutaj i zabierze was do Oban jutro rano. Wypłyniemy jutro po południu i zaatakujemy Kilbeg w nocy.

– Nie lubisz tracić czasu, prawda? – mruknął Ferguson.

– Nie widzę sensu, brygadierze.

– Popieram.

– Jest tylko jedna rzecz... – dodał Dillon. – Blake oberwał kulą w Al Shariz.

– To tylko draśnięcie. Anya opatrzyła je – zaprotestował Amerykanin.

– Jeśli mamy zejść pod wodę, będzie ci to przeszkadzać.

– Chcesz zatem powiedzieć, że potrzebny ci inny nurek? – zapytał Ferguson. – Zostało nam niewiele czasu, ale jeśli zadzwonię zaraz do dowództwa marynarki, znajdą chyba kogoś z morskiego szwadronu specjalnego.

– To nie jest najlepsze wyjście. Ci chłopcy mają włosy ostrzyżone na zapałkę i nikt ich nie weźmie za miejscowych. Ale w SAS, w Herefordzie, jest mnóstwo chłopaków, którzy od miesięcy nie widzieli fryzjera. Mogą w każdej chwili pojawić się w Belfaście i udawać, że właśnie zeszli z placu budowy – oświadczył z uśmiechem Dillon.

– Masz rację – zgodził się Blake. – Gdy przed kilku laty umieściłeś mnie tam po cywilnemu, pamiętam, że nie było łatwo zlać się z tłumem.

– Dlatego pomyślałem o innym nurku – powiedział Dillon.

– O kim? – zainteresował się Ferguson.

Kiedy Dillon powiedział mu, brygadier roześmiał się z powątpiewaniem.

– Ato dobre. Nie pogniewasz się, jeśli pójde razem z tobą i usłyszę, jak każe ci się wypchać?

– Proszę bardzo, brygadierze, ale jeśli tak się nie stanie, stawia pan obiad w najlepszym londyńskim pubie. Tymczasem chcę, żeby ramię

Blake'a obejrzał Daz w Rosadene.

– Rosadene...? – zdziwił się Blake.

– To prywatna klinika, z której usług często korzystamy. Mieści się w pobliżu Pine Grove. Mamy tam bardzo miłego chirurga, profesora Uniwersytetu Londyńskiego. Czasem nam pomaga.

– Masz ochotę na wycieczkę do Irlandii? – zapytał Ferguson, spoglądając na Regana.

– Nie mam chyba innego wyboru – odparł obojętnym tonem zapytany, choć jego umysł pracował gorączkowo.

Brygadier odwrócił się do Helen Black i Millera.

– Zaprowadźcie go teraz na górę. Jutro odbierze go komisarz Bernstein.

– Tak jest, brygadierze.

Miller wziął Regana pod ramię i wyszedł. Helen podążyła w ślad za nimi.

– W porządku, Dillon, zabierz Blake'a do Rosadene – zdecydował Ferguson. – Pani komisarz zadzwoni tam wcześniej, żeby się upewnić, czy Daz jest w klinice. My wracamy do biura. Spotkamy się na lunchu. Ciekaw jestem, jaka będzie jego reakcja – dodał, śmiejąc się. – Mam nadzieję, że twój kandydat okaże się patriotą.

– Tego rodzaju ludzie na ogół nimi są, brygadierze.

Klinika Rosadene mieściła się w ekskluzywnym pałacyku stojącym pośrodku parku. Recepcjonistka powitała Dillona jak starego znajomego, powiedziała kilka słów do telefonu i po chwili wyszła do nich sympatyczna kobieta w średnim wieku, ubrana w niebieski fartuch siostry przełożonej.

– Znowu byłeś na wojnie, Sean? – zapytała z ulsterskim akcentem, całując go w policzek.

– Nie, Martho, ale on był – odparł, po czym przedstawił jej Blake'a.

– Załatwmy to jak najprędzej. Pan Daz już czeka.

– Pan? – zdziwił się Blake.

– W Anglii zwykły lekarz jest po prostu doktorem, ale chirurdzy to „panowie”. – Dillon uśmiechnął się. – Potrafią ci to wyjaśnić tylko Anglicy. Jeśli chodzi o Daza, jest również „profesorem”.

Pielęgniarka poprowadziła ich korytarzem i otworzyła drzwi do dobrze wyposażonej sali operacyjnej. Daz siedział przy biurku, przeglądał jakieś papiery. Był to ubrany w biały fartuch, wysoki, chudy jak szczapa Hindus z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Na ich widok wstał i podał rękę Dillonowi.

– Tym razem nie chodzi o ciebie, Sean? Co za odmiana.

– Nie, ranny jest mój przyjaciel, Blake Johnson.

– Miło mi pana poznać, panie Johnson. W czym problem?

– Mam lekką ranę postrzałową. Nic takiego, naprawdę.

– To nigdy nie jest „nic takiego”, przyjacielu. – Daz odwrócił się do pielęgniarki. – W tej sytuacji, Martho, wolałbym nie korzystać z pomocy żadnej z dziewcząt. Czy mogłabyś mi osobiście asystować?

– Oczywiście, profesorze. Zaraz się przygotuję.

– Jeśli chcesz, możesz zostać, Sean – powiedział Daz.

Blake rozebrał się do pasa, a profesor i jego asystentka zabrali się do pracy.

– Mój Boże, rzeczywiście był pan na wielu wojnach – stwierdził Daz, wciskając palec pod żebra Blake’a z lewej strony. – Rany postrzałowe są bardzo wyraźne.

– Tutaj jest kolejna blizna – zauważyła Martha. – Pod lewym ramieniem.

– To było w Wietnamie – mruknął Blake. – Dawno temu.

– Ale tę odniósł pan całkiem niedawno – oświadczył Daz, gdy Martha rozcięła opatrunek na prawym ramieniu. – Brzydko wygląda – stwierdził, krzywiąc się.

– To nic takiego, do diabła – powtórzył Blake.

– To „nic” trzeba będzie bardzo starannie zaszyć. Ile założymy szwów, Martho? Piętnaście? Może dwadzieścia? W tych okolicznościach nie wydaje mi się, żeby wystarczyło miejscowe znieczulenie. Będziemy potrzebować ogólnego. Wezwij doktora Hameda. Wiem, że jest w

klinice. Będzie mi asystować.

– Słuchajcie, ja nie zamierzam wcale kłaść się do łóżka – zaprotestował Blake. – Mam do załatwienia ważne sprawy.

– Jeśli pan ich nie odłoży na później, zostanie pan kaleką do końca życia.

– Niech pan się zastosuje do naszych zaleceń, panie Johnson – powiedziała Martha. – Nie jest pan przecież głupim człowiekiem. Zostaw go u nas, Sean, i wpadnij po południu – zwróciła się do Dillona.

– Na litość boską, Sean... – jęknął Blake.

– Nie ma problemu. Jeśli wieczorem nie będziesz w formie, możesz dojechać do Oban jutro razem z Hannah i Reganem.

Tymczasem Billy Salter podjechał range roverem do St Richard's Dock, wszedł na nabrzeże, na którym stała zaparkowana stara furgonetka Forda, otworzył drzwiczki i wszedł do środka. Siedzący za kierownicą Joe Baxter obserwował plażę przez lornetkę.

– O co chodzi? – zapytał go Billy.

– Nie mając chwilowo nic do roboty, sprawdziliśmy lokal, w którym Manchester Charlie Ford jadł śniadanie. Okazało się, że nie on jeden spotkał się z braćmi Jago.

– Mów, lubię niespodzianki.

– Był tam jeszcze Connie Briggs.

– Ciekawe... To jeden z najlepszych speców od elektronicznych systemów zabezpieczeń w Londynie.

– Wiem, to geniusz.

– Kto tam jeszcze był?

– Val French.

– Jezu! Ekspert od lancy termicznej. Podczas skoku na Gatwick przeciął te stalowe pudła ze złotem, jakby to były puszki sardynek. Wszyscy o tym wiedzą.

– Łącznie ze Scotland Yardem, który jednak w żaden sposób nie potrafi tego udowodnić.

– Więc dlaczego tu sterczymy?

– Cała ferajna przyjechała tutaj podczas odpływu furgonetką Toyoty. Śledziliśmy ich. Wysiedli z kilkoma płóciennymi torbami i weszli do tunelu. Hall jest na dole na czatach, schował się za tamtym starym wrakiem.

Billy wziął lornetkę, nastawił ostrość i w tym samym momencie Manchester Charlie Ford i jego towarzysze wyszli z tunelu i wspięli się z powrotem po stopniach na nabrzeże. Po chwili wszyscy wsiedli do furgonetki i odjechali.

– Daj mi latarkę. Pójdziemy się rozejrzeć – powiedział Billy.

Tunel był mokry po porannym przypływie; zielonkawe cegły lśniły w świetle latarki. Zardzewiała żelazna krata znajdowała się w tym samym miejscu gdzie poprzednio, zniknął jednak skorodowany zamek i furta była lekko uchylona.

– No, no – mruknął Billy. – Wejźmy do środka.

Brodząc po kostki w wodzie, ruszyli w głąb tunelu. Wydawał się nie mieć końca i co jakiś czas odchodziły od niego boczne korytarze.

– W porządku – stwierdził w końcu Billy. – Wystarczy. Jesteśmy pod St Richard's Dock i nie znaleźliśmy nic ciekawego. Wracamy.

W południe dotarli do Dark Man i znaleźli Harry'ego Saltera przy jego prywatnym stoliku. Wysłuchawszy ich, pokiwał głową.

– Sprawa jest jasna. To musi być White Diamond Company. Porozumiem się z Fergusonem.

W tej samej chwili do pubu wszedł brygadier z Dillonem.

– O wilku mowa – mruknął Billy. – Właśnie mówiliśmy o was, i oto się zjawiacie.

– To czary, Billy – oświadczył Dillon. – Znam się na nich, bo pochodzę z hrabstwa Down.

– Co pan zamawia, brygadierze? – zapytał Salter.

– Na początek wiejski placek i czerwone wino.

– Mamy dla was ciekawe informacje – oświadczył Billy, po czym opowiedział, co udało mu się odkryć.

Ferguson wyjął komórkę, zatelefonował do Ropera w Pine Grove i

przekazał mu wiadomości.

– Niepokoi mnie kwestia czasu. Przyszło mi właśnie do głowy, że gdyby pan wszedł do komputera White Diamond Company, być może dowiedzielibyśmy się, co przygotowują.

– Niech pan to zostawi mnie, brygadierze.

Ferguson schował komórkę.

– Sprawa jest do załatwienia, panowie – oznajmił. – Swoją drogą, należy ci się Order Imperium Brytyjskiego, Harry, za usługi oddane krajowi.

– Niech pan się wypcha trocinami, brygadierze.

Przy stoliku pojawiła się Dora.

– Wiejski placek, kochanie – powiedział Salter. – I butelka kruga, bo mamy tu Dillona.

– Masz wielkie serce, Harry – stwierdził Dillon, kiedy kelnerka odeszła.

– Co ty kombinujesz, mały irlandzki cwaniaku? Próbujesz mnie wziąć pod włos?

– Właściwie tak. Chcę, żebyś mi oddał przysługę.

– Jaką przysługę?

– Potrzebny mi jest wyszkolony nurek, a jedyny, którego mogę znaleźć w tak krótkim czasie, to Billy.

Salter był wstrząśnięty.

– Robisz sobie chyba jaja – wymamrotał.

– Bynajmniej. Mój amerykański przyjaciel Blake oberwał kulą w ramię i nie jest w najlepszej formie, a ja płynę jutro statkiem w odludny rejon irlandzkiego wybrzeża, gdzie znajduje się podziemny bunkier z różnymi wrednymi zabawkami czekającymi tylko na to, by ich użyto w trakcie następnych zamieszek w Irlandii. Zamierzam wysadzić ten bunkier, a ponieważ w tę sprawę zaangażował się finansowo nasz przyjaciel Fox, będę miał podwójną satysfakcję. Słuchaj, młody charcie – zwrócił się do Billy'ego. – Masz okazję spełnić dobry uczynek... Popłyniesz ze mną?

Oczy Billy'ego zabłyśły.

– Pewnie, że popłynę. Ci skurwiele przyjeżdżają tutaj i podkładają bomby w Londynie. Wybierzemy się tam i odpłacimy im pięknym za nadobne.

– Billy! – próbował go mitygować wuj.

W tym momencie zadzwoniła komórka Fergusona.

– Porozmawiam z panem później – powiedział brygadier i wypił łyk szampana. – To był major Roper. Udało mu się wejść do komputera White Diamond Company. W czwartek mają tam dostawę najwyższej jakości diamentów. Są warte dziesięć milionów funtów.

– Nareszcie wiemy, na czym stoimy – stwierdził Dillon. – Co ty na to, Harry?

– Niech to diabli – zaklął Salter. – Jesteśmy z wami.

– Doskonale – odparł z uśmiechem Dillon. – To oznacza dla ciebie wycieczkę do Szkocji i miłą przejażdżkę po morzu, Billy.

– Chryste! – jęknął Billy. – Cierpię na chorobę morską.

– W drodze na Farley Field wstąpimy do apteki i kupimy ci jakieś proszki. Startujemy za trzy godziny.

– Nigdy jeszcze nie byłem w Szkocji.

– Więc najwyższy czas, żebyś ją odwiedził – stwierdził z uśmiechem Dillon, kiedy Dora przyniosła kolejne talerze.

– Oto wiejski placek, butelka kruga i niech Bóg ma w opiece Brendana Murphy’ego – oznajmiła.

SZKOCJA

IRLANDIA

Kiedy Dillon wraz z Hannah Bernstein zajrzał do kliniki Rosadene, Blake leżał nieprzytomny w izolatce. Daz pojechał na uniwersytet, ale przy pacjencie czuwała Martha.

– Nic mu nie będzie, jednak w tej chwili nie jest w najlepszej formie – oświadczyła i zmarszczyła czoło. – Mam nadzieję, że nie będzie brał udziału w żadnych waszych akcjach, panie Dillon. Wiem, czym się normalnie zajmujecie, ale on stanowczo się do tego nie nadaje.

– W porządku, Martho. Musimy pogodzić się z sytuacją. Lecę teraz do Szkocji, więc informuj o wszystkim panią komisarz Bernstein.

– Znowu jakieś kłopoty? – zapytała.

– Jak zwykle – odparł i pocałował ją w policzek.

– A niech cię. Obyś zginął w Irlandii – pożegnała go słowami starego toastu.

Dillon roześmiał się.

– Och, dziękuję ci bardzo. Do rychłego zobaczenia.

W drodze do Dark Man Hannah była dziwnie zamyślona.

– To może być trudna akcja, Sean – zauważyła.

– Wiem. I wiem też, że Blake może nie sprostać wymaganiom. Szczerze mówiąc, biorąc pod uwagę jego stan, będzie stanowił raczej obciążenie.

– Co chcesz, żebym zrobiła?

– Spróbuj go jakoś zatrzymać. Przy odrobinie szczęścia nie powinno

to być takie trudne. Może Martha da mu jakąś tabletkę.

– Zawsze myślisz praktycznie, prawda?

– On jest dobrym człowiekiem, Hannah, a ja złym. Nie przejmuję się tym, ale zależy mi na nim.

– Nigdy cię nie rozumiem.

– Ja sam siebie nie rozumiem, więc jest nas już dwoje. Na tym świecie jestem po prostu przechodniem, Hannah. Myślałem, że zdałaś sobie już z tego sprawę.

Dillon uprzedził telefonicznie o swoim przyjeździe Salterów i Billy czekał już przed pubem razem ze swoim wujem, Baxterem i Hallem.

– Tak się składa, że leży mi na sercu los tego szczeniaka, więc przywieź go z powrotem w jednym kawałku, Dillon – oświadczył Harry Salter. – Nie powiedziałem „postaraj się przywieźć”, więc nie zawieź mnie, bo jeśli wrócisz sam...

– Wiem, co masz na myśli – przerwał mu Dillon. – Wskakuj, Billy.

Kierowca wsadził walizkę do bagażnika i Billy usiadł z przodu, podenerwowany i podekscytowany.

– Chryste, Dillon, w co ty mnie pakujesz...

– To będzie wielka przygoda, Billy. Po powrocie wstąpisz do piechoty morskiej.

– Tu mi kaktus wyrośnie. Jestem na to zbyt niezależnym duchem.

Na Farley Field czekał na nich z listą w dłoni pełniący funkcję kwatermistrza emerytowany sierżant major.

– Wszystko załadowane, panie Dillon. Walthery i trzy pistolety maszynowe uzi z tłumikami Carswella, granaty ogłuszające, a także pół tuzina odłamkowo-burzących na wypadek, gdybyś wpadł w opałę. Plus semteks i zapalniki.

– Jaki daliście sprzęt do nurkowania?

– Standardowe skafandry i płetwy z wyposażenia morskiego szwadronu specjalnego. Nasz agent w Oban zostawi sześć butli z tlenem w schowku na rufie. Powinno wystarczyć.

– Doskonale.

Lacey i Parry zajęli już miejsca za sterami gulfstreama, a Madoc czekał przy schodkach. Dillon pocałował Hannah w policzek.

– Idący na śmierć pozdrawiają cię.

– Nie wygłupiaj się. Zobaczymy się jutro.

– Wiem. Miej oko na Regana. To zdradziecki mały gnojek.

– Myślałam, że to określenie odnosi się do ciebie.

Była to głupia uwaga i Hannah natychmiast jej pożałowała, ale Dillon uśmiechnął się.

– Twarda z ciebie kobieta – mruknął, po czym popchnął Billy'ego i ruszył za nim po schodkach.

Madoc zamknął drzwi samolotu i gulfstream zaczął kołować w stronę pasa startowego.

– Dlaczego? – szepnęła Hannah do siebie. – Dlaczego mówię takie rzeczy?

W gruncie rzeczy wiedziała jednak, dlaczego to robi. Nie potrafiła po prostu pogodzić się z jego przeszłością. Pamiętała o wszystkich tych latach, gdy był cieszącym się złą sławą poborcą Tymczasowej IRA, pamiętała o wszystkich popełnionych przez niego zbrodniach.

– Niech cię diabli, Dillon – zaklęła, patrząc na startujący samolot. – Niech cię diabli.

W swoim apartamencie w Pine Grove Roper wszedł do sieci i znalazł tam to, czego szukał. Sprawdził to jeszcze raz, po czym zadzwonił do Fergusona.

– Fox i jego dwaj goryle zarezerwowali na tydzień pokoje w hotelu Dorchester – poinformował go.

– Coś jeszcze?

– Murphy i Dermot Kelly lecą samolotem Air France z Paryża do Dublina. Będą tam w porze, którą Irlandczycy nazywają porą podwieczorku.

– Jaki może być ich punkt docelowy?

– Niech pan nie żartuje, brygadierze. To musi być Kilbeg. Uważają tam Murphy’ego za lokalnego Robin Hooda. Ale jeśli chce pan mieć pewność, niech pan poprosi o przysługę nadkomisarza Malone’a z Wydziału Specjalnego Gardy.

– Doskonały pomysł – odparł Ferguson.

Przez chwilę się zastanawiał, a potem zatelefonował do Malone’a w Dublinie.

– Tu Charles Ferguson, Danielu.

Malone jęknął głośno.

– Czego, do diabła, znowu chcesz, Charles?

– Drobnej przysługi.

Murphy i Kelly wylądowali o czwartej trzydzieści na lotnisku w Dublinie i przeszli z lekkim bagażem przez odprawę celną. Na zewnątrz czekał na nich stary ford. Za kierownicą siedział niejaki John Conolly, a obok niego Joseph Tomelty; obaj byli zagorzałymi republikanami i wieloletnimi członkami grupy Murphy’ego – wszystko starzy koledzy z podwórka. Cała czwórka uściśnęła sobie dłonie.

– Miło cię widzieć, Brendan – stwierdził Conolly. – Dobrze poszło?

– Kompletne fiasko – odparł Murphy. – Nie mogło pójść gorzej. Zabierajmy się stąd. Jedź do domu, po drodze wam wszystko opowiem.

Wsiadli do forda i odjechali.

– Jezu! Conolly i Tomelty plus Brendan Murphy i Dermot Kelly – mruknął Malone siedzący nieopodal w nieoznakowanym samochodzie z kierowcą. – Stara mafia z Kilbegu. Nie ma wątpliwości, dokąd się wybierają, ale na wszelki wypadek pojedź za nimi w bezpiecznej odległości, póki nie upewnimy się, że kierują się na północ.

Po dwudziestu minutach, gdy zostawili za sobą opłotki Dublina, poklepał kierowcę po ramieniu.

– Zawracaj. To musi być Kilbeg.

Kilka minut później zadzwonił z komórki do Fergusona i poinformował go o przyjeździe Murphy’ego.

– Więc jadą do Kilbegu? – upewnił się brygadier.

– Z całą pewnością. Czy szykujesz tam dla nas jakieś kłopoty, Charles?

– Nie wygłupiaj się, Daniel, wyświadczamy po prostu przysługę sobie i wam. Nie wtrącaj się, będę cię informował.

– Jeszcze jedno pytanie. Ponieważ to ty prowadzisz tę akcję, wydaje się oczywiste, że bierze w niej udział Dillon.

– Naturalnie.

– W takim razie niech Bóg ma w opiece Brendana Murphy'ego.

Ferguson odłożył słuchawkę i odwrócił się do Hannah Bernstein, która przysłuchiwała się rozmowie.

– Słyszałaś? Murphy i spółka jadą do Kilbegu.

– Myślę, że powinniśmy powiadomić o tym Dillona, brygadierze. Być może będzie to miało wpływ na jego plany.

– Nie sądzę, żeby je zmienił. Znasz go. Tak czy inaczej, zaatakuje jutro w nocy. Bez względu na to, czy Murphy tam jest, czy go nie ma. Jak w filmie wojennym trzeciej kategorii.

– Wiem, brygadierze. Jest w nim pragnienie śmierci.

– Dlaczego?

– Bóg jeden wie.

– Naprawdę się pani na niego uwzięła.

– Myli się pan, brygadierze. Właściwie bardzo go lubię. Przypomina mi Liama Devlina: połączenie uczonego, aktora, poety i bezwzględного zabójcy.

– Zupełnie jak sir Walter Raleigh – mruknął Ferguson. – Swoją drogą życie jest bardzo deprymujące.

Dillon i Billy przyjechali do portu nieoznakowanym samochodem RAF-u w towarzystwie dwóch sierżantów o nazwiskach Smith i Brian.

– Sprawdziłem już wcześniej – poinformował ich sierżant Brian. – „Highlander” stoi sto jardów od brzegu.

– Nie robi zbyt imponującego wrażenia – stwierdził Billy.

– Niech pana nie zmylą pozory. Ma dwie śruby, sonar, radar i automatycznego pilota. Wyciąga dwadzieścia pięć węzłów.

– Świetnie. Wobec tego zabieramy się do roboty – powiedział Dillon.

– W porządku. Mamy tu łódź wielorybniczą do przewiezienia waszego sprzętu.

Czterdzieści minut później cały sprzęt znalazł się na pokładzie i statek był gotów do wypłynięcia.

– Macie tu ponton z niezłym silnikiem – zauważył Brian i dodał:

– Wracamy na brzeg.

– Dzięki za dobrą robotę – pożegnał ich Dillon.

Dwaj sierzanci odpłynęli swoją łodzią, a chwilę później zaterkotał telefon komórkowy Dillona. Dzwoniła Hannah Bernstein, która chciała poinformować go o najnowszej sytuacji w Kilbegu.

– Czy obecność Murphy’ego sprawi ci jakieś kłopoty?

– Tylko jeśli nie uda mi się go zastrzelić. Jak się czuje Blake?

– Nadal leży.

– Lepiej niech pozostanie w tej pozycji. Do zobaczenia jutro.

Oban był spowity mgłą. Mżyło i niskie chmury zasłaniały wierzchołki gór, a za Kerrera wody Zatoki Lorn wyglądały na wzburzone.

– I to ma być Szkocja? – zdziwił się Billy. – Paskudne miejsce. Dlaczego ktoś chciałby przyjeżdżać tu na wakacje?

– Nie mów tego w biurze turystycznym, bo cię zlinczują, Billy. Mamy mnóstwo roboty. Później możemy zejść na brzeg i coś zjeść.

Dillon rozłożył sprzęt do nurkowania w kabinie na rufie.

– Nie muszę ci niczego objaśniać, bo jesteś ekspertem, jednak przyjrzyjmy się bliżej broni. – Razem wyjęli z torby i położyli na stole walthery, semteks, uzi oraz granaty ogłuszające. – Walther jest dość prosty w obsłudze, ale udzielę ci krótkiego kursu posługiwania się uzi.

Nauka zajęła im pół godziny. Następnie Dillon wziął jednego

walthera i ruszył z nim do sterówki. Przy tablicy instrumentów znajdowała się z boku mała klapka, a pod nią schowek na bezpieczniki. Dillon otworzył go, odbezpieczył broń, schował ją do schowka i zatrzasnął klapkę.

– Jest gotów do strzału i ma w magazynku dziesięć kul, Billy. Pamiętaj, że go tu schowałem. To jest coś, co nazywa się asem w rękawie.

– Zawsze zabezpieczasz się na każdą ewentualność, prawda?

– Dlatego wciąż jeszcze chodzę po tym świecie – stwierdził Dillon. – Teraz możemy coś zjeść.

Przed zejściem z pokładu zapalili światła pozycyjne i podплыnęli pontonem do nabrzeża. W pobliżu był pub, w którym podawano gorące dania. Weszli do środka, zerknęli do karty i wybrali placek z rybą.

Dillon zamówił bushmills, ale Billy pokręcił głową.

– Ja dziękuję. Nigdy nie lubiłem gorzały, Dillon. Musi być coś ze mną nie w porządku.

– O większości życiowych spraw można przeczytać w Biblii. I cóż mówi na ten temat dobra księga? „Wino – to szyderca, mocny trunek – to wrzaskliwa kłótnia”.¹ Co powiedziawszy – dodał z uśmiechem Dillon – wypiję tę szklaneczkę i zamówię następną.

Kiedy wrócili na pokład „Highlandera”, zaczęło padać mocniej. Usiedli obaj na rufie pod daszkiem i Dillon opowiedział Billy’emu całą historię, poczynając od śmierci Katherine Johnson w Nowym Jorku aż po Al Shariz.

– Ci mafiosi to kutasy – stwierdził Billy – a Murphy wcale nie jest od nich lepszy.

– To mniej więcej podsumowuje sprawę.

– Więc dobierzemy im się do skóry?

– Mam nadzieję.

Deszcz bębnił o płócienny daszek. Dillon nalał sobie kolejną whisky.

– Słuchaj, wiem coś niecoś na twój temat – odezwał się Billy. – Jesteś tym twardzielem z IRA, który zmienił front. Ale za każdym razem, kiedy pytam wujka, jak do tego doszło, nabiera wody w usta. Co to była

za historia?

Może sprawił to siąpiący deszcz, a może wypita whisky, ale zamiast zgromić Billy'ego spojrzeniem i kazać mu pilnować własnego nosa, Dillon nabrał ochoty do zwierzeń.

– Urodziłem się w Ulsterze, matka zmarła przy moim porodzie... ciężko się żyje z taką świadomością. Ojciec zabrał mnie do Londynu. Był dobrym człowiekiem. Budował domy. Posłał mnie do szkoły St Paul.

– Myślałem, że to szkoła dla wysoko urodzonych.

– Nie, Billy, to szkoła dla tych, co mają łeb nie od parady. Tak czy inaczej, polubiłem aktorstwo. Poszedłem do Królewskiej Akademii. Już po roku dostałem angaż w Teatrze Narodowym. Miałem dopiero dziewiętnaście lat. Tymczasem ojciec wrócił do Belfastu i zginął w strzelaninie między IRA i brytyjskimi spadochroniarzami.

– Jezu, to okropne.

Dillon nalał sobie kolejną whisky i, siedząc pod daszkiem, spoglądał we własną przeszłość.

– Byłem cholernie dobrym aktorem, Billy, ale wróciłem do Belfastu i wstąpiłem do IRA.

– To zrozumiałe, zabili ci przecież starego.

– Właśnie. Poza tym miałem dziewiętnaście lat. Wszyscy oni mieli nie więcej niż dziewiętnaście lat, tak jak ty, Billy. IRA wysyłała ludzi do obozów w Libii. Pojechałem na szkolenie. Trwało trzy miesiące i nie było rodzaju broni, którego bym nie poznał na wylot. Potrzebna ci była bomba, mogłem ci zrobić bombę, jaką tylko chciałeś. Ale tego akurat nigdy nie lubiłem – dodał Dillon po krótkim wahaniu. – Zabijanie przechodniów, kobiet, dzieci... to nie jest wojna.

– Tak to widziałeś, jako wojnę?

– Owszem, przez dłuższy czas. Potem poszedłem krok dalej. Stałem się zawodowym żołnierzem i zacząłem sprzedawać swoje usługi. ETA w Hiszpanii, Arabom, Palestyńczykom, a także Izraelczykom. Opowiadałem ci o akcji, jaką przeprowadziliśmy w Libanie, wysadzając statek z bronią dla Saddama. To zabawne, ale jeszcze w dziewięćdziesiątym pierwszym dla niego pracowałem.

– Jak to?

– Podczas wojny w Zatoce. To ja uczestniczyłem w ataku mózdzierzowym na Downing Street podczas śnieżycy. Nie możesz tego pamiętać.

– Cholernie dobrze pamiętam. Czytałem o tym artykuły. Podjechali fordem transitem, a potem facet na motorze zabrał zamachowca.

– To byłem ja.

– Dillon, ty sukinsynu! O mało nie załatwiłeś premiera i całego gabinetu.

– Tak, o mało, ale niezupełnie. Zarobiłem na tym kupę szmalu. Wciąż jestem bogaty, jeśli cię to interesuje. Później wpadłem w kłopoty w Bośni. Stałem już przed serbskim plutonem egzekucyjnym, kiedy pojawił się Ferguson i uratował mój żaloszny tyłek. W zamian za to zgodziłem się dla niego pracować. Widzisz, Billy? Chciałeś poznać kogoś, kto jest gorszy od najgorszych drani, i oto masz mnie.

W jego słowach zabrzmiał bezbrzeżny smutek.

– Do diabła, czasem życie naprawdę dawało ci w kość – powiedział łagodnie Billy, ku własnemu zaskoczeniu.

– Można tak powiedzieć. Dzieciak, który został aktorem w wieku dziewiętnastu lat, grał dalej swoją rolę w kiepskim filmie, tyle że stał się tymczasem żywą legendą IRA. Pamiętasz te westerny, w których Wyatt Earp zabijał dwudziestu jeden ludzi? Nie mogę ci powiedzieć, jaki jest mój wynik, ale na pewno mam na sumieniu o wiele więcej... – Dillon uśmiechnął się łagodnie. – Zdarza ci się czasem, że jesteś zmęczony? Naprawdę zmęczony?

Billy Salter pokręcił głową.

– Słuchaj, Dillon, powinieneś chyba się przespać.

– To prawda. Nie na wiele się to zda, kiedy człowiek nie może zasnąć, ale nie zaszkodzi spróbować.

– Spróbuj.

Dillon wstał.

– Problem polega na tym, że nie zależy mi już, czy będę żył, czy zginę, a to niedobrze, kiedy człowiek pracuje w tej branży.

– Tym razem masz mnie, więc po prostu idź do łóżka.

Dillon zszedł po schodkach do kabiny, a Billy został na górze, słuchając kapania deszczu i zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Nikogo jeszcze nie polubił tak jak Dillona i nigdy nikogo tak nie podziwiał, może z wyjątkiem swojego wuja. Zapalił papierosa i nagle uświadomił sobie, co ich łączyło. Jego wuj był gangsterem, łotrem spod ciemnej gwiazdy, jak mawiano w Londynie, ale były rzeczy, których nigdy by nie zrobił.

O Dillonie można było powiedzieć to samo.

Popatrzył z niechęcią na butelkę bushmills.

– Niech cię diabli – mruknął, po czym wyrzucił ją razem ze szklanką za burłę.

Przez jakiś czas siedział na deszczu, a potem przypomniał sobie o książce, którą zwędził u fryzjera, więc wyjął ją z kieszeni i otworzył na chybił trafił. Fragment dotyczył niejakiego Olivera Wendella Holmesa, słynnego amerykańskiego sędziego, który służył w randze oficera podczas wojny secesyjnej. „Kiedy mamy dwie grupy ludzi – przeczytał – którzy chcą stworzyć dwa nieprzystające do siebie światy, nie widzę innego wyjścia jak przemoc. Wydaje się, że każde społeczeństwo opiera się na ludzkiej śmierci...”

Zastygł w bezruchu.

– Jezu, to chyba wyjaśnia, kim jest Dillon – szepnął, po czym zaczął czytać dalej.

Obudził się rankiem w kabinie na rufie i, leżąc na koi, usłyszał głośny krzyk. Zerwał z siebie koc i pobiegł na pokład w samych szortach. Wciąż lał deszcz i cały port schowany był we mgle. Kiedy wyrzał za burłę, w odległości kilku jardów wynurzył się z wody Dillon.

– Wskakuj, woda jest wspaniała! – zawołał.

– Chyba upadłeś na głowę – odparł Billy, a potem krzyknął: – Chryste, uważaj! Za tobą!

Dillon odwrócił się.

– To foki, Billy. Nie zrobią mi nic złego. Są inteligentne i ciekawe. Jest ich tutaj bardzo dużo.

Podpłynął do drabinki i wspinał się po niej w ociekających wodą szortach. Na stoliku pod daszkiem leżał ręcznik. Dillon wziął go do ręki.

– Co za cholerne miejsce – mruknął Billy, omiatając wzrokiem horyzont. – Czy tu zawsze tak leje?

– Sześć dni w tygodniu. Nieważne. Ubierz się, to popłyniemy pontonem do tego pubu. Zamówimy całodzienne śniadanie, zupełnie jak w Londynie.

– W tej kwestii w pełni cię popieram.

Hannah Bernstein odwiedziła klinikę Rosadene o wpół do dziesiątej rano i zastała Marthę w recepcji.

– Jak on się czuje? – zapytała.

– Nieszczególnie. Kula przeorała tkankę bardzo głęboko. Myśleliśmy o dwudziestu szwach, a skończyło się na trzydziestu. Nie wiem, co takiego szykujecie, ale on nie jest w stanie nigdzie iść. W tej chwili bada go profesor. Pójdę tam i postaram się dowiedzieć czegoś więcej.

Hannah poczęstowała się kawą z automatu i sączyła ją, kiedy pojawił się Daz.

– Niech mi pani powie, co się tutaj dzieje – zażądał. – Blake jest półprzytomny, ale bez przerwy powtarza, że ma ważną misję do spełnienia. Zakładam, że rozumie przez to sprawy, którymi zajmujecie się zwykle z Dillonem i brygadierem.

– Zgadza się, ale tym razem akcja jest tak trudna, że nie ma mowy, by mógł wziąć w niej udział. Dillon poradzi sobie sam.

– Nikt w to nie wątpi. Czego więc pani ode mnie oczekuje?

– Wiem, że to zabrzmiało nieetycznie, ale czy mógłby mu pan zaordynować środki nasenne?

– Hmm... To może być rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. – Daz obrócił się do Marthy. – Pacjent naprawdę potrzebuje snu. Wiesz, co mu

podać. Jeśli chce pani z nim porozmawiać – powiedział z uśmiechem do Hannah – lepiej zrobić to w tej chwili.

Oparty o poduszki Blake wyglądał fatalnie: miał wymizerowaną twarz i zabandażowane ramię. Hannah pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Okropnie. Muszę trochę odpocząć. Za parę godzin poczuję się znacznie lepiej. Kiedy wyjeżdżamy?

– Po południu, ale teraz się tym nie przejmuj.

– Chryste, okropnie mnie boli.

Czekająca z tyłu Martha podeszła ze szklanką wody i kilkoma pastylkami w plastikowym kubeczku.

– Proszę to połknąć – powiedziała.

– Co to jest?

– Tabletki przeciwbólowe. Wkrótce poczuje się pan znacznie lepiej.

Hannah wzięła Blake'a za rękę, która powoli rozluźniła się i wysunęła z jej dłoni.

– Już działa – szepnęła Martha. – Będzie teraz spał przez wiele godzin.

Wychodząc, znalazły w recepcji Daza, który podpisywał jakieś listy.

– Wszystko w porządku? – zapytał, podnosząc wzrok.

– Jest w drodze do krainy snów – odparła Martha.

– To dobrze. Muszę już iść. Mam wyznaczoną operację w Guy's Hospital. Będzie pani kontrolować sytuację? – zapytał, zwracając się do Hannah.

– Będzie to robił brygadier – odparła Hannah. – Ja jestem potrzebna gdzie indziej. – Pozdrowiła skinieniem głowy Marthę i ruszyła razem z profesorem do wyjścia. – Może pana podwieźć? – zapytała.

– Miałem zamiar złapać taksówkę, ale chętnie skorzystam z okazji.

– Najpierw do Ministerstwa Obrony, a potem tam, gdzie sobie życzy profesor Daz – powiedziała do szofera czekającego na nią w daimlerze.

– Nie znoszę marcowej pogody – stwierdziła. – Ten deszcz działa mi na nerwy.

Daz uśmiechnął się.

– Więc jest aż tak źle? Jak być może pani zauważyła, jestem Hindusem i osobiste wibracje są dla mnie bardzo ważne. Wyczuwam, że znowu wpadła pani po same uszy w kłopoty. Kłopoty, które są specjalnością Dillona.

– Owszem, coś w tym rodzaju.

– Kiedy pani wreszcie zmańdrzeje?

– Cóż... Jestem miłą niezamężną Żydówką, bezdzietną, ale bardzo dobrą w strzelaniu do ludzi.

Daz potrząsnął głową.

– Hannah...

– Nie, niech pan nic nie mówi. Dillon i ja spróbujemy jeszcze raz uratować świat. Chociaż coraz częściej zadaję sobie pytanie po co.

– Co robimy w tej sytuacji? – zapytała Fergusona. – Udział Dillona i Billy'ego Saltera w akcji nie podlega kwestii. Obaj są wykwalifikowanymi nurkami, Dillon zna się poza tym na kierowaniu statkiem. Ale to oznacza, że w pewnym momencie na pokładzie „Highlandera” pozostaną tylko ja i Sean Regan.

– Brakuje wam jednej osoby.

– Właśnie.

Ferguson wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Tego rodzaju tajne operacje najlepiej prowadzić bez udziału oficjalnych sił specjalnych. Dlatego nie przekazałem informacji o bunkrze do SAS. To musi być akcja, której w ogóle nie przeprowadzono.

– Rozumiem, brygadierze. Jednak przydałby się nam na pokładzie ktoś, kto umie posługiwać się bronią, kiedy Dillon i Billy będą robili swoje na brzegu.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Owszem. To ktoś, kto umie bardzo dobrze posługiwać się bronią.

– Kto to taki? – zapytał Ferguson.

Hannah powiedziała mu.

Dillon i Billy siedzieli przy oknie w pubie, kończąc wyśmienite szkockie śniadanie składające się z wędzonych śledzi, bekonu, jajek w koszulkach oraz gorącej herbaty. Nagle zadzwoniła komórka Dillona.

– Blake do niczego się nie nadaje – poinformowała go Hannah.

– Dali mu tabletki na sen. Będzie spał przez kilka godzin.

– Więc przyjeżdżasz tylko ty i Regan?

– Tak, ale mamy drobny problem. Kiedy ty i Billy zejdziecie na ląd, zostanę na łajbie sama z Reganem. Potrzebna jest jeszcze jedna osoba. Mam na myśli kogoś godnego zaufania, kto zna się na tej robocie.

– I kto to ma być? – zapytał Dillon.

Kiedy powiedziała, kogo zaproponowała Fergusonowi, roześmiał się.

– Czemu nie? Nie ma jak zawodowy żołnierz. Kiedy wylatujecie?

– O drugiej. Będziemy w Oban o wpół do piątej.

– Nie mogę się was doczekać – odparł Dillon, po czym schował telefon i uśmiechnął się do Billy'ego. – Będziesz musiał przestrzegać dobrych manier, synu – powiedział.

– Co masz na myśli? – zapytał Billy.

I usłyszał wyjaśnienie.

Ferguson towarzyszył Hannah, która pojechała po Regana do Pine Grove. Zastali więźnia w apartamencie Ropera, który jeszcze raz maglował z nim pewne szczegóły. Asystowali mu Helen Black i Miller.

– Cóż, sądzę, że sukinsyn wreszcie powiedział prawdę. W każdym razie to, co uważa za prawdę – stwierdził Roper.

– Powiedziałem wszystko jak na spowiedzi – zapewnił ich Regan.

– Mam nadzieję – mruknął z chłodnym uśmiechem Ferguson. – Bo jeśli nie, dopilnuję, żebyś trafił na ławę oskarżonych, Regan, i dostał najmniej piętnaście lat. Niech pan go zabierze – polecił Millerowi – i przygotuje do wyjazdu. I proszę mu założyć kajdanki.

Miller wykonał polecenie, a Ferguson spojrzał na Hannah.

– Niech pani mówi, pani komisarz.

– Mamy pewien problem... – oświadczyła Hannah. – W zasadzie pani sierżant Black zna większość faktów, ale proszę mi pozwolić zreasumować. Dziś po południu wypływamy z Oban do hrabstwa Louth. Na pokładzie będzie Dillon, Billy Salter oraz ja, do pilnowania Regana.

Blake nie czuje się najlepiej po zaszcyciu rany postrzałowej, więc brakuje nam jednej osoby.

– Rozumiem – odparła z uśmiechem Helen Black. – Jak szybko mam się spakować?

– Ma pani pół godziny.

– W takim razie powinnam się chyba pospieszyć – stwierdziła i natychmiast wyszła z pokoju.

Hannah wyprowadziła Regana z budynku i posadziła go w daimlerze na jednym z dodatkowych rozkładanych siedzeń. Kierowca włożył torby do bagażnika, a Ferguson zatrzymał się u szczytu schodów razem z ubraną w jednoczęściowy kombinezon khaki sierżant Black. Przez chwilę byli sami.

– Dziękuję ci, Helen – powiedział brygadier.

– Tony stacjonuje teraz w Bośni. Królewska kawaleria ma tam dwa szwadrony.

– Wiem, kochanie.

– Nie ma potrzeby go niepokoić, ale gdyby coś poszło nie tak, dopilnuj, żeby się dowiedział.

– Moja droga... – Ferguson pocałował ją w policzek. – Po prostu zawierz Seanowi Dillonowi. To łajdak pierwszej wody, ale, na Boga, w tym, co robi, jest bardzo dobry.

– Nie musisz mi tego mówić, po tych wszystkich latach, które spędziłam w Ulsterze. Do zobaczenia, Charles, i dziękuję za zaproszenie do udziału w imprezie.

Na Farley Field czekał już na nich gulfstream. Madoc załadował bagaż i zaprosił ich do środka. Kiedy na pokład weszli Parry i Lacey, Hannah dokonała prezentacji.

– Mamy lekki czołowy wiatr – oznajmił Lacey. – Lot trwa normalnie

godzinę i czterdzieści pięć minut, ale może się przedłużyć do dwóch godzin.

Po krótkiej chwili zahuczały silniki i samolot ruszył z miejsca. Zaraz po starcie poszli stromo w górę.

Regan wyciągnął przed siebie skute kajdankami ręce.

– Możecie mi zdjąć te obrączki? – zapytał. – I tak nigdzie się stąd nie wybieram.

Helen Black roześmiała się.

– To prawda – przyznała, po czym wyjęła kluczyk i rozkuła go.

W kabinie pasażerskiej pojawił się Madoc.

– Czas na herbatę – oznajmił.

– Świetny pomysł – stwierdziła Hannah.

– Osobiście wolałbym irlandzką whiskey – mruknął Regan.

Madoc spojrział na Hannah, która skinęła głową.

– Niech pan mu da, czego chce – powiedziała.

– Znowu tam wracam – stwierdziła Helen Black. – Na pierwszą linię frontu.

– Jezu, Dillon – jęknął Billy, gdy wracali pontonem na pokład „Highlandera”. – Nie tylko dwie baby, ale w dodatku obie policjantki.

– Owszem, jedna z wydziału specjalnego Scotland Yardu, a druga z Królewskiej Żandarmerii. Ale pamiętaj o jednym, Billy: i jedna, i druga sprzątnęła w trakcie służby niejednego drania. Obie znają się na swojej robocie.

– W co ja wdepnąłem?

– Jak powiedział Heidegger, którego sam mi cytowałeś, życie jest czynem i pasją...

– W porządku – przerwał mu Billy. – Wobec tego przygotuj się na bohaterskie czyny i wielkie emocje.

– Zobaczysz, że ci się spodoba, Billy – powiedział Dillon, chwytając wiszącą z boku „Highlandera” drabinę.

Deszcz nie przestawał padać. Billy zwijał właśnie linę pod daszkiem, kiedy z tyłu dobiegł go czyjś okrzyk.

– Ahoj, na „Highlanderze”!

Hannah, Helen Black i Regan stali na nabrzeżu obok range rovera. Kierowca był ubrany po cywilnemu, ale z całą pewnością służył w RAF-ie.

– Już tu są, Sean! – zawołał Billy w dół schodów.

Dillon wyszedł na pokład i spojrzał na brzeg.

– Doskonale. Popłynę po nich.

– Wszystko w porządku? – zapytała Hannah, kiedy ponton dobił do kamiennych schodków.

– Jak najbardziej. Dajcie bagaż.

Nowo przybyli mieli tylko trzy torby. Kierowca zniósł je na dół, a potem po schodkach zszedł Regan.

– Zupełnie jak w obozie pracy w Georgii – poskarżył się, pokazując Dillonowi skute ponownie kajdankami dłonie.

Ten jednak nie wzruszył się tym zbytnio.

– Zaslugujesz na to, żeby tam trafić, gnojku – odparł i popchnął go do pontonu. – Siadaj tam dalej. Pani sierżant, pani komisarz – zwrócił się do kobiet. – Zapraszam na nocną przejażdżkę szybką łodzią. Czeka nas wiele atrakcji i emocji.

– Brzmi zachęcająco – mruknęła Helen Black. – Nie mogę się

doczekać.

Podpłynawszy do „Highlandera”, Dillon najpierw podał bagaż Billy’emu, a potem Helen i Hannah wdrapały się na pokład. Hannah rozejrzała się po statku.

– Mój Boże, wygląda to dość ubogo – stwierdziła.

– Wszystko jest tu w znakomitym stanie, nie martwcie się – odparł Dillon. – Rozgośćcie się, przykucicie Regana w głównej kabinie i wypływamy. Pamiętaj, że znalazłeś się z powrotem w świecie starych filmów – uprzedził więźnia. – Jeden fałszywy ruch i jesteś martwy.

– Daj spokój, Dillon, przecież i tak mnie zabijesz.

– Nie zrobisz tego, jeśli będziesz grzeczny.

Zostawiwszy Regana w salonie, obie panie zajęły kabinę na rufie i Dillon przygotował statek do wyjścia w morze. Potem poprosił Billy’ego, Hannah i Helen do sterówki i pokazał im tablicę przyrządów oraz schowanego w skrytce obok steru walthera.

– To na wszelki wypadek – wyjaśnił.

Fale przelewały się przez falochron i „Highlander” zaczął się kołysać na boki.

– Jezu, fatalnie się czuję – jęknął Billy, po czym wybiegł na pokład i z wymiotował za burzę.

Dillon ruszył za nim, wyjął z kieszeni kurtki plastikowy słoiczek, wysypał z niego kilka tabletek i podał mu je.

– Połknij to, Billy. Na pewno poczujesz się lepiej.

– Troskliwość i opiekuńczość ze strony wielkiego Seana Dillona? – zdziwiła się Hannah, która wyszła za nimi.

Dillon uśmiechnął się.

– Słowa nie zdołają mnie urazić, Hannah. Jeśli chcemy dotrzeć tam zgodnie z planem, musimy już wypływać, więc na razie mam na głowie inne sprawy. Plan ataku omówimy później. Siła wiatru wynosi teraz od pięciu do sześciu w skali Beauforta, ale potem powinno się uspokoić.

Wypłynęli o trzeciej po południu. Statek pruł dziobem rozkołysane wody. Dillon stał sam przy sterze. Po jakimś czasie do sterówki weszła Helen Black z kubkiem w dłoni.

– Przyniosłam herbatę – powiedziała. – Słyszałam, że to pana ulubiony napój.

– Dzielna z pani kobieta.

– Ja też jestem w jakiejś części Irlandką. Od strony ojca mojej matki. Wygląda na to, że mimo trzydziestu lat wojny jesteśmy ze sobą nierozzerwalnie związani.

– Osiem milionów Irlandczyków mieszka w Wielkiej Brytanii, pani sierżant, a ludność całej republiki wynosi tylko trzy i pół miliona. To nie lada zagadka.

– Pan i pani komisarz to też zagadka.

– Hannah to twarda kobieta, bardzo pryncypialna. Trudno jej zaakceptować moją niegodziwą przeszłość. Pani, dla odmiany, doskonale ją rozumie. Szliśmy tą samą drogą, tyle że w odwrotnych kierunkach.

– Na tym właśnie polega problem, prawda? – powiedziała Helen i wyszła ze sterówki.

Po godzinie pojawił się Billy z kolejnym kubkiem herbaty.

– Dobrze się czujesz, Dillon?

– Czuję się świetnie, ale co z tobą?

– Tabletki zadziałały. Gorzej jest z Reganem. Lepiej też mu je daj.

Dillon wręczył mu słoiczek.

– Zajmij się nim i daj mi znać, jak się czuje.

Billy wrócił po półgodzinie.

– Leży jak kłoda. Tabletki chyba poskutkowały.

– To dobrze.

– Myślałem o tym skoku na White Diamond Company...

– Mów.

Dillon włączył automatycznego pilota i zapalił papierosa.

– Otworzyli to zakratowane wejście i wiemy, że tunel prowadzi prosto do podziemi St Richard's Dock. Do rozbicia starych ceglanych ścian wystarczy porządny młot.

– Więc w czym problem?

– Jak dostaną się do skarbcza? Nadal nie wiem, jak chcą pokonać

elektroniczne systemy zabezpieczeń.

– Ja też tego nie wiem. Jednak musi być jakiś sposób. To tak jak z komputerami, Billy. One też są supernowoczesne, ale jeśli potrafisz wejść do środka, jeśli masz dostęp do akt, wtedy wszystko stoi przed tobą otworem. – Dillon uśmiechnął się. – Nie martw się. Zajmują się tym Harry i Roper. Na pewno coś wymyślą. A ja w tej chwili koncentruję się na Kilbegu i na tym, żeby przywieźć cię z powrotem do Dark Man w jednym kawałku. Jeśli tego nie zrobię, Harry z pewnością zażąda wyjaśnień.

– Daj spokój, Dillon. Sam odpowiadam za siebie.

– Pora, żeby powiedzieć ci prawdę, Billy. Ponieważ nie ma z nami Blake'a, to ty pójdziesz ze mną do bunkra. Jak ci się to podoba?

– Bardzo. – Billy uśmiechnął się. – Nigdy nie czułem się lepiej. Jestem z tobą, Dillon, na dobre i na złe.

Kiedy wczesnym wieczorem Hannah otworzyła drzwi sterówki, Dillon poczuł zapach grzanek z bekonem.

– Mam również herbatę – powiedziała.

– Czy to wypada, żeby miła żydowska dziewczyna karmiła mnie świńskim mięsem?

Hannah zignorowała jego uwagę.

– Gdzie jesteśmy?

– Na wschód od Islay. Pogoda szkwałowa.

– Czy mam przejąć ster?

– Nie trzeba. Nastawię automatycznego pilota – odparł, po czym sprawdził kurs, zablokował ster i zaatakował sandwicze.

– Pycha. Są jakieś wiadomości z Londynu?

– Nie.

Dillon skończył jeść i wypił duszkiem herbatę.

– Dziękuję, kochanie.

– Naprawdę uważam, że powinienesz położyć się na kilka godzin. Ja stanę za sterem.

– Do diabła, przecież kobiety nie znają się na łodziach.

Drzwi sterówki otworzyły się i do środka weszła Helen Black.

– Niech pan nie będzie męską szowinistyczną świnią, panie Dillon. Nie wiem, jak pani komisarz, ale ja z pewnością znam się na łodziach. Razem z mężem dużo żeglowaliśmy dla przyjemności, więc niech pan idzie odpocząć. Czeka pana ciężka noc.

Dillon podniósł w górę rękę.

– Poddaję się, sterroryzowany przez regiment kobiet. Statek jest w waszych rękach, moje panie – oznajmił i zszedł na dół.

Hannah wyszła razem z nim, a w sterówce została Helen Black. Czując pod palcami miły dotyk steru i zwiększając szybkość, żeby uciec przed idącym ze wschodu sztormem, pomyślała o swoim mężu, służącym w bośniackim piekle. Tony’ego bolało, że zdarzali się ludzie, którzy uważali ich za ołowianych żołnierzyków, ponieważ kawalerzyści byli przybocznym oddziałem królowej i jeździli po Londynie w napierśnikach i hełmach. W rzeczywistości brali udział w ekspedycji na Falklandy, w wojnie w Zatoce, w Irlandii i wielu innych paskudnych miejscach.

Problem, z którym zmagala się Helen, polegał na tym, że była równocześnie kobietą i żołnierzem oraz że służba w wojsku bardzo jej odpowiadała. Dillon co prawda też był żołnierzem. Właściwie nawet go polubiła, chociaż należał kiedyś do jej najgorszych wrogów.

W zapadającym zmroku zobaczyła kontur irlandzkiego promu z zapalonymi czerwonymi i zielonymi światłami nawigacyjnymi. Zmieniła, kurs o kilka stopni, a potem zwiększyła prędkość, umykając przed coraz większymi falami.

Wkrótce zrobiło się ciemno i tylko woda połyskiwała słabo w mroku. Drzwi sterówki otworzyły się i do środka wszedł Dillon.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał.

– Morze jest trochę wzburzone – odparła Helen.

Dillon włączył radio, złapał kanał pogodowy i przez chwilę słuchał prognozy.

– W porządku – mruknął w końcu. – Wiatr wkrótce osłabnie. Może

zejdzie pani na dół napić się kawy? Ja tu trochę jeszcze posiedzę, a potem nastawię automatycznego pilota i omówimy to, co mamy zamiar zrobić. Za godzinę, najdalej półtorej, dotrzemy do wybrzeży hrabstwa Louth.

Helen kiwnęła głową i zeszła do kabiny.

Pół godziny później Murphy, Kelly, Conolly i Timolty dojechali do Kilbegu i zatrzymali się przed gospodą Patriot. Murphy wysiadł pierwszy i pobiegł w ulewnym deszczu do drzwi.

Patriot był typowym irlandzkim pubem z kontuarem, piwnymi kranami i polanami płonącymi w kominku. Przy ogniu siedziało tylko trzech starszych mężczyzn, a za barem stał właściciel, Fergus Sullivan.

– Brendan, jak miło cię widzieć! – zawołał.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Straszne tu u ciebie pustki – stwierdził Brendan.

– Bo jest poniedziałek. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przygotuj łóżka dla mnie i Dermota. Mamy teraz coś do załatwienia. Napijemy się po jednym i wrócimy później.

Sullivan nalał cztery whiskey i piątą dla siebie.

– Za IRA!

– Na pohybel Anglikom! – wznosił toast Murphy.

Kiedy już znaleźli się na terenie obracającego się w ruinę starodawnego opactwa Kilbeg, weszli do obszernej sali i zbliżyli się do ciemnych dębowych drzwi obitych żelazem, które wyglądały, jakby umieszczono je tutaj przed wiekami. W rzeczywistości stanowiły nowoczesną replikę wzmocnioną stalową płytą. Murphy wyjął z kieszeni nadajnik i nacisnął przycisk. W głośniku coś zamruczało.

– Tu Murphy – powiedział. – Sezamie, otwórz się.

Po kilku sekundach jedno skrzydło drzwi uchyliło się. Murphy i Kelly weszli do krótkiego tunelu i zbiegli w dół po betonowych schodkach.

W środku paliły się elektryczne lampy. Otworzyły się kolejne drzwi i znaleźli się w pomalowanym na biało betonowym korytarzu, prowadzącym do głównej części bunkra.

Czekali tam na nich dwaj mężczyźni: Liam Brosnan, wysoki, silnie zbudowany, z włosami do ramion, oraz, stanowiący jego całkowite przeciwieństwo, niski i rudy Martin O'Neill. Jedyne, co ich łączyło, to przewieszane przez ramię karabiny AK47.

– Trzeba przyznać, że jesteście czujni – mruknął Murphy. – Jakies problemy?

– Tylko jeden, Brendan – odparł Brosnan. – Na dole, przy wyjściu awaryjnym, stoi woda. Sięga jednej stopy.

– Pokaż mi to.

Brosnan i O'Neill ruszyli przodem, Murphy i Kelly podążyli za nimi. Na dole było ciemno i zimno.

– Dlaczego nie ma tutaj ogrzewania ani światła? – zapytał Murphy.

– Nie wiem, Brendan. W pozostałej części bunkra wszystko działa, ale ta część, pod starą farmą, jest podłączona do innego systemu, i woda musiała zalać kable.

– To przez ten deszcz – mruknął O'Neill. – Od dwóch tygodni leje jak z cebra.

– Widzę, że to przez deszcz, ty ciotku – zniecierpliwiał się Murphy.

– Ale jeśli nie ma prądu, nie działa też zamek przy drzwiach. Nie ma tam żadnych krat. Nie były konieczne, kiedy działała elektroniczna zasowa.

– Obwiązałem klamki łańcuchem i zamknąłem go na kłódkę – powiedział Brosnan. – Czekałem na ciebie. Wiedziałem, że coś wymyślisz.

– I nie pomyliłeś się. W Dundalk mieszka taki jeden, nazywa się Patterson. Buduje modne letnie domki. Zna się na swojej robocie.

– Wiem, o kim mówisz.

– Zadzwoń do niego i powiesz, żeby jutro o wpół do dziewiątej spotkał się ze mną na śniadaniu w Patriot. Wyjaśnij, że chodzi o zalanie, i powiedz, że oczekuję od niego cudów. Zajmie się tym albo oberwie

kulkę w lewe kolano.

Ruszyli z powrotem, mijając zmagazynowaną broń: ustawione w rzędzie moździerze, pociski raketowe, ciężkie karabiny maszynowe, AK47 i armalites oraz skrzynie semteksu.

Murphy zapalił papierosa.

– Spójrz na to, Dermot – powiedział do Kelly’ego. – Cały ten arsenał czeka na odpowiedni moment, a te stare baby w Londynie gładzą o pokoju.

– Masz rację, Brendan.

– Nasz dzień jeszcze nadejdzie – stwierdził Murphy. – Zajrzę tylko do biura – dodał. Niewielkie funkcjonalne biuro, z szafkami na akta, biurkiem oraz komputerem mieściło się w końcu korytarza. – Zaczekajcie tutaj – powiedział Brosnanowi i O’Neillowi.

Kiedy Kelly zamknął drzwi, Murphy ukląkł za biurkiem i uniósł skraj dywanu. W betonową podłogę wpuszczony był staroświecki sejf z pojedynczym zamkiem. Murphy pomacał palcami pod biurkiem, znalazł przymocowany do magnesu kluczyk i otworzył drzwiczki.

W środku były paczki z walutą, funtami i dolarami w przezroczystych plastikowych torebkach. Murphy wziął kilka z nich do ręki.

– Myślisz, że to tylko gotówka, Dermot? – zapytał. – Nie, to jest władza. Mając pieniądze, możemy zrobić wszystko. A mamy tu prawie trzy miliony.

– Ale co z Foxem, Brendan? Wiesz, o co mi chodzi. Ile mu jesteś winien?

– Mam w dupie Foxa. Widziałeś, co się stało w Al Shariz? Totalne fiasko, a wszystko przez niego. To musiało się tak skończyć. W jaki sposób Izraelczycy nas namierzili? Na pewno nie przeze mnie.

– Więc nie masz zamiaru zapłacić mu tego, co jesteś winien?

– W żadnym wypadku.

Murphy zamknął sejf i zakrył go z powrotem dywanem.

– A jeśli będzie nam robił kłopoty? – zapytał Dermot.

Murphy roześmiał się.

– Mafia ma mi robić kłopoty? Tu jest Irlandia, jedyne miejsce na ziemi, gdzie nie mają nic do gadania. To do nas należy tutaj władza, do ciebie i do mnie, więc nie przejmuj się. A teraz pójdziemy obalić butelkę i zjeść przyzwoitą kolację w Patriot.

Siedząc przy stole w głównej kabinie „Highlandera”, wpatrywali się w mapę o dużej podziałce.

– To wioska Kilbeg – powiedział Dillon. – Opactwo, pod którym znajduje się bunkier, jest ćwierć mili na wschód od niej. Tutaj, gdzie mamy zaznaczone ruiny starej farmy, jest według Seana wyjście awaryjne. – Mówiąc to, zmierzył wzrokiem Regana, który siedział na ławce, skuty kajdankami. – Zgadza się, Sean?

– Idź do diabła – burknął więzień.

– Więc jak ma pan zamiar to rozegrać? – zapytała Helen Black.

– Według Regana w bunkrze przebywa tylko dwóch strażników. Chcę to załatwić bardzo szybko. Wysadzę drzwi przy starej farmie, wejdę do środka, pozbędę się strażników i zdetonuję czasowym zapalnikiem stufuntowy blok semteksu. To będzie prawdziwa Noc Fajerwerków.

– Którą, jeśli mnie pamięć nie myli, obchodzimy, by uczcić nieudaną próbę wysadzenia parlamentu przez Guya Fawkesa – stwierdziła Hannah Bernstein.

– Ta próba na pewno będzie udana – zapewnił ją Dillon.

– A co ja będę robił? – zapytał Billy.

– Będziesz mnie osłaniał – odparł Dillon. – Pilnował wyjścia, kiedy wejdę do środka.

– Wspaniale. Więc będę tam sterczał jak grzyb.

– Nie wygłupiaj się, Billy. Jesteś mi potrzebny na czatach.

– Jak tam dotrzemy? – zapytała Helen Black.

– W pobliżu jest przystań, która obsługiwała kiedyś stary kamieniołom. Zawijają tam czasem jachty i według Ropera zarzucają zwykle kotwicę w zatoce. Podpłyniemy do samego pirsu. Pani stanie za

sterem, a ja i Billy założymy skafandry nurków. Wyładujemy sprzęt do nurkowania na brzeg na wypadek, gdybyśmy musieli go użyć w drodze powrotnej. Pani odpłynie jakieś sto jardów od brzegu i zarzuci kotwicę.

– Dobrze – odparła Helen.

– Zabierzemy nadajniki radiowe, więc będziemy z wami w stałym kontakcie. Farma położona jest jakieś ćwierć mili od brzegu. To będzie czysta i szybka robota – powiedział Dillon. – Przy odrobinie szczęścia wezwę was przez radio i zabierzecie nas prosto z pirsu. Nie będziecie musieli nawet zmoczyć palców u nóg – pocieszył Billy’ego.

– To świetnie, bo na dworze jest cholernie zimno.

Dillon odwrócił się do Seana Regana, który siedział z ponurą miną na ławce, trzymając na kolanach skute kajdankami ręce.

– Teraz twoja kolej, synu, Czy jest coś, o czym nam nie powiedziałeś?

– Powiedziałem wszystko, co wiem.

– Ze względu na ciebie mam nadzieję, że to prawda, bo jeśli nie, pójdiesz na samo dno. I nie jest to żadna metafora. – Dillon odwrócił się do reszty. – Dobrze, kochani, wiemy już, co i jak, więc zabierajmy się do roboty.

Była dziewiąta wieczór, gdy w egipskich ciemnościach wpłynęli cicho do zatoki. Dillon oddał ster Helen Black. Sterowała jedną ręką, w drugiej trzymała noktowizor. Dobijając do pirsu, ledwie go musnęła. Sekundę później Dillon skoczył na brzeg i zawiązał linę wokół pachołka.

– W porządku, Billy, podaj mi sprzęt – polecił.

Billy zmagął się przez chwilę z butlami tlenowymi i innymi przedmiotami. Dillon poukładał je obok siebie na brzegu.

– Dobrze, synu, teraz ty sam.

Billy dołączył do niego.

– Pierwszy raz w Irlandii – stwierdził. – Co za parszywe miejsce.

– To jądro ciemności – przyznał Dillon. – Ruszaj w drogę! – zawołał do Helen Black.

„Highlander” oddalił się od nabrzeża, a Dillon włączył na próbę nadajnik.

– Wciąż mnie pani kocha, pani komisarz? – zapytał.

– Nie wygłupiaj się... Na litość boską, Dillon...

– Wiem, mam uważać na siebie. Walczymy o to, aby ocalić brytyjski styl życia. Irlandzki partyzant i znany londyński gangster. Dlaczego muszą to robić tacy ludzie jak my?

Wyłączył nadajnik, sprawdził uzi i zawiesił go na piersi. Billy zrobił to samo. Dillon sprawdził walthera i Billy ponownie zrobił to samo.

– Znasz odpowiedź? – zapytał, nawiązując do rozmowy Dillona przez radio. – Dlaczego muszą to robić ludzie naszego pokroju?

– Wielki angielski pisarz powiedział kiedyś... jest w tym pewna ironia... że to ludzie o skrajnych zapatrywaniach wykonują wszystkie trudne zadania, przed którymi wzdraga się ogół społeczeństwa. A potem ogół społeczeństwa odwraca się od nich plecami. To się nazywa być żołnierzem.

– Ale ja nie jestem żadnym cholernym żołnierzem!

– Jesteś gangsterem, Billy, a to jest to samo, więc przytknij się i chodź ze mną.

Na polecenie Helen Black Hannah zarzuciła kotwicę. Skuty kajdankami Sean Regan siedział na ławce w kabinie i rozmyślał. Był człowiekiem praktycznym i właśnie dzięki temu przetrwał długie lata walk w Irlandii.

Chociaż starał się nie wpadać w panikę, przerażała go reputacja Dillona, który uchodził za wyjątkowo zimnego drania. Angole posługiwali się nim w sytuacjach, kiedy nie chcieli wytaczać komuś procesu. Jeśli się na ciebie uwzięją, byłeś już martwy.

Regan nie potrafił sobie wyobrazić innego losu niż śmierć w odmętach Morza Irlandzkiego, ale nie zamierzał na nią spokojnie czekać. Przyszedł mu do głowy desperacki plan, więc przystąpił do działania, zanim zdążyły go ogarnąć wątpliwości. Zrzucił tackę z

czajnikiem i filiżankami na podłogę i padł na kolana.

Chwilę później do kabiny zajrzała Hannah.

– Złapał mnie skręt kiszek – jęknął. – To chyba przez te tabletki przeciwko chorobie morskiej.

Hannah przykucnęła i uważnie mu się przyjrzała.

– Jest aż tak źle?

– Muszę do toalety! Szybko, na litość boską, bo zaraz się pobrudzę!

Hannah pomogła mu stanąć na nogi i zaprowadziła do ubikacji. Regan wyciągnął ręce.

– Przecież pani tam ze mną nie wejdzie. A z tymi obrączkami nie zdołam nawet spuścić spodni.

Po krótkim wahaniu Hannah wyjęła kluczyk, rozkuła Regana i wepchnęła go do toalety, po czym stanęła przy ścianie.

Regan usiadł na sedesie, zaczerpnął głęboko powietrza, a potem wstał i gwałtownie otworzył drzwi, uderzając nimi Hannah i przygniatając ją do ściany. Szybko wspiał się po schodkach na pokład, ominął Helen Black, która wybiegła ze sterówki, i przeskoczył przez reling. Od zimnej wody zabrakło mu tchu w płucach, lecz nie bacząc na to, ruszył wplaw do brzegu i po chwili zniknął w ciemności.

Na pokładzie pojawiła się Hannah.

– Cholera, zrobił mnie na szaro – powiedziała. – Dałam się nabrać jak idiotka.

– Wszystkim nam się to czasem zdarza. – Helen Black wzięła do ręki nadajnik. – Słyszysz mnie, Dillon?

Jednak w dolinie nad klifem sygnał był słaby i nie doczekały się odpowiedzi.

Przemarznięty jak jeszcze nigdy w życiu Sean Regan dopłynął do brzegu i natychmiast zaczął biec, wspinając się po stromej ścieżce na szczyt klifu i skręcając w stronę Kilbegu. Piętnaście minut później wpadł do gospody Patriot. Przy barze siedzieli trzej mężczyźni, a wśród nich Conolly i Tomelty.

Regan osunął się na bar. Tomelty złapał go za włosy i podniósł mu głowę do góry.

– Dzięki Bogu, że tu jesteście – wykrztusił Regan. – Mamy kłopoty.

– Powiedz to jemu – mruknął Tomelty.

Regan odwrócił się i zobaczył Murphy'ego, który wstał z ławy przy kominku.

– To ty, Sean? Myślałem, że Angole trzymają cię w Wandsworth. Jak, do diabła, wydostałeś się stamtąd?

Regan uświadomił sobie nagle, że jego też czekają tu spore kłopoty.

– Nieważne, Brendan – powiedział. – Jest tutaj Dillon, Sean Dillon. Chce wysadzić bunkier.

– Naprawdę? – zdziwił się Murphy. – Ale skąd się dowiedział? Czy przypadkiem nie od ciebie?

– Proszę cię, Brendan... Wyciągnęli mnie z Wandsworth. Skatowali jak psa.

– Nie wyglądasz najgorzej – stwierdził Tomelty.

– Przyłynęliśmy statkiem. Zarzucili kotwicę przy starym pirsie. Udało mi się zwiać. Na pokładzie są dwie kobiety, jedna to ta dziwka Bernstein, z Wydziału Specjalnego, druga z żandarmerii wojskowej.

– A Dillon?

– Poszedł wysadzić bunkier z jeszcze jednym facetem. Mają zamiar dostać się tam przez wejście przy starej farmie.

Murphy potrząsnął głową.

– Skąd się o tym wszystkim dowiedzieli? Od ciebie, Sean?

W tym momencie coś zahuczało w oddali. Kelly wybiegł na zewnątrz i po chwili wrócił.

– To w opactwie. Chyba eksplozja. Czy mamy tam iść?

Murphy zaklął.

– Nie, teraz to cholerna strata czasu – stwierdził i pchnął Regana w stronę drzwi. – Wynośmy się stąd. Jedziemy na dół, na przystań.

Kiedy Dillon i Billy dotarli do starej farmy, Helen Black udało się z nimi w końcu połączyć.

– Dillon, na litość boską! – zawołała.

– Co jest?

– Mamy kryzys. Regan uciekł. Wyskoczył za burtę i popłynął do brzegu.

– To niedobrze.

– Wracasz?

– Ani mi się śni. Jesteśmy niedaleko wyjścia przy farmie. Wysadzimy drzwi i zaraz stąd pryskamy.

Helen spojrzała na Hannah.

– Dillon nie chce się wycofać – poinformowała ją. – Wezmę ponton i popłynę na brzeg. Liczy się każda minuta.

– Może powinnam popłynąć z tobą? – zapytała Hannah.

– Nie tym razem.

Dillon zatrzymał się przy drzwiach, wyjął z torby namagnesowany ładunek wybuchowy i przyłożył go do zamka.

– Zostań tutaj i czekaj na mnie, Billy – powiedział i cofnął się kilka kroków.

Wysadzone drzwi przełamały się i wpadły do wewnątrz. Dillon cisnął do środka granat dymny i wbiegł do bunkra. Stojąca w korytarzu woda znacznie zmniejszyła skuteczność granatu, lecz Dillon biegł dalej. Następny granat, ogłuszający, również nie spełnił do końca swego zadania.

– A niech mnie diabli! – mruknął stojący przy wyjściu Billy, po czym złapał mocniej swoje uzi i pobiegł za Dillonem.

Brosnan i O'Neill jedli akurat późną kolację w kantorku. Słyszając wybuch, chwycili pistolety maszynowe i pobiegli do wyjścia. W korytarzu pozostało trochę dymu po pierwszym granacie, a po chwili ogłuszył ich huk drugiego. Z kłębow dymu wyskoczył Dillon. Brosnan

ruszył mu na spotkanie, lecz Dillon był szybszy: kule uzi rzuciły strażnika na ścianę.

Dillon potknął się i przyklęknął na jedno kolano. O'Neill podniósł się w półmroku.

– Teraz cię mam, sukinsynu! – wrzasnął.

Podniósł do strzału AK47, lecz w tym samym momencie z chmury dymu wypadł Billy, prując seriami ze swojego uzi. O'Neill padł posiekany kulami, a Billy, ciężko dysząc, ukląkł na podłodze. Dillon podniósł się na nogi.

– Nie rozklejaj się teraz, Billy. Dobrze się spisałeś.

Otworzył kopnięciem drzwi do biura, po czym wyjął z torby pięć bloków semteksu i umieścił w nich zapalniki. Zostawił jeden na podłodze i wypchnął na zewnątrz Billy'ego.

– Wynosimy się stąd. Trzy minuty.

Rzucając za sobą kolejne ładunki, przebiegł razem z Billym przez bunkier i dotarł do wyjścia. Kiedy gnali w dół po zboczu, powietrzem wstrząsnęły podziemne eksplozje.

W ciągu kilku sekund, które upłynęły od wybuchu, Murphy, Regan, Kelly, Conolly i Tomelty wskoczyli do samochodu i z rykiem silnika wyjechali z wioski. Za kierownicą siedział Tomelty.

– Wyłącz motor i światła – polecił mu Murphy, kiedy znaleźli się na szczycie wzgórza.

Cicho zjechali na dół i zatrzymali się nieopodal pirsu. Siedząca w pontonie Helen Black nic nie usłyszała.

– Ani mru-mru – syknął Murphy. – Ty pójdziesz wzdłuż plaży, Tomelty. A my sprawdzimy pirs. Wszystko w absolutnej ciszy. Zwłaszcza ty masz być cicho – zwrócił się do Regana.

Helen Black usłyszała czyjeś kroki na plaży. Odwróciła się, wyjęła swojego walthera i w tej samej chwili na pirsie błysnęła latarka.

– Znam dobrze Hannah Bernstein i widzę, że to nie ona. Mamy więc chyba do czynienia z panią sierżant. – Murphy zmarszczył brwi. – Czy

nie nazywa się pani czasem Black? Helen Black z Derry?

– Mój Boże, co za pamięć.

– Zejdź na dół, Conolly – rozkazał Murphy – i odbierz jej broń. Ty i Conolly – zwrócił się do Kelly’ego – popłyniecie z nią na statek. Jeśli ta dziwka Bernstein będzie się stawiać, powiedz jej, że zastrzelisz panią sierżant. Ja z Tomeltym zaczekamy tutaj na Dillona.

Ponton odpłynął.

– A co z Reganem? – zapytał Tomelty.

– Ale ze mnie dureń. Zapomniałem. – Murphy odwrócił się do Regana i wyjął z kieszeni browninga z tłumikiem. – Sprzedałeś nas, ty gnoju. Masz szczęście, że brakuje mi czasu, żeby się tobą dłużej zająć.

Tłumik kaszlnął i Regan runął z pirsu do wody.

Hannah Bernstein przyglądała się przez noktowizor podpływającemu do statku pontonowi.

– Wszystko w porządku? – zawołała.

– Mamy tu twoją panią sierżant! – odkrzyknął Kelly. – Trzymam lufę przy jej głowie. Jeśli nie będziesz rozsądna, zaraz ją ukatrupię.

– Nie słuchaj go, Hannah! – wrzasnęła Helen. – Rób, co powinnaś zrobić. Słyszałaś wybuch. Osiągnęliśmy nasz cel. Do diabła z nimi!

Conolly uderzył ją w bok głowy pistoletem i krzyknęła z bólu.

– Ja wcale nie żartuję – oświadczył Kelly.

– Dobrze, poddaję się – odparła Hannah, dając krok do tyłu i przekładając walthera do lewej ręki.

Po chwili Kelly wdrapał się na pokład. W ślad za nim pojawili się Helen Black oraz Conolly, który odebrał Hannah pistolet.

– Grzeczna dziewczynka.

Ubrana w jednoczęściowy kombinezon Black miała na nogach wysokie wojskowe buty. W prawym tkwił colt kaliber 25. Mogła wyciągnąć go w ciemności i zabić obu mężczyzn, ale nie wiedziała, jakie to będzie miało konsekwencje dla Dillona i Billy’ego. Postanowiła, że zaczeka.

Dillon próbował skontaktować się z nią przez radio, jednak bez skutku. Na pokładzie „Highlandera” Kelly uruchomił silniki i podpłynął do pirsu, a Conolly rzucił cumy. Deszcz przestał padać. Dillon i Billy zbiegli ze wzgórza i w słabym świetle księżyca w pierwszej kwadrze zobaczyli, że statek zmienił pozycję.

– Przyplłynęły po nas – szepnęła Billy, z trudem łapiąc oddech.

– Na to wygląda.

Dotarwszy do końca pirsu, spojrzeli na oświetlony pokład i zobaczyli, jak Kelly i Conolly wypychają Hannah i Helen ze sterówki. W plecy obu kobiet wymierzone były pistolety.

Z mroku wyłonił się Murphy razem z Tomelty.

– Oni wcale nie żartują, ty sukinsynu – powiedział Murphy. – Chcesz, żeby zginęły?

– Z całą pewnością nie – odparł Dillon. – Rób, co ci mówi, Billy. Połóż broń na ziemi.

Billy posłuchał i Murphy zapalił papierosa.

– Niech cię szlag, Dillon. Zawsze cię podziwiałem, ale tym razem straciłem przez ciebie forszę.

– Nie ty, ale Jack Fox.

Murphy roześmiał się z niedowierzaniem.

– Mój Boże, więc o to chodzi w tym wszystkim? O osobiste porachunki?

– Nie powinieneś się w to mieszać, Brendan.

– Ty też, Dillon. Teraz ty i twój kolega wejdziecie na pokład, żebyśmy mogli wypłynąć na głębsze wody, gdzie dobiegnie kresu wasza ziemską wędrówka.

Dillon i Billy zeskoczyli na pokład i dołączyli do Helen Black i Hannah. W ślad za nimi na statek weszli Murphy i Tomelty. Kelly stanął za sterem, Conolly dołączył do reszty.

– Szkoda mi takich pięknych pań, ale będę musiał was zlikwidować – powiedział Murphy.

Mówiąc to, patrzył na Hannah. Stojąca obok sterówki Helen Black wyjęła colta z buta i strzeliła Kelly’emu w tył głowy. Statek wykonał

gwałtowny zwrot i wszyscy upadli na pokład. Conolly usiłował wstać, ale Helen podźwignęła się na łokciu i zastrzeliła go, po czym, widząc celującego w nią Murphy'ego, dała nurka do morza. W tej samej chwili Dillon złapał Billy'ego za ramię.

– Za burzę! – krzyknął i pchnął go w ślad za Helen Black.

Kiedy sam próbował wyskoczyć, leżący nadal na pokładzie Tomelty złapał go za nogę i wywrócił.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął Murphy, kopiąc Dillona w bok. – Tym razem się doigrałeś, ty i ta dziwka. Tamci dwoje w wodzie i tak nigdzie już nie dopłyną. O tej porze roku po piętnastu minutach umrą z powodu wyziębienia. Wasza śmierć będzie przynajmniej szybsza.

Dryfujący przy lewej burcie Billy podpłynął do Helen.

– Chcę zakraść się po tę broń w sterówce – szepnął, po czym dał nurka, nie czekając na odpowiedź.

Ocierając się plecami o kil, przepłynął pod „Highlanderem” i, wynurzywszy się po prawej burcie, złapał za reling. Właząc na pokład i zakradając się do sterówki, słyszał wymianę zdań między Murphym i Dillonem, nie zdawał sobie jednak sprawy, że Sean zauważył jego powrót.

– No dalej, Brendan, po co to całe gadanie? – mówił Dillon. – W Derry, w dawnych czasach, nie gadaliśmy, tylko działaliśmy.

Kłęcząc w sterówce, Billy otworzył schowek, wyjął odbezpieczonego walthera, po czym dwukrotnie strzelił Tomelty'emu w plecy, roztrzaskując mu kręgosłup.

Zaskoczony Murphy odwrócił się i w tym samym momencie Hannah kopnęła go w lewą kostkę. Na to tylko czekał Dillon. Złapał za kolbę browninga i zwarł się piersią w pierś z przeciwnikiem.

– Mam cię, ty psie – syknął.

Pchnął ostro Murphy'ego do przodu i obaj wypadli za burzę.

Dillon, który był doświadczonym nurkiem, czuł się w morzu o wiele lepiej niż Murphy. Zanurzyli się na głębokość dziesięciu stóp. Dillon chwycił Murphy'ego od tyłu za szyję i po chwili poczuł, że po plecach szoruje mu kotwiczny łańcuch. Złapał się go prawą ręką i mocno

przytrzymał. Murphy szarpał się i wierzgał, ale Dillon wstrzymywał oddech, choć miał wrażenie, że zaraz pękną mu płuca. W końcu Murphy zaprzestał walki i wtedy dopiero Dillon puścił go i wypłynął na powierzchnię.

Złapał się drabinki i zobaczył wychyloną przez reling Hannah.

– Nic ci nie jest, Dillon? Co się stało z Murphym?

Dillon wspiął się na pokład.

– A co się miało stać? Jak mówią Sycylijczycy, Brendan Murphy poszedł spać z rybami – oznajmił, po czym usiadł, opierając się plecami o sterówkę. W środku zobaczył Billy’ego i Helen Black. – Jak się pani czuje, pani sierżant?

– W porządku, panie Dillon.

– A ty, Billy?

– W co ty mnie wplątałeś, Dillon?

– Spisałeś się na medal, Billy. Byłeś fantastyczny. Dziesięciu facetów z SAS nie załatwiłoby tego lepiej. W dodatku przysporzyłeś tu obecnej komisarz Bernstein nie lada kłopotów w przyszłości. Postaraj się nie dać aresztować, bo będzie miała okropne wyrzuty sumienia, jeśli to na nią spadnie ten obowiązek.

Billy wyszczerzył zęby i spojrzał na Hannah.

– Co mam zrobić? Wziąć się za uczciwą robotę?

– Po prostu nie stwarzaj mi problemów, Billy.

– Kłopot polega na tym, że przez całe życie stwarzam ludziom problemy.

– Wyrzućmy ciała za burtę – zarządził Dillon. – I niech mi pani wyświadczy tę grzeczność, pani sierżant, i wypłynie na pełne morze. Przebiorę się tylko i zaraz będę mógł panią zastąpić.

– Nie ma pośpiechu – odparła.

– Chodź, Billy, założymy na grzbiet coś suchego – powiedział Dillon i ruszył pierwszy na dół.

Ferguson popijał właśnie wieczornego drinka w swoim apartamencie przy Cavendish Square, kiedy zadzwonił telefon. Dillon był sam w sterówce, obie panie i Billy zeszli do kabiny na dole. Rozmawiając z brygadierem przez zakodowaną komórkę, Dillon włączył automatycznego pilota i zapalił papierosa.

– To pan, brygadierze?

– Sean! Gdzie jesteście?

– Wracamy do Oban. Możemy bezpiecznie rozmawiać.

– Co się wydarzyło?

– Bunkier w Kilbegu już nie istnieje, a pani sierżant okazała się prawdziwym skarbem. Zastrzeliła dwóch oprychów z gangu Murphy’ego. Billy uratował nam skórę, zabijając w odpowiednim momencie trzeciego.

– Wielki Boże! Wszyscy są cali i zdrowi?

– Zdrowi i cali, brygadierze. Niełatwo nas pokonać.

– Chwała Bogu. A co z Murphym?

– Zająłem się nim osobiście.

– Nie odmówiłbyś sobie tej przyjemności. Co teraz?

– Za sześć godzin powinniśmy być w Oban. Pogoda nie jest najlepsza. Mógłby pan dać cynk Laceyowi i Parry’emu, żeby zabrali nas z powrotem do Londynu w porze śniadania?

– Załatwione.

– Jak się czuje Blake?

– Pooperacyjna infekcja. Ale Daz i Martha kontrolują sytuację.

– To dobrze. Fox chyba zostanie anachoretą po tej akcji.

Ferguson parsknął śmiechem.

– To ci się udało, Dillon. Do zobaczenia jutro.

Dillon rozłączył się. Po paru minutach drzwi sterówki otworzyły się i wokół rozszedł się zapach bekonu. Do środka wszedł Billy z tacką sandwiczów i kubkiem herbaty.

– To dla ciebie, Sean – powiedział i odwrócił się, żeby odejść.

– Byłeś wspaniały, Billy – stwierdził Dillon. – Harry może być z ciebie dumny.

– Ale i tak nie będzie wiedział, jak to jest, prawda? Chodzi mi o to, że nikt nie wie, jak to jest, póki sam tego nie doświadczy. Czy nie tak właśnie mówią? Jezu, Dillon, to nie było jakieś mordobicie w pubie na East Endzie. Zabiłem dziś w nocy dwóch ludzi.

– Angażując się w to, wiedzieli, co ryzykują, Billy. Pamiętaj o tym.

– Chyba masz rację. Więc teraz bierzemy na celownik braci Jago i Foga?

– Tak przypuszczam. – Dillon skończył ostatniego sandwicza. – Wracaj na dół, Billy. Spróbuj się trochę zdrzemnąć. Zasłużyłeś na to.

Billy wyszedł, a Dillon wyłączył automatycznego pilota i poprowadził „Highlandera” przez coraz bardziej wzburzone morze.

LONDYN

Jack Fox zszedł na angielskie śniadanie do grill baru hotelu Dorchester, rozłożył przed sobą „Timesa” i właśnie kończył jajka w koszulkach, parówki i szynkę z grzanką, kiedy pojawił się Falcone.

– Mamy problem, *signore*.

- Co znowu?

– Oglądałem przed chwilą wiadomości na Sky News. Chyba powinien pan sam zobaczyć.

– Jest aż tak źle?

– Obawiam się, że tak.

Po powrocie do apartamentu Fox obejrzał ze zgrozą najnowszy serwis informacyjny. Na pierwszym miejscu znalazła się w nim wiadomość o potężnej eksplozji w hrabstwie Louth. Pokazano przybyłych na miejsce irlandzkich policjantów i dyskutowano na temat możliwych powiązań z IRA, chociaż zarówno IRA, jak i Sinn Fein zaprzeczyły, jakoby maczały w tym palce. Jedno było pewne: fale wyrzuciły na brzeg cztery ciała, trzy z ranami postrzałowymi. Czwartą ofiarą był Brendan Murphy, dobrze znany dysydent, który odszedł z Tymczasowej IRA i założył własną grupę. Istniało podejrzenie, że to właśnie IRA wyeliminowała jego ludzi. Eksplozja zniszczyła, jak się zdaje, podziemny bunkier, i prowadzono w tej sprawie śledztwo.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Russo otworzył i wpuścił kelnera, który przyniósł świeżą kawę. Po krótkiej chwili kelner został odprawiony i

Russo rozlał kawę do filiżanek.

– Murphy był panu winien pieniądze, *signore* - zauważył Falcone.

– Możemy postawić na nich krzyżyk – odparł Fox.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli okażę się nietaktowny, ale pracuję dla pana od tak dawna, że wolno mi chyba zadać to pytanie: jak wygląda sytuacja?

Fox przyjrzał mu się uważnie.

– Bardzo źle, Aldo. Ale wciąż mamy asa w rękawie. We wtorek wchodzimy do White Diamond Company.

– Powiedział pan: dziesięć milionów funtów.

– Cztery trzeba będzie oddać braciom Jago. – Fox uśmiechnął się. – Miałeś co do tego pewne zastrzeżenia.

– I nadal je mam, *signore*. Bierzmy wszystko.

– Przychyłam się do twojego zdania, Aldo, ale zrobimy to po fakcie. Niech sukinsyny odwalą za nas czarną robotę.

Falcone uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Doskonale, *signore*.

– Wobec tego skontaktuj się z braćmi Jago. Chcę się z nimi spotkać na lunchu. Wybierz jakiś dyskretny pub.

– Wedle życzenia, *signore*.

Falcone wyszedł, żeby zorganizować spotkanie, ale najpierw zatelefonował do Don Marca, który wciąż jeszcze leżał w łóżku. Falcone miał jednak prawo dzwonić do niego o każdej porze dnia i nocy. Don wysłuchał cierpliwie jego relacji.

– Mój siostrzeniec znowu dał dupy – stwierdził w końcu. – Dał dupy w Colosseum, potem w Al Shariz i teraz w Irlandii. Wiesz, co mówią mądrzy ludzie, Aldo? Jeden raz to nic, dwa to zbieg okoliczności, ale trzy razy to działanie wroga.

– Więc co robimy, Don Marco?

– Nic. To problem Jacka. Odniesie sukces albo poniesie klęskę na swój własny rachunek. Ale jeśli przegra... Zrozum mnie, Aldo. Nigdy nie pozwolę, żeby stała mu się fizyczna krzywda. Jest moim siostrzeńcem. Jednak rodzina potrzebuje przywódcy, któremu może

ufać. Ten skok na diamenty to jego ostatnia szansa. Jeśli tu też coś pójdzie nie tak... Jack zostaje wyłączony z gry. *Capisce?*

– *Capisco*, Don Marco.

Harold i Tony Jago czekali w pubie Horse Guards nieopodal St Richard Dock. Nad rzeką unosiła się mgła, na dworze siąpiła mżawka.

Harold wyrżał przez okno.

– Lubię taką pogodę, Tony. Tak właśnie powinna wyglądać Tamiza. Anglia dla Anglików, no nie? Komu potrzebna jest Europa? Bandzie żabojadów i fryców.

– Masz rację, Harold. Ale pamiętaj, że związaliśmy się teraz z pierdoloną mafią.

– Wcale się tym nie przejmuję. Damy sobie z nimi radę.

W tej samej chwili do pubu weszli Manchester Charlie Ford i Amber Frazer.

– Jezu, idą do nas – westchnął Harold. – Co za para... Jeśli już koniecznie wolą facetów od bab, to ich sprawa, ale nie lubię czarnuchów. Zawsze są z nimi jakieś problemy.

Ford trzymał pod pachą aktówkę, którą przekazał braciom.

– Wszystko jest zapięte na ostatni guzik, Harold.

– Dobrze. Zaczekajmy na Foxa. Czego chcecie się napić?

Blake czuł się już o wiele lepiej i z entuzjazmem powitał w klinice Dillona i Helen Black.

– Miller poinformował mnie o akcji. Oglądaliśmy Sky News. Naprawdę daliście im w kość.

– Zostało nam tylko White Diamond Company.

– Tym razem mnie tu nie zostawiaj, Sean. Chcę brać w tym udział.

– Nie możesz, ponieważ ani ja, ani Bernstein i Ferguson nie będą brali w tym udziału. Wszystkim zajmie się Harry Salter. My nie jesteśmy w to zamieszani, Blake.

– Dobrze, ale przecież nie mogę tu dalej siedzieć. Chcę być razem z

tobą, Dillon.

– W porządku. Jeśli Daz pozwoli ci opuścić klinikę, nie mam nic przeciwko temu.

Daz zgodził się wypuścić Blake'a pod warunkiem, że nie będzie forsował się fizycznie, i tuż przed południem zjawili się w gabinecie Fergusona w Ministerstwie Obrony, Blake z prawą ręką na temblaku. Hannah stała obok brygadiera przy biurku.

– Nie muszę chyba mówić, że wykonaliście dobrą robotę – stwierdził Ferguson. – Ale musimy jeszcze wbić ostatni gwóźdź do trumny Jacka Focha. Chodzi mi o skok na White Diamond Company. Jaki jest plan, pani komisarz?

– Prawdę mówiąc, brygadierze, Salterowie nie będą ze mną rozmawiać. Trzeba zapytać Dillona.

– Według Ropera skok odbędzie się jutro, ponieważ właśnie wtedy spodziewają się dużej dostawy diamentów.

– Wiemy, że otworzyli stare zakratowane wejście w tunelu – powiedziała Hannah. – Nadal jednak nie mamy pojęcia, w jaki sposób po wejściu do podziemi unieruchomią system zabezpieczeń i dostaną się do skarbcza.

– O tym właśnie chcę porozmawiać z Harrym Salterem – oznajmił Dillon. – Zabiorę ze sobą Blake'a. Ty się w to nie mieszaj, Hannah. Wiem, że nie podoba ci się współpraca z łajdakami pokroju Saltera, więc nie chcę, żebyś narażała na szwank swoją nieskazitelną policyjną moralność.

W pubie Horse Guards Harold Jago przeczytał dostarczone przez Forda papiery i oddał je Tony'emu.

– Ten plan jest fantastyczny – stwierdził.

W tym momencie do pubu weszli Fox, Falcone i Russo. Harold wstał na ich widok.

– Miło cię znowu widzieć, Jack. Właśnie kończymy omawiać sprawę.

Fox i Harold usiedli, a Falcone i Russo stanęli jak zwykle pod ścianą.

– Więc na czym stanęło? – zapytał Fox.

– Twój plan był genialny – oświadczył Harold – ale Charlie dodał kilka szczegółów, które na pewno ci się spodobają.

– Co to za szczegóły?

Kiedy mu powiedzieli, Fox pokiwał głową.

– Doskonale. Jest tylko jedna mała zmiana. Dostałem właśnie informację, że dostawa będzie warta nie dziesięć, ale dwanaście milionów. Więcej do podziału, panowie, więc nie zawalcie sprawy.

– Na pewno nie zawalimy, Jack – zapewnił go Harold.

Fox wstał.

– Wszystko w waszych rękach – powiedział. – W końcu jesteście specjalistami. My się w to nie mieszamy. Będziemy w kontakcie – dodał, po czym dał znak swoim ochroniarzom i wyszedł.

– Więc to my mamy odwalić całą pieprzoną robotę – mruknął Tony.

– Nieważne – odparł Harold. – Za takie pieniądze z radością odwalę całą robotę.

Ferguson wybrał się do Dark Man razem z Dillonem i Johnsonem. Salter i Billy siedzieli przy ostatnim stoliku, Dora przyniosła im właśnie placek pasterski.

– Nieźle pachnie – stwierdził Ferguson. – Przypomina mi się Eton. Zamawiamy to samo. Blake musi zregenerować siły.

– Wygląda rzeczywiście fatalnie – zauważył Salter.

– Oglądałeś Sky News, Billy? – zapytał Dillon. – W Irlandii wydarzyła się straszna historia. Wysadzony podziemny bunkier, trupy na plaży, a wśród nich twardziel nad twardzielami, niejaki Brendan Murphy. Wszyscy uważają, że stoi za tym Tymczasowa IRA w Dublinie. Nie chciał ich słuchać.

– Tak, oglądałem to – odparł Billy. – To okropne.

Kiedy Dora przyniosła im jedzenie, Dillon roześmiał się.

– Twój chłopak świetnie się spisał, Harry. Uratował mi życie, zabijając jednego sukinsyna w bunkrze, a potem uratował nas wszystkich, zabijając kolejnego zbira na statku.

Wstrząśnięty Salter odwrócił się do Billy'ego.

– Nic mi o tym nie mówiłeś.

– I tak nigdy nie wierzysz w to, co opowiadam.

– Mój Boże, trzeba przyznać, że nie przynosisz wstydu swoim przodkom.

– Powiedziałbym raczej, że nie przynosi wstydu samemu sobie – stwierdził Ferguson i zaczął jeść. – Roper uważa, że skok na pewno odbędzie się jutro. Do White Diamond ma dotrzeć z Afryki Południowej duża dostawa. I powiedziano mi, że stawka jest znacznie wyższa. Dwanaście milionów, nie dziesięć.

– Naprawdę? – zdziwił się Salter. – W takim razie żal mi ich.

– Dlaczego?

– To za duża suma, brygadierze. Nie jestem człowiekiem wykształconym, wszystkiego nauczyło mnie życie, ale nikt nie wie więcej ode mnie o londyńskim podziemiu i złodziejskim fachu. Tym, co pograżyło uczestników napadu stulecia, była jego skala. Największa kradzież, jakiej kiedykolwiek dokonano. Nie było mowy, żeby społeczeństwo oraz siły prawa i porządku się z tym pogodziły. Dlatego wytoczono przeciwko nim wielkie działa.

– To całkiem sensowna teoria – stwierdził Ferguson.

– No tak, ale Jack Fox jest zdesperowany – oświadczył Blake. – Musi za wszelką cenę odbić się od dna.

– Jasne, a Manchester Charlie Ford i jego ludzie są chciwi i głupi i bardzo szybko znajdą się za kratkami, na poziomie D w Wandsworth – zgodził się Salter.

Dillon skończył jeść i podziękował uśmiechem Dorze za kieliszek szampana, który postawiła przy jego łokciu.

– Zreasumujmy to, co już wiemy – powiedział. – Mają Charliego Forda, jednego z najlepszych w branży speców od zamków i sejfów. Mają też Ambera Frazera, mięśniaka, i Conniego Briggsa, eksperta od elektroniki i systemów zabezpieczeń.

– Wiecie, że studiował na Uniwersytecie Londyńskim? – zapytał Salter. – Pochodzi z dobrze znanej przestępczej rodziny. Jego matka była

naprawdę dumna, kiedy obronił pracę magisterską. Dostał dyplom z czerwonym paskiem.

– A to dobre! – prychnął Ferguson.

– Wydali z tej okazji wielkie przyjęcie. Byłem na nim. Briggs dostał pracę w ośrodku badawczym British Telecom, ale płacili mu tak nędzne grosze, że szybko wrócił do rodzinnego fachu.

– Jeśli chodzi o elektronikę, jest prawdziwym geniuszem – potwierdził Billy.

– Zaczynam w to wierzyć – odparł Dillon. – A Val French?

– To specjalista od lancy termicznej, cięcia metalu i takich rzeczy. Pewnie to on przeciął tę kratę. Teraz zajmie się przebicciem drogi z tunelu do podziemi.

Wszyscy zdążyli już zjeść, więc Dora sprzątnęła ze stołu. Blake miał złane potem czoło i nie wyglądał najlepiej.

– Przynies mu brandy, Doro – powiedział Salter. – Nie czujesz się chyba zbyt dobrze, staruszk.

– Bywało gorzej – odparł Blake. – Tak czy owak, dziękuję. Wydaje mi się, że ktoś powinien o tym wspomnieć, i równie dobrze mogą to być ja. Myślę o White Diamond Company. Czy nie powinniśmy ich uprzedzić, że mogą mieć problemy, brygadierze?

– Rozumiem twój punkt widzenia, ale w tej chwili nie chodzi nam o aspekty moralne całego przedsięwzięcia.

– Chodzi nam o to, żeby załatwić Jacka Foxa – zaznaczył Dillon. – Dobrze jest wszystko, co służy temu celowi.

– W porządku – zgodził się Blake. – Tylko się spytałem. A skoro już przy tym jesteśmy, jak waszym zdaniem dostaną się do skarbcza?

– Na pewno nie pomoże im ten spec od lancy termicznej – stwierdził Dillon. – Musiałby tam spędzić całą noc, próbując przeciąć stalowe płyty, jakie tam mają. Według mnie zajmie się tym ten czarodziej od elektroniki.

– Pewnie tak – mruknął Harry. – Ale to wszystko nie posuwa nas ani o krok do przodu.

Przez kilka chwil wszyscy milczeli.

– Potrzebujemy więcej informacji – oświadczył w końcu Billy. – Możemy je uzyskać, łapiąc jednego z członków bandy i wyciskając z niego wszystko, co wie.

Harry głośno się roześmiał.

– Mój Boże, naprawdę szybko się uczysz, Billy. Kogo proponujecie? Kto jest najmniej ważny? Czyja nieobecność nie przeszkodzi w wykonaniu skoku?

– Ambera Frazera – podsunął Dillon.

– Ja też tak uważam.

– Doskonale. – Harry Salter odwrócił się do Fergusona. – Przyskrzynimy go dziś w nocy. Zostawcie to nam. Dostarczymy go do waszego bezpiecznego domu w Holland Park, a potem jeszcze raz omówimy sytuację.

– To oczywiście bezprawie – stwierdził Ferguson. – Facet nie zrobił w końcu nic złego.

– Jeszcze nie – mruknął Dillon. – Ale jestem pewien, że coś pan wymyśli. Czy nie dlatego właśnie w naszej rozmowie nie uczestniczy pani komisarz?

– Jak zwykle trafiłeś w sedno. Wszystko jest w pana rękach, Salter. Mogę ci mówić po imieniu?

– Możesz mi mówić, jak ci się żywnie podoba.

– Doskonale, Harry. W takim razie, jeśli Dora poczęstuje mnie kieliszkiem dowolnego czerwonego wina, wypiję twoje zdrowie i nie będę ci dłużej zawracał głowy – oznajmił Ferguson.

Dochodziła dziesiąta wieczór, kiedy Amber Frazer i Manchester Charlie Ford wyszli z małej włoskiej restauracji w Notting Hill. Harry i Billy czekali już na nich w samochodzie. Ford zatrzymał taksówkę, poklepał Ambera po policzku i wsiadł do środka.

– Doskonale – mruknął Billy, kiedy Amber odwrócił się i odszedł.

Ruszyli z miejsca i po kilkadziesiąt jardach zajechali mu drogę, wjeżdżając na chodnik. Harry Salter wysiadł z samochodu.

– Amber, staruszk, poznałem cię z daleka.

– Mój Boże, Harry, co ty tu robisz?

– Szukam cię, więc wskakuj do samochodu.

Zaniepokojony Amber odwrócił się i chciał się ewakuować, ale Salter przystawił mu do pleców lufę pistoletu, który trzymał w prawej kieszeni płaszcza.

– Czy to pistolet, Harry?

– Z całą pewnością nie jest to mój palec. Tak, to pistolet z tłumikiem. Mogę rozwalić ci kręgosłup i zostawić cię na chodniku, więc lepiej wskakuj do samochodu.

Kiedy Amber wykonał polecenie, Harry wsiadł za nim i wyjął pistolet z kieszeni.

– Słuchaj, Amber, wiem, że uważasz się za kogoś w rodzaju Mike’a Tysona i masz wielkie mięśnie, ale nie na wiele ci się przydadzą z kulą w brzuchu, więc lepiej rób, co mówię.

– Dobry wieczór, Amber – przywitał go z przedniego siedzenia Billy i ruszył z miejsca.

Odtransportowany do Pine Grove, Amber zachodził w głowę, co to ma wszystko znaczyć. Przy drzwiach saloniku stał sierżant Miller. Po jakimś czasie otworzyły się i do środka weszli Dillon oraz Helen Black w towarzystwie Harry’ego Saltera.

– O co wam chodzi? – zapytał Amber, zrywając się z fotela.

Dillon kopnął go mocno w prawą kostkę.

– Siadaj!

– Czy to ten człowiek, panie Salter? – zapytała Helen Black.

– Z całą pewnością. Związał się z gangiem znanych przestępców: Charlesa Forda, Vala Frencha oraz Conniego Briggsa. Z tego co wiem, jutro w nocy mają włamać się do White Diamond Company i ukraść wielki ładunek diamentów z Afryki Południowej. W napad zamieszany jest także człowiek mafii, niejaki Jack Fox.

Amber wpadł w panikę.

– Co to za historia? Człowieku, nie wiem, o czym mówisz!

– Jeśli ten skok dojdzie do skutku, facet będzie odpowiadał za

współudział, prawda? – zapytał Dillon, zwracając się do Helen Black.

– Oczywiście.

– Ile będzie musiał odsiedzieć?

– Co najmniej dziesięć lat.

Amber spocił się ze strachu.

– Słuchajcie, na litość boską...

– Bóg nie ma tu nic do rzeczy – odparł Salter i na chwilę zapadła cisza.

– Jeśli pomożesz nam w tej sprawie – odezwała się w końcu Helen Black – zostaniesz za kilka dni zwolniony i umieszczony w samolocie lecącym na Barbados.

– A jeśli nie, wylądujesz pod prysznicem w Wandsworth – dokończył za nią Dillon.

Frazer spędził już w przeszłości kilka wyjątkowo nieprzyjemnych lat w Wandsworth i nie chciał, żeby to się powtórzyło. Kochał Charliego, ale... niech Charlie martwi się sam o siebie.

– W porządku – odparł, wyjmując chusteczkę i ocierając twarz. – Ale dajcie mi się czegoś napić.

Helen Black skinęła na Millera, który podszedł do kredensu i nalał dużą szkocką. Amber wychylił ją do dna.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał.

– Dobry początek – stwierdził Ferguson, który stał po drugiej stronie lustra razem z Hannah, Blakiem i Billym.

– Jeśli na to spojrzeć z pańskiego punktu widzenia, brygadierze – mruknęła Hannah.

– Mój punkt widzenia daje rezultaty. Podobnie jak wielu ludzi w dzisiejszych czasach, mam już dosyć patrzenia na łotrów, którym, jak to ujmują nasi amerykańscy kuzyni, wszystko uchodzi na sucho. Wojna to wojna, a to również jest rodzaj wojny. Jeśli się pani nie podoba, może pani wracać do biura.

– Nie ma takiej potrzeby, brygadierze.

– Mam nadzieję.

W pokoju przesłuchań głos zabrał Harry Salter:

– No dobrze, Amber. Wiadomo, że Manchester Charlie Ford, Connie Briggs, Val French i ty macie zamiar obrobić White Diamond Company na zlecenie Jacka Focha. Przecięliście już kratę w tunelu prowadzącym do rzeki.

Amber był wstrząśnięty.

– Skąd o tym wiecie?

– My wiemy wszystko, staruszk.

Dillon oparł się o ścianę i zapalił papierosa.

– Zakratowane wejście jest już otwarte – powiedziała Helen. – Wchodźcie w głąb tunelu, wybijacie dziurę w starej wiktoriańskiej ceglanej ścianie i jesteście w podziemiach White Diamond Company.

– Nie wiemy tylko, jak macie zamiar dostać się do skarbcza – dodał Salter. – Mam na myśli wszystkie te zabezpieczenia, wszystkie alarmy.

Amber milczał.

– To strata czasu, pani sierżant – mruknął Dillon. – Zawieźcie go do Wandsworth i oskarżcie o udział w przestępczym spisku.

– Jak pan sobie życzy – odparła Helen Black.

– Nie, na litość boską! – zawołał Amber. – Powiem wam. Dajcie mi jeszcze jednego drinka. – Miller nalał mu i Amber podobnie jak poprzednio wychylił szklaneczkę do dna. – No dobrze, co chcecie wiedzieć?

– Po pierwsze, jak poradzicie sobie ze strażnikiem?

– To żaden problem. Zaczyna zmianę o szóstej wieczór. Zawsze kupuje kawę i duże pudełko sandwiczów w kiosku przy końcu ulicy. Pracuje tam znajoma Charliego. Ma wsypać mu parę tabletek do kawy. Nie zadziałają od razu, ale kiedy już zaśnie, obudzi się dopiero po trzech, czterech godzinach.

– A system zabezpieczeń? – zapytała Helen Black.

– Tym zajmie się Connie Briggs. To elektroniczny geniusz. Ma urządzenie, które nazywa się „wyjec”. Kiedy się je włączy, wysiadają wszystkie systemy elektroniczne w okolicy. Monitory wideo, zamki w drzwiach i sejfach, wszystko.

– Mój Boże! – zawołała Helen Black. – Nie mogę w to uwierzyć.

– No tak... – mruknął Dillon. – Ale ze mnie dureń! Widziałem już coś takiego. To działa, możesz mi wierzyć. Więc skok ma się odbyć jutro w nocy? – zapytał.

Amber kiwnął głową.

– O siódmej. Musimy zacząć wcześniej z powodu przyływu.

– Czy będzie tam Fox?

– Nie. Całą robotę odwalamy my i bracia Jago.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Ferguson, a w ślad za nim Billy, Hannah i Blake Johnson.

– Dziękuję, pani sierżant – powiedział brygadier. – Zabierzcie go i trzymajcie w bezpiecznym miejscu.

Helen Black i Miller wyprowadzili Ambera.

– No cóż, teraz już wiemy – stwierdził Blake.

– Szkoda, że Fox nie bierze w tym udziału – mruknęła Hannah.

– Wcale na to nie liczyłem – odparł Dillon. – Jest zbyt ostrożny, by angażować się bezpośrednio w tego rodzaju przedsięwzięcia. Musi nam wystarczyć, że zapobiegniemy włamaniu i załatwimy całą szajkę łącznie z braćmi Jago. W ten sposób i tak uderzymy w Foxa, który straci duże zyski z tych diamentów.

– To jego ostatnia nadzieja – stwierdził Blake.

– Właśnie. – Dillon pokiwał głową. – Więc jak to załatwimy?

– Trochę się nad tym zastanawiałem – powiedział Harry Salter. – Mój Joe, Joe Baxter, siedział pięć lat w zakładzie karnym Armley w Leeds i skończył tam kurs spawalniczy. Palniki acetylotlenowe, tego rodzaju rzeczy.

– Więc co proponujesz? – zapytał Ferguson.

– Mój pomysł jest całkiem prosty, brygadierze – oświadczył Salter, po czym przedstawił im cały plan.

Wszyscy wysłuchali go z uwagą, a kiedy skończył, Ferguson wybuchnął śmiechem.

– Mój Boże, to najlepszy numer, jaki słyszałem od wielu lat!

14

Nazajutrz Jack Fox jadł lekki lunch w Piano Bar w hotelu Dorchester: *tagliatelle alla panna*, makaron w sosie kremowym z szynką, przyrządzony dokładnie tak, jak lubił. Kelner nalał mu kieliszek kruga i w tym samym momencie do baru zszedł po schodach Falcone.

– Byłem w Colosseum, *signore*. Mori zwolnił większość personelu. Zatrzymał tylko Rossiego i Cameciego.

– Wiem. Niech diabli wezmą Fergusona. Miałeś jakąś wiadomość od Forda?

– Nie, *signore*.

– Dzisiaj jest wielki dzień, Aldo. Wóz albo przewóz.

Bardziej niż ci się wydaje, pomyślał Falcone.

Manchester Charlie Ford spodziewał się Ambera na lunchu i gdy ten się nie zjawił, wystukał jego numer. Komórka zadzwoniła w domu przy Holland Park. Zanim Amber odebrał telefon, Helen skinęła głową i Miller stanął za jego fotelem.

– Gdzie ty się podziewasz? – zapytał Charlie.

– Przepraszam cię, Charlie – wymamrotał Amber. – Okropnie rozboleł mnie ząb. Właśnie udało mi się znaleźć dentystę, który zgodził się mnie przyjąć.

– Ty biedaku. Dobrze, zobaczymy się wieczorem.

– Nie wiem, Charlie. To może mnie kompletnie unieruchomić.

Charlie przez chwilę milczał.

– No cóż, przypuszczam, że jeśli będzie trzeba, damy sobie radę sami. Ale jeśli możesz, bądź tam, dobrze?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Postaraj się, kochany. Trzymaj się.

Amber wyłączył komórkę i spojrzał na Helen Black.

– No i jak mi poszło?

– Powinieneś występować w teatrze, Amber.

Z jakiegoś niewiadomego powodu połechtalo to jego dumę.

– Naprawdę tak pani myśli?

– Oczywiście. To o wiele lepsze miejsce od więzienia. Może zamiast lecieć na Barbados, powinieneś złożyć podanie o stypendium i zacząć studia w londyńskiej szkole teatralnej.

Bracia Jago, Ford, Briggs oraz French spotkali się przed skokiem w apartamencie Foxa w Dorchester. Falcone i Russo stali jak zwykle w pogotowiu pod ścianą. Na znak Foxa Russo wyjął butelkę szampana z wiaderka, otworzył i rozlał płyn do kieliszków.

Fox podniósł w górę swój kieliszek i wygłosił toast.

– Za nasz wielki skok. Kiedy świat się o tym dowie, wszyscy usiądą z wrażenia. No, co tam? – zapytał Forda.

– Amber się wycofał. Ma kłopoty z zębami. Złapałem go telefonicznie u dentysty.

– Nie potrzebujemy czarnucha – stwierdził Tony Jago. – Damy sobie radę sami. I tak jest nas dosyć.

– Ty wiesz najlepiej – mruknął Fox.

– Więc na pewno pan się do nas nie przyłączy? – zapytał Tony.

– Nie bądź głupi. W tunelu zrobiłby się za duży tłok.

– Ale nie przeszkadza to panu uczestniczyć w podziale łupu.

Oparty o ścianę Falcone wyprostował się, lecz Harold Jago ubiegł go.

– Zamknij dziób, bo zaraz ci przywalę – ofuknął brata. – Przepraszam pana – zwrócił się do Foxa. – Jest jeszcze młody.

– Wszyscy byliśmy kiedyś młodzi – odparł z uśmiechem Fox. –

Wypijemy jeszcze po kieliszku bąbelków, a potem, jak podobno mówią Irlandczycy, „niech Bóg błogosławi naszemu zbożnemu dziełu”.

O szóstej wieczorem ktoś zadzwonił do drzwi Hannah Bernstein. Kiedy je otworzyła, na progu zobaczyła Dillona.

– Ferguson chce, żebyśmy zaczekali w jego mieszkaniu na rozwój wydarzeń. Przyjechałem daimlerem.

– Założę tylko płaszcz.

Po kilku minutach wyszła. Dillon otworzył przed nią tylne drzwiczki. Kiedy usiadła, wsadził głowę przez otwartą szybę i klepnął kierowcę po ramieniu.

– Zabierz panią komisarz do brygadiera Fergusona. Do zobaczenia później – pożegnał z uśmiechem Hannah. – Ja muszę jeszcze coś załatwić.

Zdumiona Hannah otworzyła usta, ale daimler ruszył z miejsca, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Pod dom braci Jago w Wapping podjechała duża biała ciężarówka z napisem ELITE CONSTRUCTION. Ubrany w kombinezon Ford siedział za kierownicą, Briggs obok niego, a French z tyłu. Bracia Jago wyszli z domu, zbiegli po schodkach i również wsiedli z tyłu.

– Nadeszła chwila prawdy – powiedział Harold.

W tej samej chwili nocny strażnik White Diamond Company skończył kolację i znowu zaczął czytać „Evening Standard”. Przez kilka chwil mrugał oczyma i ziewał, a potem odłożył gazetę i sprawdził monitory. Wszystko wydawało się w porządku. Pochylił się nad biurkiem, oparł głowę o ramię i zasnął.

W tunelu zaopatrzeni w młoty kowalskie Ford i French zaatakowali w odpowiednim miejscu ścianę. Stare wiktoriańskie cegły posypały się do piwnicy z drugiej strony.

– Doskonale – oświadczył Ford. – Wchodzimy, panowie.

Wszyscy przecisnęli się przez wybitą dziurę.

– Co teraz? – zapytał Harold Jago.

– Przyptyw zaczął się już piętnaście minut temu. Mamy czterdzieści minut. Potem wejście do tunelu zostanie zalane.

– Więc lepiej się pospieszmy, do cholery!

Connie Briggs wyjął z jednej z toreb przedmiot, który przypominał z wyglądu telewizyjnego pilota.

– To „wyjec” – oznajmił, po czym nacisnął przycisk.

– Działa? – zapytał Tony Jago.

– Jeśli nie, kiedy wejdziemy na górę, rozpęta się piekło. Ale jeśli zadziałał, cały system bezpieczeństwa jest teraz zablokowany i wszystkie drzwi stoją przed nami otworem. Musimy sami się o tym przekonać.

Dillon, Salterowie, Joe Baxter i Sam Hall wysiedli z forda transita. Baxter i Hali nieśli duże płócienne torby.

W ślad za nimi z samochodu wygramolił się Blake Johnson.

– Słuchaj, stary, może jednak zostałbyś tutaj – powiedział Harry Salter. – Nie jesteś w najlepszej formie.

– To dla mnie bardzo ważne, Harry. Fox kazał zabić moją żonę. Chcę tam być, kiedy w końcu dostanie za swoje. Jeśli nam się uda, facet będzie skończony.

– Ma do tego prawo – stwierdził niespodziewanie Billy. – Pozwól mu iść z nami.

– Zmieniłeś się, młody człowieku – mruknął jego wuj.

– Żebyś wiedział, Harry – powiedział Dillon. – Zabił dwóch ludzi, i to w słusznej sprawie. Po czymś takim nie ma odwrotu.

– Dobrze, ale chodźmy już – ponaglił ich Salter.

Zbiegł pierwszy po schodkach i ruszył kamienistą plażą w stronę wejścia do tunelu.

– Rozmawiałeś z Handym. Ile czasu nam zostało? – zapytał Billy'ego, kiedy znaleźli się w środku.

– Trzydzieści minut i nie zapomnij, że kiedy przypływ dotrze do tego miejsca, woda wedrze się do środka z siłą, której nadano nawet specjalną nazwę: St Richard's Force.

Po wejściu na górę bracia Jago i pozostali przystanęli w holu wejściowym i przez chwilę obserwowali śpiącego przy biurku strażnika i migające ekrany telewizorów.

– W porządku. Idziemy do skarbcza – oświadczył Connie Briggs.

Manchester Charlie Ford roześmiał się głośno.

– Mówiłem wam, że to geniusz! – zawołał i zbiegł na dół po marmurowych schodach.

Tymczasem druga grupa nocnych gości dotarła do kraty.

– Zabierajmy się do roboty – mruknął Harry Salter.

– Moglibyśmy obrobić ich, kiedy będą wracali – stwierdził Billy. – Dwanaście milionów piechotą nie chodzi.

– Powiedziałem już, że to za dużo, Billy. Wysłaliby przeciwko nam całą armię. Robimy tak, jak powiedziałem. Nigdy nie lubiłem braci Jago z ich narkotykami, kurwami i pornografią. Plugastwo. Wyjmuj swój sprzęt – zwrócił się do Baxtera. – Miejmy nadzieję, że brytyjski system penitencjarny czegoś cię nauczył.

Joe Baxter wyjął ze swojej torby palnik acetylenowotlenowy, a Sam Hall z drugiej torby butlę z tlenem.

Baxter zapalił palnik i przystąpił do pracy.

Wielkie drzwi skarbcza otworzyły się i Jago oraz ich kumple znaleźli się w środku. Otworzyli płócienne torby i zaczęli ładować do nich diamenty.

– Jezu! – jęknął Harold. – Nigdy nie wiedziałem, że to tak wygląda. Wszyscy wpadli w euforię i, śmiejąc się głośno, pakowali łupy.

– W porządku, wracamy – rozkazał w końcu Harold i ruszył pierwszy na górę.

Z holu zeszli z powrotem do piwnicy, w której wybili wcześniej dziurę, i jeden po drugim precyzyjnie się na drugą stronę muru.

– Chryste, w tunelu jest woda! – zawołał Tony.

– Oczywiście – powiedział Harold. – Zaczyna się przypiływ. Ale mamy jeszcze trochę czasu. Idziemy.

Kiedy dotarli do kraty, woda sięgała jednej stopy. Idący przodem Manchester Charlie Ford próbował otworzyć drzwi.

– Co się do diabła dzieje? Nawet nie chcą drgnąć.

Val French odsunął go na bok i przyjrzał się uważnie kracie.

– Chryste! Ktoś jązespawał!

– To chyba robota moja i moich przyjaciół – odezwał się Dillon, wyłaniając się wraz z Johnsonem z mroku po drugiej stronie. – Jestem Sean Dillon, a to Blake Johnson. Nie wątpię, że macie komórkę. Zadzwońcie do Jacka Foxa i przekazcie mu złe wieści.

Bracia Jago złapali za kraty i zaczęli nimi potrząsać.

– Pierdol się w dupę! – wrzasnął Tony.

Dillon uśmiechnął się.

– Obawiam się, że tym razem to wy daliście dupy, panowie. A teraz wybaczcie, ale poziom wody robi się coraz wyższy.

Dillon i Blake odwrócili się i odeszli. Woda sięgała już dwóch stóp i stale się podnosiła. Po chwili wyszli na plażę, która również była zalana. Harry Salter i reszta czekali na nich na schodach.

Dillon wyjął swoją zakodowaną komórkę i wystukał numer Wydziału Specjalnego Scotland Yardu.

– Wydział Specjalny, czym mogę służyć? – odezwał się oficer dyżurny.

– Bracia Jago i ich kompani są w tej chwili w siedzibie White Diamond Company w St Richard's Dock. Nie mogą uciec podziemnym tunelem, którym weszli, ponieważ zalał go przypiływ. Jeśli szybko

podjedziecie pod główne wejście, złapiecie ich z diamentami wartymi dwanaście milionów.

- Mogę wiedzieć, kto mówi?
- Czy to ważne? Pośpieszcie się.

Bracia Jago i inni potrząsali desperacko kratą, ale Joe Baxter zespawał ją po mistrzowsku. Poziom wody przez cały czas rósł i w końcu zaczął ich spychać prąd.

– Chryste! – zawołał Harold. – To jest to, co nazywają St Richard's Force. Wynośmy się stąd.

Potykając się we wzburzonej wodzie, ruszyli z powrotem do dziury w ścianie i wrócili do głównego holu.

– Słuchaj, Briggs – powiedział Harold. – Jeśli ten twój „wyjec” działa, frontowe drzwi powinny być otwarte.

- Zgadza się – potwierdził Connie.
- W takim razie już nas tu nie ma – mruknął Harold.

Skierował się ku drzwiom, ale w tym samym momencie na zewnątrz zapisały opony pół tuzina hamujących przed wejściem policyjnych samochodów.

Rozgoryczony i wściekły Harold stanął w miejscu.

– Zamknij drzwi tym swoim pierdolonym gadżetem – polecił. – Niech sobie trochę poczekają.

Policjanci zbili się w gromadkę po drugiej stronie szklanych drzwi. Tony Jago pokazał im dwa palce, a Harold zadzwonił z komórki do apartamentu Foxa w Dorchester.

- Jak wam poszło, Harold? – zapytał Fox.
- Wspaniale, po prostu wspaniale... Stoję tutaj w White Diamond Company z torbą wartą dwanaście milionów, a na zewnątrz kłębi się co najmniej dwudziestu gliniarzy, którzy próbują dobrać się nam do skóry.

– Co się stało, na litość boską?

Harold przedstawił mu sytuację.

– Dillon? – zapytał z niedowierzaniem Fox. – Jesteś pewien?

– I ten Amerykanin, Johnson. Namierzyli cię chyba lepiej, niż się spodziewałeś. Problem polega na tym, że w związku z tym namierzyli również mnie.

– Załatwię ci najlepszego londyńskiego adwokata.

– Dziękuję ci serdecznie. To wielka pociecha, Fox. Mam w dupie ciebie i twojego adwokata! – wrzasnął Harold i wyłączył komórkę.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Tony.

– Udamy się w podróż – odparł jego brat. – Dalej, Connie, włącz tego swojego „wyjca” i otwórz drzwi.

Connie Briggs spełnił jego polecenie. Policjanci wpadli do środka i natychmiast ich otoczyli.

– To ten sukinsyn Dillon! – wycedził Fox. – On i Johnson podłożyli mi świnie.

– W jaki sposób, *signore*? – zapytał Falcone.

– Boże, teraz wszystko rozumiem. Stali nie tylko za tym, co stało się w Colosseum, lecz również za wybuchami w Al Shariz i w Kilbegu.

– Ale jakim cudem, *signore*? Skąd wiedzieli?

– To ta żona Johnsona, od niej się wszystko zaczęło. W jakiś sposób dowiedziała się o moich planach i przekazała im informacje. Bóg jeden wie, jak jej się to udało.

– Co teraz zrobimy, *signore*?

Fox odwrócił się do niego z twardym błyskiem w oku.

– Odplącimy im pięknym za nadobne.

– Na czym ma to polegać?

– Powiem ci później. W tej chwili chcę, żebyś razem z Russem poszedł do Colosseum po Rossiego i Cameciego. No, dalej – dodał gniewnym tonem – pośpiesz się!

– Tak jest, *signore* – odparł Falcone i wyszedł.

Zjeżdżając z Russem windą do garażu, opowiedział mu o swojej rozmowie z Foxem.

– Szef za bardzo się wkurzył, a to niedobrze – stwierdził Russo.

– Nie musisz mi tego mówić – mruknął Falcone.

Jadąc do Colosseum samochodem, zadzwonił do Don Marca w Nowym Jorku i przekazał mu najnowsze wiadomości.

– O Boże, Aldo, czy Jack nie rozumie, że oni tylko na to czekają? – zapytał starszy pan. – Powinien podliczyć straty i wynosić się stamtąd.

– Nie zrobi tego, Don Marco. Jest bardzo zdenerwowany.

– I chory na umyśle, skoro szuka z nimi zwady. Ale on zawsze był porywczy.

Falcone przez chwilę się wahał, a potem zapytał:

– Czy chce pan, żebym się nim zajął, Don Marco?

– Nie, Aldo. Bez względu na to, co zrobił, jest moim siostrzeńcem, krwią z mojej krwi. Jadę do was. Za godzinę wylatuję z Nowego Jorku. Bądź ze mną w kontakcie.

– Oczywiście.

– W tej sprawie wymagam od ciebie absolutnej lojalności, Aldo.

– Zawsze byłem i będę wobec pana lojalny, Don Marco.

Oprócz gulfstreama rodzina miała do swojej dyspozycji dwusilnikowy samolot golden eagle, stacjonujący zazwyczaj w aeroklubie Bardsey niedaleko Londynu. Mógł lądować na bardzo krótkim pasie i dlatego korzystano z niego, gdy trzeba było lecieć do Hellsmouth. Fox zadzwonił do pilota, byłego lotnika RAF-u o nazwisku Swan.

– Czym mogę służyć, panie Fox? – zapytał pilot.

– Za dwie godziny muszę lecieć do Hellsmouth. Jest pan gotów?

– Skoro pan sobie tego życzy, oczywiście, panie Fox. Ale lądowanie może być trochę twarde. Robi się ciemno.

– Może pan nawet lądować bez podwozia, byle nas pan tam zawiózł.

– Jak pan sobie życzy.

Kiedy Dillon zajechał na Stable Mews, Fox, Russo, Falcone, Rossi i Cameci czekali już tam na niego w dużej czarnej furgonetce.

Dillon wysiadł razem z Blakiem i dał mu klucz do domu.

– Wróć do ciebie później. Teraz jadę do Fergusona zobaczyć, czego ode mnie chce – powiedział, po czym wsiadł z powrotem do taksówki i odjechał.

Blake ruszył powoli w stronę drzwi domu. Russo, który siedział za kierownicą furgonetki, podjechał kilkanaście jardów do przodu i zahamował tuż przy nim. Rossi i Cameci wyskoczyli na zewnątrz i w okamgnieniu wykręcili mu ręce do tyłu. Blake próbował walczyć, ale był za bardzo osłabiony. Siedzący z przodu furgonetki Fox pochylił się i wyjrzał przez szybę od strony kierowcy.

– Teraz moja kolej, Johnson – oświadczył. – Wrzućcie go do tyłu. Wiesz, co masz robić, Falcone.

Wciągnęli Blake'a do samochodu i Falcone wyciągnął strzykawkę.

– Po tym od razu poczujesz się lepiej – stwierdził, wbijając mu igłę w prawe ramię.

Blake nie przestawał walczyć, ale po chwili zrobiło mu się ciemno przed oczyma i znieruchomiał.

Lotnisko w Bardsey działało dwadzieścia cztery godziny na dobę, obsługując stale zwiększającą się liczbę prywatnych i firmowych samolotów, których nie chciano już przyjmować na Heathrow. W przypadku lotów krajowych nie stosowano zbyt surowej kontroli. Swan czekał już przy samolocie.

– Startujemy natychmiast – powiedział Fox. – Nie chcę niepotrzebnie tracić czasu. Martwi mnie trochę stan mojego przyjaciela... za dużo wypił.

– Czy będzie lot powrotny, panie Fox?

– Nie dzisiaj. Zaczekasz na dalsze instrukcje.

Swan, który doskonale zdawał sobie sprawę, z jakiego pokroju ludźmi ma do czynienia, kiwnął głową.

– Tak jest, proszę pana – odparł, po czym odszedł, żeby zarejestrować lot.

Rossi i Cameci wraz z Russem wprowadzili Blake’a po stopniach.

– Zadzwoń do starego Cartera – polecił Fox, zwracając się do Falconego. – Powiedz mu, że ma rozpalić ogień w kominkach, ale nie chcę go widzieć w domu. Może wracać do siebie.

– Już dzwonię, *signore*.

Fox wszedł na pokład samolotu, a Falcone wyjął komórkę i, stojąc na płycie lotniska, zatelefonował do Hellsmouth. Kiedy skończył rozmowę, ruszył w ślad za swoim szefem. Swan podciągnął schodki i zamknął drzwi samolotu. Gdy zniknął w kokpicie, Fox wyciągnął rękę do Falconego.

– Daj mi telefon – rozkazał.

Wyjął kartkę, na której miał informacje przekazane mu przez Maud Jackson, znalazł domowy numer Fergusona i wystukał go.

– Charles Ferguson – odezwał się brygadier.

– Tu Jack Fox. Czy zastałem Dillona?

– Pan Fox! Jak samopoczucie?

– Daruj to sobie, Ferguson. Daj mi Dillona.

Ferguson oddał słuchawkę Dillonowi i stanął przy nim razem z Hannah.

– Cześć, Jack. Tak mi przykro, że powinęła ci się noga.

– To nic w porównaniu z wiadomością, którą mam dla ciebie, Dillon. Właśnie uprowadziłem Blake’a. Zabieram go do piekła i obawiam się, że już stamtąd nie wróci. Widziałem, jak odjeżdżasz taksówką, i przyskrzyliłem go, zanim otworzył drzwi. Jeśli masz trochę oleju w głowie, pewnie domyślisz się, gdzie go zabieram, i bardzo mnie to ucieszy.

Wyłączył się, zanim jego rozmówca zdążył cokolwiek powiedzieć. Dillon spojrzał na Fergusona i Hannah.

– Ma Blake’a – powiedział. – Oznajmił, że zabiera go do piekła i że Blake już stamtąd nie wróci. – Przez chwilę się zastanawiał. – To musi być Hellsmouth, ta jego posiadłość w Kornwalii. Muszę zatelefonować.

– Nie, Sean, to pułapka – stwierdziła Hannah. – Pozwolił ci to łatwo zgadnąć, a teraz zabije i ciebie, i jego.

– Niewykluczone, ale nie mogę zostawić Blake’a w jego łapach – oświadczył Dillon.

Wystukał numer Pine Grove. Telefon odebrała Helen Black.

– Mam złe wiadomości – powiedział jej. – Sukinsyny uprowadziły Blake’a Johnsona. Połącz mnie z majorem.

– Jestem przy telefonie, Sean – odezwał się Roper. – Co się stało?

Dillon opowiedział mu.

– Daj mi kilka minut, zajrzę do komputera.

– W porządku.

Po chwili Roper odezwał się ponownie:

– Oprócz gulfstreama rodzina Solazzo ma również golden eagle. Znasz ten typ samolotu?

– Owszem, latałem nim wiele razy – odparł Dillon. – Jest doskonały na krótkie pasy startowe.

– Właśnie taki pas mają w posiadłości w Hellsmouth. Jest tam stara pomocnicza baza RAF-u z czasów drugiej wojny światowej. Najbliższe przyzwoite lotnisko RAF-u znajduje się w odległości zaledwie dwudziestu mil, w St Just. Mają tam długi pas, a także lądowisko dla helikopterów ratownictwa morskiego.

– Dziękuję, staruszk.

– Rozumiem, że nie zamierzasz się z nimi patyczkować.

– Można tak powiedzieć.

– Żałuję, że nie mogę być razem z tobą. Zostanę przy komputerze na wypadek, gdybyś mnie potrzebował. – Po chwili Roper ponownie się odezwał: – Golden eagle wystartował przed dwudziestoma minutami. Cel podróży Hellsmouth, sześciu pasażerów na pokładzie.

– Jednym z nich jest Blake. Dziękuję, Roper – odparł Dillon i odłożył słuchawkę. – Wylecieli z Bardsey, mają sześciu pasażerów – poinformował Ferguson i Hannah, po czym wystukał kolejny numer.

– Co robisz, Sean? – zapytała Hannah.

– Na pewno nie dzwonię na policję w Konwalii. To bardzo porządne

chłopaki, ale nie nadają się do tej roboty. Dzwonię na Fairley Field.

– Po co?

– Bo ma zamiar załatwić ich w pojedynkę – wyjaśnił jej Ferguson. – Dobrze znam mojego Seana.

– Fox powiedział, że zabiera Blake’a do piekła i że Johnson nie wróci z tej podróży – stwierdził Dillon. – Mam zamiar wybrać się tam razem z nimi.

– Fairley Field – odezwał się głos w słuchawce.

– Tu Dillon. Dajcie mi dowódcę szwadronu, Lacey.

– Widziałem go parę minut temu w kantynie. Proszę poczekać.

– To ty, Dillon? – odezwał się po krótkiej chwili Lacey.

– Wyruszamy na akcję, i to natychmiast.

– Dokąd lecimy?

– Do Hellsmouth, niedaleko Lizard Point w Kornwalii. Mają tam bardzo krótki pas, więc będę musiał wyskoczyć na spadochronie.

– Znam ten rejon. W pobliżu jest baza RAF-u w St Just.

– Zgadza się, więc zrzuć mnie i możesz lądować w St Just.

– Jezu, Dillon, znowu masz zamiar ratować świat?

– Nie, mam zamiar uratować Blake’a Johnsona. Skontaktuj się z kwatermistrzem. Potrzebne mi są browningi, AK47 i spadochrony dla dwóch osób. Skaczemy z wysokości sześciuset stóp.

– Jesteś szalony, Sean, ale załatwię wszystko, co trzeba.

Dillon odłożył słuchawkę.

– Spadochrony dla dwóch osób? – zdziwiła się Hannah Bernstein. – O czym ty mówisz?

– Na pewno nie o SAS. Nie ma na to czasu. Mam kogoś na myśli i pójdę się z nim teraz spotkać. Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć przed odlotem, zaczekaj na Fairley Field.

– Masz zamiar skazać tych ludzi na śmierć, prawda, Dillon? – zapytała gniewnie.

Dillon odwrócił się do brygadiera.

– To urocza kobieta, brygadierze, ale mam powyżej dziurek w nosie jej tyrad. O wiele bardziej zależy mi na tym, żeby uratować życie

porządному człowiekowi – powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł.

- On jest szalony, brygadierze – stwierdziła Hannah.
- Nie, pani komisarz. Jest po prostu tym, kim jest.

Kiedy Dillon wszedł do pubu Dark Man, Harry Salter, Billy, Joe i Sam Hall siedzieli przy swoim stoliku, popijając szkocką.

– Cześć, staruszkule – powitał go Harry. – Udało się nam czy nie?

– Fox wprowadził Blake’a – oświadczył Dillon. – Poleciał z nim i czterema gorylami do swojej posiadłości w Kornwalii.

Przy stoliku zapadło milczenie.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytał Salter.

– Nie mogę go im zostawić, porąbią go na kawałki. Za godzinę lecę tam z Fairley Field. Zeskoczę nad posiadłością na spadochronie, bo pas startowy jest za krótki dla gulfstreama, a najbliższa baza RAF-u leży w odległości dwudziestu mil.

– Fox plus czterech goryli to razem pięciu ludzi, Dillon. Zamierzasz im sam stawić czoło? – zapytał Billy.

– Nie, Billy, lecę tam razem z tobą.

– Musiało ci odebrać rozum – zachnął się Harry Salter.

Dillon zignorował go.

– Słyszałeś o Arnhem podczas drugiej wojny światowej, Billy? – zapytał. – O wszystkich tych spadochroniarzach zrzuconych na terytorium wroga? Był wśród nich pewien major, wojskowy chirurg, który nigdy nie skakał na spadochronie, ale potrzebowali lekarza. Nic mu się nie stało i tobie też nic nie będzie. Zaufaj mi, Billy. Wskoczysz z samolotu, na wysokości sześciuset stóp pociągniesz za linkę, dwadzieścia pięć sekund później wylądujesz, i to wszystko.

– Chyba oszalałeś – mruknął Salter.

Billy uśmiechał się już od ucha do ucha.

– Mówiłem ci to już wcześniej, Dillon, jesteś dokładnie taki sam jak ja – stwierdził. – Niczym się nie przejmujesz. Pokażesz mi tylko, jak to

się robi.

– Skoro on leci, ja lecę także – powiedział Salter. – Nawet jeśli mam być tylko w odwodzie.

– W porządku – odparł Dillon. – W takim razie idziemy.

HELLSMOUTH

Kiedy Dillon, Harry Salter i Billy przyjechali na Fairley Field, Lacey i Parry już na nich czekali.

– Chodźmy do centrum kontroli lotów i sprawdźmy, czy wszystko dobrze zrozumiałem – poprosił Lacey.

Kwatermistrz dostarczył już browningi, dwa AK47, spadochrony oraz skafandry.

– Proszę porozmawiać z panem Salterem, sierżancie majorze – powiedział Dillon. – To jego pierwszy skok.

– Naprawdę, panie Dillon? W takim razie chyba warto udzielić mu kilku wskazówek.

– Niech pan mi tylko pokaże, za co mam pociągnąć – poprosił Billy.

Dillon razem z Laceyem i Parrym podszedł do mapy.

– Nie wygląda to tak źle – stwierdził Lacey. – Księżyc jest już w drugiej kwadrze. Wystarczy jeden nalot, a potem pędzimy do St Just.

– W porządku.

– Czy ten drugi facet zna się na rzeczy? – zapytał Lacey.

– Oczywiście.

Do pokoju weszli Ferguson i Hannah Bernstein. Widząc obu Salterów, brygadier otworzył szeroko oczy.

– Na litość boską, co to ma znaczyć? Mówiłeś o dwóch spadochroniarzach, a oni wcale nimi nie są.

– Ja teraz już jestem – oświadczył Billy. – I sądzę, że mam do tego

żyłkę. Po prostu pociągnę za to kółko. Broń jest łatwa w obsłudze. Dałem sobie radę w Kilbegu, więc dam sobie radę i teraz.

– To obłąd – stwierdziła Hannah Bernstein.

– Nie, to próba przyjscia z pomocą Blake’owi – uściślił Dillon. – Jestem gotów, brygadierze, chyba że ma pan inny pomysł.

– Nie mam żadnych pomysłów – odparł Ferguson. – Kiedy ty wchodzisz do akcji, i tak nie ma mowy o zdrowym rozsądku.

– Harry leci z nami – powiedział Dillon. – Proponuję, żebyście weszli na pokład, a tymczasem my z Billym się przebierzemy.

– Jak chcesz.

Dziesięć minut później Dillon i Billy w skafandrach i kamizelkach kuloodpornych, ze spadochronami, kaburami pod pachą i przewieszonymi przez pierś AK47 weszli po schodkach do gulfstreama i zajęli swoje miejsca. Parry zamknął drzwi samolotu.

– Chryste, Billy... – jęknął Harry Salter – wyglądasz, jakbyś występował w jednym z tych filmów o Wietnamie. W co ty się bawisz?

Billy uśmiechnął się.

– Bawię się w to, co naprawdę lubię, i jest to wspaniałe uczucie.

Zanurzony po pas w wodzie Blake siedział na kamiennym schodku w tunelu, obejmując się ramionami i próbując zachować resztki ciepła. Czy Dillon przybędzie? Fox najwyraźniej tego oczekiwał, traktując go jako przynętę. Ratunek wydawał się niemożliwy, lecz przecież Dillon zawsze radził sobie z tym, co niemożliwe.

Przez chwilę wydawało mu się, że przez grube mury starego zamku słyszy gdzieś wysoko jakiś hałas, coś, co przypominało warkot samolotu, ale nie miał co do tego pewności. Na wodzie znowu pojawił się szczur i zaczął zataczać kręgi wokół niego.

– Mówiłem ci już – szepnął Blake. – Bądź grzeczny.

Warkot silnika szybko ucichł.

– Co to było? – zapytał Falcone.

– To mógł być zwykły lot RAF-u na lotnisko w St Just – odparł Fox, który stał przy kominku w wielkiej sali razem z Falconem i Russem.

– Ale mógł też być i Dillon. Lepiej bądźmy gotowi. Podaj mi brandy.

Russo podszedł do kredensu, nalał brandy i przyniósł szefowi. Do sali weszli uzbrojeni w uzi Rossi i Cameci.

– Proszę mi wybaczyć, *signore*, ale czy naprawdę sądzi pan, że Dillon się tu pojawi? – zapytał Falcone.

– Dałem mu dość wskazówek. Jest sprytny. Na pewno się pojawi.

– Ale co będzie, jeśli zawiadomi policję? – zapytał Russo.

– Dillon? Nie, zbyt osobiście traktuje tę sprawę. Nie będzie chciał, żeby policja go w tym wyřęczała.

– Ferguson pracuje w wywiadzie – powiedział Falcone. – Co będzie, jeśli zaangażuje siły specjalne, SAS?

– Nie zrobi tego. Prowadził całą tę operację w wielkiej tajemnicy i hałas w mediach to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył. Chcą to zrobić dyskretnie, *mano a mano*, twarzą w twarz.

– Skoro pan tak twierdzi, *signore*.

– Idźcie do ogrodu i trzymajcie straż. Sprawdźcie też drzwi – polecił Fox, zwracając się do Rossiego i Cameciego.

Kiedy wyszli, upił trochę brandy z kieliszka. Miał rację we wszystkim oprócz jednego. Dillon już się pojawił.

Kiedy gulfstream maksymalnie zmniejszył prędkość, Perry wybiegł z kabiny pilotów, otworzył drzwi i spuścił schodki. W kabinie zahuczał wiatr.

– Chryste... – jęknął Salter.

– Jestem od ciebie starszy – stwierdził Dillon, szczerząc zęby do Billy'ego – więc skacząc pierwszy.

– Zasuwasz, Dillon – odparł Billy, po czym wypchnął Dillona na zewnątrz i dał nurka w ślad za nim.

Padał deszcz i w powietrzu unosiła się lekka mgiełka, ale w świetle księżycyca dom i całą posiadłość widać było jak na dłoni. Dillon

wylądował, wyswobodził się szybko z uprzęży i rozejrzał dookoła. Widząc drugi spadochron, który zakwitał obok niczym jakiś dziwny kwiat, podbiegł i przydeptał go. Billy usiadł na ziemi.

– Nic ci się nie stało? – zapytał Dillon.

– Chyba nie. Poleciałem do tyłu i uderzyłem się w plecy. – Billy poruszył rękoma i nogami. – Ale wszystko w porządku.

Dillon oswobodził go z szelek.

– Skoro tak, to ruszaj zwawo!

Billy zerwał się na nogi.

– Jezu, Sean, nie potrafię uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Dzieje się. Powtarza się Kilbeg, tyle że tym razem musimy dać odpór pięciu draniom, więc spręż się.

Obserwując ogród przez noktowizor, Dillon dostrzegł na tarasie Cameciego.

– Zobacz – szepnął do Billy'ego.

Chłopak kiwnął głową.

– Nie widzę nikogo więcej.

– Ja pójdę w lewo, ty w prawo.

Stojąc przy balustradzie i wpatrując się w skąpany w świetle księżycy ogród, Cameci poczuł nagle przystawioną do pleców lufę AK47.

– Piśnij tylko, a rozwalę ci kręgosłup – syknął Billy.

– To ty, Dillon?

– Nie, jestem jego młodszym bratem. Tutaj! – zawołał półgłosem Billy.

Kiedy Dillon wyłonił się z cienia, po drugiej stronie tarasu pojawił się Rossi. Billy zauważył go.

– Uważaj! – zachrypiał.

Dillon odwrócił się, jego zaopatrzonego w tłumik AK47 kaszlnął cicho i Rossi padł na wznak.

Dillon złapał Cameciego za szczękę.

- Powiedz, kto jest w środku, bo zginiesz!
- Fox, Falcone i Russo – odparł przerażony Cameci.
- Dobrze. A co się dzieje z Amerykaninem?
- Jest w tunelu, w podziemiach.
- W porządku. Prowadź nas tam.

Cameci poprowadził ich przez kuchnię i na dół, do piwnic. Po chwili stanęli przed starymi dębowymi drzwiami.

- To tu – oznajmił.
- Otwieraj.

Cameci wykonał polecenie. Siedzący w wodzie Blake odwrócił się do nich i światło padło na jego twarz.

– Co tu robisz? – zapytał Dillon. – Zażywasz kąpeli? Nie ma czasu na zabawę. Zabieraj się stąd, do diabła.

Blake wdrapał się chwiejnie po schodach.

- Co cię zatrzymało? – wykrztusił.

Trząśnięty i był przemoczony do suchej nitki.

- Wyskakuj ze swoich ciuchów – powiedział Dillon do Camecie – g°.
- Ależ, *signore!* - zaprotestował goryl.

Dillon wbił mu lufę AK47 pod brodę.

– Rozbieraj się! – syknął, po czym zdjął bandanę, którą miał zawiązaną wokół szyi, i podał ją Blake'owi. – Masz, osusz się trochę.

Blake postarał się w miarę możliwości wytrzeć, a potem założył ubranie Cameciego, który został w samych slipkach.

Tymczasem Falcone otworzył przeszkłone drzwi na taras, wyszedł na zewnątrz i znalazł zwłoki Rossiego. Natychmiast wrócił do Foxa i Russa.

- Rossi leży tam martwy, a Cameci zniknął.
 - Chryste... on już tu jest, ten sukinsyn tu jest. Musimy się rozdzielić
- powiedział Fox.

W tym samym momencie Dillon wepchnął do sali ubranego w same slipki Cameciego. Zaskoczony jego wyglądem Falcone odwrócił się i

strzelił. Cameci padł na podłogę.

– Hej, trafiłeś nie tego faceta! – zawołał Dillon. – To ja, Jack. Nadszedł czas zapłaty.

– Pierdol się, Dillon! – odkrzyknął Fox.

Kucali w różnych miejscach sali, oświetleni wielkim, zwisającym z sufitu żyrandolem.

– Trzymaj się mnie – szepnął Falcone do Russa, widząc, że Fox kieruje się w prawo. – Spróbujemy dostać się do kuchni przez te drzwi.

– Jest za dużo światła – stwierdził Russo.

Falcone posłał serię w żyrandol, który runął na podłogę.

– Już nie – powiedział, po czym pochylił się i pociągnął Russa za sobą.

Oświetlona tylko ogniem z kominka sala robiła teraz niesamowite wrażenie. W migotliwym świetle widać było rycerskie zbroje, stare sztandary i wielkie schody po lewej stronie. Dillon, Blake i Billy schowali się za stojącym na środku wielkim stołem.

– Co teraz? – zapytał Billy.

– Poczekaj chwilę. Pośpiech jest złym doradcą. – Dillon wyjął z kabury browninga i podał go Blake'owi. – Na wszelki wypadek.

– Jak się tu dostałeś? – zapytał Blake.

– Lacey i Parry przelecieli na niskiej wysokości nad posiadłością i wyskoczyłem razem z Billym.

– Dobry Boże, a co ten chłopak wie o spadochronach?

– O wiele więcej, niż wiedział przed kilku godzinami. Nie martw się, wkrótce przybędą posiłki.

– Oddział sił specjalnych?

– Nie. Ferguson, Hannah i Harry Salter.

– Chryste Wszchemogący...

– Może nam się udać, Blake. Cameci i Rossi są już martwi. Został tylko Falcone, Russo i stary, zacny Jack Fox.

– Więc jak to zrobimy? – niecierpliwił się Billy.

– Mówiłem ci już. Zaczekamy, aż nas zaatakują.

W kompletnej ciszy Falcone i Russo dotarli do obitych zielonym

rypsem drzwi prowadzących do kuchni. Fox zakradł się do innych drzwi, po drugiej stronie kominka, otworzył je i wspiał się po spiralnych schodkach na galeryjkę nad salą. Zerkając w dół, spostrzegł, że ktoś chowa się za stołem. Pod jego stopą zaskrzypiała klepka.

– Sukinsyn jest gdzieś nad nami – stwierdził Dillon. – Przesuń się w prawo, Billy.

Billy wykonał polecenie.

– No cóż, Jack, zaraz znowu wszystko się rozstrzygnie! – zawołał głośno Dillon. – Schowaj się tam w cieniu – szepnął do Blake’a, popychając go w drugą stronę.

Na górze Jack Fox przykucnął przy kontaktach, które włączały reflektory oświetlające kolekcję obrazów wiszących na ścianach.

Blake ruszył w lewo, ale poślizgnął się, upadł na ranne ramię i krzyknął z bólu. Dillon wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać, i w tej samej chwili Fox zapalił światło.

– Teraz cię mam, sukinsynu! – zawołał, po czym wyciągnął walthera i strzelił Dillonowi dwa razy w plecy.

Żeby to zrobić, musiał się wyprostować, i to samo uczynił stojący po prawej stronie Billy, który poderwał w górę AK47 i wpakował w niego co najmniej dziesięć kul. Fox, rzucony siłą strzału na ścianę, odbił się od niej, przechylił przez balustradę i runął w dół na kamienną posadzkę. Jego ciało zadygotało w agonii, a potem znieruchomiało.

Falcone otworzył obite rypsem drzwi.

– Wynośmy się stąd - powiedział.

– Dokąd? – zapytał Russo.

– Na pas startowy. Musimy lecieć do Londynu. Wkrótce zjawi się tam Don Marco, musimy przekazać mu złe wieści.

– Czasem zabija się posłańca – mruknął Russo.

– Nie tym razem. To jest zbyt ważne.

Zbiegli po schodach, wypadli na dziedziniec i po chwili jechali już w stronę pasa startowego.

Siła pocisków, którymi Dillon oberwał w plecy, rzuciła go na twarz. Jęcząc, zaczął gramolić się na nogi. Billy podbiegł i przykucnął przy nim.

– Nic ci się nie stało, Sean?

– Nie. Dzięki Bogu i kamizelce kuloodpornej. Będę miał tylko parę sińców. Jest tu kto? – zawołał, rozglądając się dookoła.

Odpowiedziała mu cisza.

– Nie jesteś ranny, Sean? – zapytał Blake.

– Nie, nic mi nie jest – odparł Dillon. – Chyba stąd prysnęli. Słyszałem odjeżdżający samochód.

Wstał i podszedł do Jacka Foxa. Blake stanął obok i przez chwilę przyglądali się zwłokom.

– To już koniec, Blake. Facet zapłacił za to, co zrobił. Zemściłeś się.

– Niezupełnie – mruknął Johnson. – Fox wydał rozkaz, ale Falcone chełpił się, że to on razem z Russem zabił moją żonę.

– Gdzie oni teraz są? – zapytał Billy.

– Chodź, to ci pokażę – powiedział Dillon.

Otworzył frontowe drzwi i wszyscy trzej stanęli u szczytu schodów. Po chwili usłyszeli hałas silnika i przeleciał nad nimi samolot.

– Tam właśnie są, Billy. Wieją, póki jeszcze mogą.

Kiedy odwrócili się, by wejść z powrotem do budynku, na dziedziniec wjechał landrover RAF-u z Hannah Bernstein za kierownicą i siedzącymi z tyłu Salterem i Fergusonem.

– Dobrze się czujesz, Billy? – zapytał Harry Salter, stojąc przy kominku w dużej sali.

– Powinien czuć się wspaniale – stwierdził Dillon. – Fox strzelił mi dwa razy w plecy. Uratowała mnie kamizelka kuloodporna, a Billy ukatrupił drania. To już twój trzeci z kolei, Billy. Jesteś asem.

– Co teraz będzie, brygadierze? – zapytała Hannah Bernstein. – Czy powinnam zawiadomić kornwalijską policję?

– Nie sądzę – odparł Ferguson. – Pozwólmy, żeby zwłoki odkrył

dozorca. Fox i ci dwaj hultaje są w komputerowej bazie danych Scotland Yardu. Cała historia wygląda na mafijne porachunki i nie ma z nami nic wspólnego.

– Ależ, brygadierze...

– Niech pani będzie rozsądna. To najlepszy sposób załatwienia tej sprawy, więc proszę się ze mną nie kłócić. A teraz wynośmy się stąd i wracajmy do St Just.

Falcone zadzwonił z samolotu do Don Marco. Don wchodził właśnie na pokład swojego gulfstreama w Nowym Jorku.

– Jakie masz dla mnie wiadomości, Aldo?

– Bardzo niedobre, Don Marco. Jak mam je przekazać?

– Mówiąc szybko, co się stało.

Falcone spełnił jego polecenie.

– Biedny Jack. Był taki głupi, taki porywczy... – mruknął Don, kiedy wysłuchał całej relacji.

– Co mam robić, *signore*?

– W tej chwili nic. W grę wchodzi tutaj oczywiście honor rodziny, ale porozmawiamy o tym później, gdy znajdę się w Londynie.

– Jak pan sobie życzy, *signore*.

Na pokładzie gulfstreama, którym Dillon i pozostali wracali na Fairley Field, zadzwoniła komórka Fergusona. Brygadier słuchał przez chwilę rozmówcy, a potem oddał słuchawkę Dillonowi.

– Myślę, że powinno cię to zainteresować – powiedział.

– Dzwoniła do mnie Hannah – oznajmił przez telefon Roper – więc wiem, co się stało. Cieszę się, że wciąż jesteś wśród nas.

– Ja też.

– Przejrzałem najnowsze dane dotyczące rodziny Solazzo. Golden eagle wylądował właśnie w Bardsey. Na pokładzie miał dwóch pasażerów, Falconego i Russa.

– Coś jeszcze?

– Owszem, i to ci się spodoba. Don Marco Solazzo leci do Londynu jednym z należących do rodziny gulfstreamów. Zarezerwował apartament w Dorchester.

Dillon roześmiał się.

– Wygląda na to, że odbędzie rodzinne spotkanie – stwierdził i rozłączył się.

LONDYN

Lotnisko Heathrow sparaliżowała mgła i gulfstream Don Marca został skierowany do Shannon w Irlandii. Dopiero po kilku godzinach wystartował ponownie do Anglii i w końcu wylądował w przeznaczonej dla prywatnych samolotów części lotniska.

W ulubionym samochodzie Dona, bentleyu, czekali na niego Falcone i Russo. Falcone pocałował szefa w rękę.

– Moje kondolencje, Don Marco. Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

– Nie musisz nic mówić. Ruszajmy, potem pogadamy.

Russo usiadł za kierownicą.

– Małą brandy, Aldo – powiedział Don Marco.

Falcone otworzył samochodowy barek, znalazł odpowiednią butelkę i nalał brandy do kieliszka. Don Marco upił trochę i pokiwał głową.

– Doskonale, a teraz mów. opowiedz mi wszystko.

W apartamencie Olivera Messela w hotelu Dorchester Don Marco stanął przy otwartych drzwiach na taras i popatrzył na skąpane w deszczu dachy Mayfair.

– Daj mi cygaro – powiedział do Falconego. – Z pudełka z krokodylej skóry.

Falcone skinął na Russa, który szybko otworzył stojącą na kredensie cygarnicę, wyjął z niej hawańskie cygaro Romeo and Julietta, przyciął

czubek i podał je Falconemu. Ten ogrzał cygaro wielką zapalką i przekazał starszemu panu. Don Marco zapalił je.

– Jack był głupi, chciwy i porywczy – stwierdził. – Ale był również moim siostrzeńcem. Był w połowie Solazzo, krwią z mojej krwi. Nikt z nas nie jest ulepiony z jednej gliny, Aldo.

Deszcz zabębnił o dachy ze wzmożoną siłą i zasłony załopotały na wietrze. Don Marco pokiwał głową.

– Zgoda, był głupi – powtórzył. – Iz całą pewnością był złodziejem, cokolwiek to znaczy. Walczył jednak dzielnie na wojnie i odznaczył się w służbie dla kraju.

– Wszyscy znamy zasługi pana Foxa – powiedział Falcone.

– I wiemy, jak skończył, ginąc z rąk tych ludzi. Dillona, Johnsona, Fergusona. – Don Marco odwrócił się. Na jego twarzy nie widać było gniewu. – To sprawa honoru. Dług musi zostać spłacony. Pieniądze nie są na tym świecie wszystkim, Aldo.

– Oczywiście, Don Marco.

Starszy pan przygryzł cygaro, wyciągnął portfel i wyjął z niego kartkę z zapisanymi na niej kilkoma numerami telefonów.

– Ten trzeci jest chyba do Fergusona w Ministerstwie Obrony – powiedział. – Zadzwoń do niego.

Dochodziło wpół do trzeciej i wszyscy siedzieli przy ostatnim stoliku w Dark Man: Harry i Billy, Dillon i Blake, Ferguson i Hannah. Baxter i Hall podpierali jak zwykle ścianę. W pewnym momencie zadzwonił telefon komórkowy i Hannah odebrała go.

– Tak? Dobrze, mów – powiedziała. Przez chwilę słuchała swojego rozmówcy, po czym wyłączyła telefon. – Najświeższe wieści ze Scotland Yardu – poinformowała pozostałych. – W Kornwalii zostało popełnione potrójne morderstwo. Ofiarami są, jak się zdaje, członkowie mafii.

– Sama widzisz – mruknął Dillon.

Billy roześmiał się.

– Świat jest pełen niespodzianek!

– Uważaj, żeby nie uderzyła ci do głowy woda sodowa – ostrzegł go Harry.

– To prawdziwy Billy Kid – stwierdził Dillon. – Podczas bitwy o Anglię odznaczono by go Krzyżem Sił Powietrznych.

Dora przyniosła na tacy butelkę bollingera, otworzyła ją i rozlała do kieliszków.

– W takim razie to koniec – stwierdził Billy.

– Niezupełnie – odparł Dillon, biorąc do ręki kieliszek. – Pomyśl, dlaczego zacny stary Don Marco leci do Londynu? Żeby odwiedzić swojego doktora albo kupić sobie nowy garnitur w Savile Row? – Pokręcił głową. – To wendeta, Billy. Zabiłeś jednego z naszych, my zabijemy ciebie.

– Tak uważasz? – zapytał Harry.

– To oczywiste – oznajmił Blake.

– Więc nie jest jeszcze po wszystkim? – zdziwił się Billy.

– Czeka nas jeszcze ostatni akt. – Dillon wzruszył ramionami. – Trzeba Szekspira, żeby go napisać.

– Nie da rady, facet od dawna nie żyje – oświadczył Billy.

W tym momencie zadzwoniła komórka Fergusona.

– To z Ministerstwa Obrony – wyjaśnił brygadier, wysłuchawszy krótkiej informacji. – Don Marco Solazzo chce zamienić ze mną kilka słów. Jest w hotelu Dorchester. Mogłaby pani mnie z nim połączyć, pani komisarz? – poprosił Hannah.

Kiedy Dora przyniosła telefon z baru, Hannah zadzwoniła do hotelu i poprosiła Dona.

– Mówi Solazzo.

– Chce z panem mówić brygadier Ferguson – oświadczyła, po czym podała słuchawkę szefowi, który włączył głośnik, żeby wszyscy mogli usłyszeć rozmowę.

– Co za niespodzianka – powiedział.

– Bardzo w to wątpię, brygadierze.

– Kondolencje z powodu śmierci pańskiego siostrzeńca.

– A ja mam chyba pogratulować Dillonowi?

– W żadnym wypadku. Pańskiego siostrzeńca usunął gangster z East Endu, pochodzący z rodziny, która nie ma kompleksu niższości wobec mafii.

– Nie bawmy się w złośliwości, Ferguson. Ta sprawa ciągnie się od dawna i mój siostrzeniec nie żyje. Uważam, że czas się spotkać i zawrzeć jakiś kompromis.

– Brzmi to sensownie. Jaki termin pan proponuje?

– To zależy od pana, ale myślę, że powinniśmy się spotkać tylko my dwaj – odparł spokojnie Solazzo. – Nie chcę, żeby uczestniczył w tym Dillon ani Johnson.

– Oddzwonię do pana.

– On kłamie, brygadierze – stwierdziła Hannah.

– Oczywiście. – Ferguson spojrzał na Dillona. – Co ty na to?

– Powiedział, że nie chce tam mnie i Johnsona. A to oznacza, że wprost przeciwnie, bardzo chce, żebyśmy przyszli. Gdyby wiedział, że Jacka Foxa zabił Billy, jego też by tam chętnie widział. To właśnie jest mafia. Honor, rodzina, zemsta, takie rzeczy. Gdyby Solazzo mógł, zabiłby nas wszystkich. To zabawne... Mówimy o kapitalistycznych wartościach w społeczeństwie, ale ta sprawa stanowi najlepszy przykład sytuacji, w której pieniądze nie mają żadnej wartości.

– Jakie macie propozycje?

– Uważam, że wszyscy powinniśmy się zjawić na tym spotkaniu – odparł Blake. – Wezmą w nim udział jego ludzie, Falcone i Russo, i Don będzie przekonany, że my postąpimy tak samo. Nie sądzi chyba, że stanowią dla niego zbyt duże zagrożenie, ale będzie tam Dillon, a z nim nigdy nie wiadomo.

– Ja też tam będę – oznajmił Billy.

– Lepiej trzymaj język za zębami, młody człowieku! – zgromił go Harry Salter. – Zaczyna ci się to za bardzo podobać. Nie jesteśmy w Dodge City.

– Dodge City to przy tym pestka – stwierdził Billy.

– Wyśmienicie – mruknął Ferguson, kiwając głową. – Więc co teraz robimy?

– Umówi się pan na spotkanie – odparł Dillon.

– Ale gdzie? Chyba nie w Piano Bar w Dorchester.

Dillon przez chwilę się zastanawiał.

– Co powiesz na jeden z tych twoich statków, które pływają po Tamizie? – zwrócił się do Saltera. – Najlepszy byłby rejs z Westminsteru. Do Chelsea albo gdziekolwiek.

– Może być „Bluebell”? – zapytał Harry. – Wypływa z Westminsteru.

Dillon spojrział na Fergusona.

– Niech pan zaaranżuje spotkanie któregoś wieczoru. Tylko wy dwaj, na pokładzie statku.

– Solazzo nie przyjdzie tam sam – stwierdziła Hannah.

– Oczywiście, że nie. Zabierze ze sobą Falconego i Russa. – Dillon uśmiechnął się. – Z pewnością spodziewa się mnie i być może Blake’a.

Po twarzy Johnsona znowu sływał pot.

– Niewiele będzie ze mnie pożytku – powiedział.

– Ale ja na pewno się przydam – oświadczył Billy.

– No dobrze. Więc spotkamy się tam i co będzie dalej?

– Jeśli mu się uda, zabije nas wszystkich – odparł Dillon. – To przecież ostatni akt.

– Cała ta sprawa naprawdę wymyka się spod kontroli, brygadierze – zaprotestowała Hannah. – Naruszyliśmy już wszelkie możliwe reguły podczas tej akcji w Kornwalii.

– Jesteś dobrą policjantką i pracuję z tobą od kilku lat – powiedział Dillon – ale mówimy tutaj o kilku najgorszych draniach, jacy kiedykolwiek działali w tej branży. A ja chcę ich wyeliminować.

– Ale musimy przecież przestrzegać prawa! – zawołała.

– Prawa, z którego ludzie pokroju Solazza robią sobie kpiny? Prawo tworzą prawnicy. A rodzinę Solazzo stać na najlepszych prawników. Czy nie kłóci się to z twoimi zasadami, Hannah? Bo z moimi się kłóci. Zamierzam ich usunąć.

Przy stoliku zapadło ciężkie milczenie.

– Co pani na to, pani komisarz? – zapytał Ferguson.

– Falcone i Russo zabili moją żonę, ale nigdy nie uda nam się tego udowodnić – powiedział Blake.

Hannah Bernstein była najwyraźniej w rozterce.

– Wiem, że to jest straszne – stwierdziła. – Ale jeśli obrócimy się przeciwko prawu, nic nam nie zostanie.

– Chce pani, żeby uszło im to na sucho? – zapytał Blake.

– Chyba niestety musi.

– Na szczęście jestem jeszcze ja – odezwał się Dillon. – I mam zamiar znowu odegrać rolę publicznego kata.

Hannah wstała od stolika.

– Nie mogę tego słuchać – powiedziała do Fergusona.

– W takim razie proponuję, żeby wzięła pani kilka tygodni urlopu. I przypominam, że zaczynając u mnie pracę, podpisała pani zobowiązanie do zachowania tajemnicy służbowej.

– Oczywiście, brygadierze.

– Może pani odejść.

Wraz z zapadnięciem zmroku na dobre się rozpadało. Bentley Don Marca zatrzymał się przy nabrzeżu westminsterskim i starszy pan wspiał się po pomoście na statek. Falcone i Russo weszli na pokład już wcześniej. Ubrani byli w dżinsy i marynarskie kurtki, podobne – nie do tych, które nosiła załoga. Tak samo przebrali się Billy i Harry Salterowie.

Nad wodą unosiła się gęsta mgła i padał rzęsisty deszcz. „Bluebell” wypłynął na środek rzeki i Don Marco wyszedł z kabiny pasażerskiej, w której poza nim siedziały tylko dwie starsze panie. Kiedy zapalił cygaro na zadaszanej rufie, z mroku wyłonił się Ferguson.

– Witam, Don Marco. Jestem Charles Ferguson.

– A, to pan, brygadierze.

Obok, przy relingu, jeden z marynarzy zwijał linę.

– To jeden z pańskich ludzi? – zapytał Ferguson.

– Niech pan da spokój, brygadierze. Wszystko, czego chcę, to

położyć kres tej niefortunnej historii. Przyznaję, że mój siostrzeniec był głupcem.

– Nie tylko głupcem, ale i mordercą – odparł Ferguson. – Poza tym, nie powie mi pan chyba, że nie pała żądzą zemsty.

– Jaki byłby sens się mścić?

– Cóż... Im jestem starszy, tym bardziej skłaniam się do poglądu, że życie przypomina film. To przecież sytuacja jak w OK Corral. Earp i Clantonowie. Kto kogo zastrzelił? W jakim innym celu starzejący się szef mafii zadawałby sobie tyle trudu i spotykał się ze mną na tej łajbie?

Marynarz przy relingu, którym był Falcone, wyprostował się, a przy lewej burcie pojawił się Russo. Z górnego pokładu obserwowali ich Harry i Billy, z zaopatrzonym w tłumik AK47.

Z cienia wyłonili się Dillon i Blake. Amerykanin miał rękę na temblaku i bardzo się pocił.

– Nie wygląda pan najlepiej, panie Johnson – stwierdził Don Marco.

– Bez obawy, wrócę do zdrowia – odparł Blake i spojrzał na Falconego. – Zamordowałeś moją żonę.

– To tylko moja praca – odparł Falcone.

– Ale dla mnie to osobista sprawa – powiedział Blake.

Wysunął spod temblaka lewą dłoń, w której trzymał walthera z tłumikiem, i strzelił. Rzucony siłą strzału na reling Falcone zakręcił się na pięcie i runął głową w dół do rzeki.

Russo wycelowował w Fergusona, ale stojący na górnym pokładzie Billy przeszył go serią z AK47 i drugi ochroniarz runął w ślad za Falconem do wody.

Blake miał całą twarz zlaną potem.

– Nie wiem, do diaska, dlaczego zostawiam pana przy życiu – powiedział do Don Marca – ale udało nam się doprowadzić do ruiny pańskiego siostrzeńca, a potem zabiliśmy go i wszystkich jego ludzi. Wydaje mi się, że to w zupełności wystarczy.

Odwrócił się i razem z Fergusonem odszedł do kabiny. Dillon zapalił papierosa.

– Blake to jeden z tych porządnych facetów, którzy chcą naprawiać

świat – stwierdził. – Nawet Ferguson nadal próbuje to robić. Ale ja nie. Życie rozczarowało mnie bardziej, niż się spodziewałem, więc do diabła z panem.

Uderzył Don Marca otwartą dłońią w twarz, po czym złapał go za nogi i przerzucił przez reling do rzeki. Mgła nad Tamizą zawirowała, na wodzie zatlił się niedopałek cygara i po chwili było już po wszystkim.

Czekali na Dillona w daimlerze zaparkowanym przy nabrzeżu Charing Cross.

– Zająłeś się nim? – zapytał Ferguson.

Dillon pokiwał głową.

– Ci sami gangsterzy, którzy załatwili Jacka Focha i jego ludzi w Kornwalii, najwyraźniej zastawili tutaj pułapkę na Don Marca. Kolejna mafijna egzekucja. Przykra historia.

– Biorąc to wszystko pod uwagę, można uznać ten wieczór za udany – oświadczył Ferguson.

– Z wyjątkiem jednej sprawy...

Obydwaj spojrzeli na skulonego w cieniu Blake'a, który utkwiał w nich płonące w poszarzałej twarzy oczy.

– Nic nie przywróci jej życia – stwierdził Amerykanin.

Żaden z nich nie znalazł na to odpowiedzi.